



DOREEN

ILANA MANASTER

moondrive

ILANA MANASTER
DOREEN

tlumaczenie Maria Smulewska

moondrive
Kraków 2017

Mojej rodzinie,

tej, którą stworzyłam,

i tej, która stworzyła mnie

„Jestem dziś sobą zmęczony.

Pragnąłbym być w skórze innego człowieka”.

Oscar Wilde, *Portret Doriana Graya*,

przeł. Tadeusz Jaroszyński, Warszawa 2000

Uroki późnego lata zdawały się zbyt przyziemnym tematem dla wyobraźni tak szalonej, jaką mogła się poszczycić Heidi Whelan, a jednak oto leżała na kanapie, chrupała pistacje i odczuwała sporą przyjemność z patrzenia na zielenie, błękity i róże za oknem. Dziedziniec szkolny był jeszcze pusty w ten pierwszy dzień jej ostatniego roku w Chandler Academy.

– Czyż kampus nie jest wspaniały, gdy nikogo tu nie ma?! – zawołała do swojej współlokatorki Biz Gibbons-Brown. Nie mogła jej widzieć z kanapy, za to doskonale słyszała, jak koleżanka miota się po ich sypialni. – Sama wiesz, zanim wrócą ci wszyscy nieznośni ludzie.

– Mów za siebie – odburknęła Biz, wchodząc do pokoju ubrana w strój jakże typowy dla siebie, czyli piękne elementy: cudowną białą bluzkę i idealną granatową lnianą spódnicę, ale zupełnie do siebie niedobrane. Spod rozpiętej bluzki wystawał T-shirt z zeszłorocznego festiwalu dyni, spódnica była beznadziejnie wygnieciona, a do tego włożyła te swoje znoszone żółte converse’y. – Moim zdaniem nie wszyscy są aż tacy nieznośni.

– Proszę cię! – Heidi westchnęła. Odgarnęła gęstą blond grzywę i wyprostowała się na kanapie. – Sama najlepiej wiesz, jak puste, płytkie, wredne...

– Zaczynamy nowy rok, Heidi. Czy nie mogłybyśmy się zdobyć na odrobinę optymizmu? Może chociaż do czasu, aż zaczną się lekcje? I gdzie się w ogóle podziały moje okulary?

– Tam, przy biurku. Nowa bluzka? – spytała Heidi z wymuszoną nonszalancją.

Koszula miała subtelne białe pasczki na białym tle i nawet z tej odległości wyglądała na bardzo drogą.

Biz wsunęła na nos okulary w drucianych oprawkach i spojrzała na bluzkę, jakby widziała ją pierwszy raz.

– A, ta? No. Podoba ci się?

Gdyby był to ciuch Heidi, z pewnością należałby do jej największych skarbów, ale Biz nosiła tę uroczą koszulę jak flanelową piżamę. „Nieważne”, pomyślała Heidi, znów rozkładając się wygodnie na kanapie. Miała przecież nieograniczony dostęp do skarbcza kryjącego się w szafie Biz. Spojrzała za okno i wyobraziła sobie, jak idzie przez dziedziniec w tej boskiej bluzce. Po raz nie wiadomo który pogratulowała sobie genialnego pomysłu sprzed dwóch lat, by namierzyć Elizabeth Gibbons-Brown i się z nią zaprzyjaźnić.

– Jest urocza. Co to za marka?

– Pojęcia nie mam. Mamcia kupiła ją chyba w Paryżu. Kazała mi w niej wystąpić na jakimś przyjęciu w Hamptons.

– Oczywiście.

Tak naprawdę Biz wcale nie nazywała swojej matki „mamcią”. To znaczy tak, mówiła tak o niej, ale tylko kiedy chciała wyrazić lekceważenie. Gloria Gibbons-Brown była głupiutką gęsią, chudą w ten przykry sposób, który dodaje uroku tylko młodym i wysokim (nie należała do żadnej z tych grup). To, co było w niej ładne, to rzeczy kupione – suknie z grubego jedwabiu, klejnoty wielkości znalezisk geologicznych i skóra, naciągana, przesuwana i wygładzana przez najlepszych chirurgów na świecie. Jadła mało, piła dużo, a wieczorne spotkania przy jej stole często sprowadzały się do słuchania jej długich, zawitych historii o jakichś sprzedawcach, stewardach czy kelnerach. Rola Glorii w tych anegdotach była jednak zawsze ta sama – była głosem prawdy, superbohaterką walczącą o sprawiedliwość dla ludzi znudzonych i rozpieszczonych przez życie.

Biz oczywiście jej nie znosiła.

I miała powody. Heidi też przecież widziała, że Mamcia to osoba płytka i niewrażliwa, która dzieci urodziła chyba tylko z poczucia obowiązku wobec swojego szlachtetnego rodu. Lecz Heidi miała też świadomość, że od Glorii można się wiele nauczyć. Ta kobieta była prawdziwą ekspertką od wyższych sfer, zupełnie pewną swojej pozycji na szczycie łańcucha pokarmowego, instynktownie unikającą jak ognia wszystkiego, co pospolite czy wulgarne. To dlatego wkroczyła do akcji i od razu wyrzuciła z ich pokoju wszystkie meble. Zamiast standardowego wyposażenia Biz i Heidi miały więc fotele z lat pięćdziesiątych, skórzaną kanapę, boski zabytkowy dywan i onyksowy stolik do kawy na mosiężnych nóżkach. Zawieszono zasłony, żeby dziewczęta miały odrobinę prywatności, i wstawiono piękne półki na książki. Heidi nigdy przedtem nie mieszkała w takich luksusach, ale teraz nie potrafiła już sobie wyobrazić innego życia.

Tylko biurko Biz uniknęło ingerencji Mamci. Tu przyjaciółka twardo się postawiła. Biurko było tylko jej, o czym świadczyły stosy książek, papierzyk i przede wszystkim foto-grafii. Ścianę za biurkiem wypełniały zdjęcia – jej własne, ale też cudze, stanowiące inspirację. Pod sufitem zwisały druty obwieszane jeszcze większą liczbą fotek, które nieustannie zmieniała. Cała ta niewielka przestrzeń była zapchana zdjęciami – kolorowymi i czarno-białymi, pejzażami, portretami ludzi i zwierząt, wnętrzami, fasadami budynków, abstrakcjami.

Od samego patrzenia na ten kolaż Heidi zaczynało się kręcić w głowie. Zgadzała się z Mamcią, że cały ten chaos rujnował czystość linii pokoju, ale w głębi duszy podziwiała Biz za jej zaangażowanie i talent. Musi być miło potrafić stworzyć coś namacalnego.

– To jest nowe, prawda? Zrobiłaś je latem? – Heidi podeszła do zdjęcia przypiętego do jednego z drutów.

Matka Biz siedziała przy toaletce. Odwróciła się w stronę aparatu z gąbeczką w dłoni, z otwartymi ustami, jakby coś mówiła, z wyraźnie poirytowaną miną. Wyglądała na zmęczoną, jak ktoś, kto wolałby zostać w domu, ale w tle na szafie

wisiała suknia wieczorowa, należało więc zrobić makijaż. Jakoś będzie musiała się pozbierać i przybrać odpowiednią pozę. Takie zdjęcie zza kulis, tyle że sceną było tak naprawdę całe życie tej kobiety.

– Co? A, tak. Niezłe, nie? Słuchaj, nie masz przypadkiem czegoś do roboty? Nie mogłabyś, no wiesz, zmyć się stąd na chwilę? Potrzebuję trochę spokoju.

Biz wydawała się zaniepokojona. Przeszawiała drobiazgi na swoim biurku, jakby próbowała posprzątać, czego nie robiła prawie nigdy, a już na pewno nie z własnej woli. A do tego ta tajemnicza prośba o odrobinę prywatności? Bez wątpienia coś ukrywała.

– Nie zamydlaj mi tu oczu, Biz. Mów wprost, co jest grane. Masz romans?

– Nie żartuj sobie.

– Ty cwaniaro! Głowę daję, że nawet wiem z kim. To ten nauczyciel! Jak mu tam, no ten od fotografii.

– Cameron?

– Oczywiście! To wszystko od tego siedzenia po nocach nad nagimi zdjęciami.

– Jesteś niemożliwa.

Heidi zachichotała. Ona sama nie raz, nie dwa była bohaterką dwuznacznych sytuacji, ale na myśl o tym, że Biz miałyby się oddać rozpuście, aż poczuła dreszczyk emocji. Głównie dlatego, że było to tak absurdalne i nierealne.

– Elizabeth Gibbons-Brown się zakochała. W życiu nie przypuszczałam, że dożyję tego dnia!

– Nie zakochałam się, Heidi. Przestań, proszę cię.

– A zatem pociąga cię tylko fizycznie? Nawet lepiej! W głowie się nie mieści! Och, Biz, i pomyśleć, że nawet w twoim jakże świetnie zorganizowanym mózdzku znalazło się miejsce na lubieżne myśli! Zdumiewasz mnie. Powaliłaś mnie na łopatki. Oczywiście zawsze wiedziałam, że pan Carson...

– Cameron.

– O, *pardonnez-moi!* Nie chciałam nikogo urazić. Że pan Cameron szukał czegoś więcej niż tylko rąk do pomocy. A zresztą może właśnie tego szukał. Tych rąk.

– Heidi!

– Bosko! Czy ja też się zarumieniłam? Bo ty z pewnością tak.

– Dość tego! Słuchaj, ona tu zaraz będzie.

– Ona?! – Głos Heidi niepokojąco zbliżył się do pisku.

Miała ochotę zacząć klaskać.

Biz opadła na włoski fotel obity skórą w odcieniu tytoniowego brązu.

– Posłuchaj, to nie to, co myślisz. Ma na imię Doreen. To moja kuzynka.

– Twoja kuzynka?!

– Nie bądź wulgarna, dobrze? Ten jeden raz, co? Mówiłam ci o bracie

Mamci? Wujku Rolandzie?

Heidi zamarła.

– Heidi? Halo?

– O, przepraszam. Co mówiłaś? Że masz wujka? Fascynujące!

Pociągnęła za koniuszek kucyka i wbiła wzrok w okno. Chyba każdy zauważyłby jej rumieniec! „Uspokój się, Heidi – powiedziała sobie. – Oddychaj”.

– Tak. Brat mojej matki, Roland Gibbons... kiedyś był żonaty i miał córkę. Znaczący, no wiesz, dalej ma córkę, tylko że ostatni raz widziałam ją, gdy byłam zupełnie mała. Ma na imię Doreen i kiedy jej mama była jeszcze żoną wujka Rolanda, Doreen była jedyną kuzynką w moim wieku. Byłyśmy nierozłączne. Doreen i Elizabeth. Pamiętam, że założyłyśmy sobie ogródek za naszym letnim domkiem w Amagansett. Spędzałyśmy tam całe godziny na kopaniu dołków i pielenu naszymi małymi rączkami. Chociaż jakoś nie pamiętam, żeby udało nam się cokolwiek wyhodować. – Biz wybuchnęła śmiechem. – Ale oczywiście wujek Roland musiał potem wyjechać i wszystko przepaść.

– O! – wyrwało się Heidi zbyt głośno, zbyt szczerze. „Opanuj się, ty krowo”.

– A, ha, ha. Tak, teraz już pamiętam. Jego żona nie jest Amerykanką, tak? Mówiłaś chyba, że ożenił się z jakąś kobietą z Europy. To ona jest matką twojej kuzynki?

Nawinęła sobie kosmyk włosów na palec. Mocno.

– Słucham? Dlaczego mówisz tak cicho? Ledwie cię słyszę. W każdym razie ta z Europy to Constantina. To była jego druga żona. Też się rozwiedli, ale ich dzieci są jeszcze małe. A Doreen jest w naszym wieku, mówiłam ci. I właśnie przeniosła się do Chandlera. Będzie w trzeciej klasie. Po rozwodzie przeprowadziły się z matką gdzieś na Środkowy Zachód, chyba do Illinois. Nie pamiętam. Nie widziałam jej od tamtego lata, gdy byłyśmy małe.

Heidi wstała. Nie mogła w to wszystko uwierzyć.

– Twój wujek Roland ma córkę w naszym wieku, która właśnie przeniosła się do Chandlera.

– Tak. I zaraz tu będzie.

Heidi nagle odzyskała energię.

– Och, jaka szkoda, że nie wiedziałam. Przygotowałabym coś. Biz, dlaczego mi nie powiedziałaś? Musimy jakoś tu ogarnąć.

Zaczęła się miotać po pokoju, poprawiać poduszki, zbierać skorupki po pistacjach. Chwyciła buty leżące pod kanapą i cisnęła je do sypialni.

– Zaczekaj! Heidi, stop! Wyluzuj trochę, co? Jest jeszcze coś. Siadaj.

– Co? Co takiego? Mów prędko, przecież sama wiesz, że zaraz tu będzie.

– Usiądź!

– Dobrze! Już siedzę. O co chodzi?

Biz znów westchnęła.

– Znęcali się nad nią w szkole.

– No i? Przecież była w publicznej szkole, prawda? Wiem, że nigdy w takiej nie byłaś, ale wierz mi, znęcanie się nad innymi to norma dla większości amerykańskich uczniów.

– Nie, to było naprawdę straszne. O wiele gorsze od typowego znęcania. Rozumiesz? Wiesz, jej mama zaczynała się już bać o jej bezpieczeństwo. To dlatego Doreen się tu przeniosła. Będzie miała szansę na zupełnie inne doświadczenie i chęć, żeby czuła się tu dobrze od samego początku. – Posłała Heidi pełne wyrzutu spojrzenie.

– Słucham? – oburzyła się Heidi. – Czy ty mi tu sugerujesz, że mogłabym być dla niej nieuprzejma?

– Wrr! Czy ty naprawdę nie mogłabyś sobie gdzieś pójść na godzinę lub dwie? Dać nam chwilę, żebyśmy mogły sobie przypomnieć dawne czasy i w ogóle? Zrobiłabyś to?

– Mowy nie ma!

– Naprawdę nie masz nic innego do roboty, Heidi? Musisz koniecznie wtrącać się w każdy kampusowy melodramat? Nie możesz po prostu... no wiesz, zajmując się czymkolwiek innym? Chryste!

– Że co, proszę? – Heidi rozparła się na kanapie i zaciśnęła usta. Milczała przez chwilę.

– Hej, no, nie chciałam... – wybąkała Biz.

Heidi uniosła dłoń. Jej głos był cichy i spokojny.

– Zastanawiam się, czy ty w ogóle masz pojęcie, co bym zrobiła komuś, kto odważyłby się tak do mnie odezwać w stołówce na przykład. Zastanawiam się, czy w ogóle pojmujesz, jak przykre konsekwencje by go spotkały, gdybym tylko skinęła dłonią i napisała kilka esemesów.

– Dobra, nie przesadzajmy. Przecież chciałam tylko...

Heidi zgmiotła skorupkę pistacji. Jej policzki pałały.

– Czy ty w ogóle wiesz, z jaką łatwością mogłabym odebrać ci wszystko to, co tak kochasz? Bibliotekę, twoje lekcje, nawet fotografię. A może ci się wydaje, że wszystko to masz zagwarantowane na zawsze? Bo co? Bo płacisz chesne? Bo masz dobre nazwisko? Ha!

– Heidi – mruknęła Biz. – Hej, przecież tylko żartowałam, tak? Naprawdę.

Biz zdawała się raczej zażenowana niż przerażona groźbami Heidi. Zresztą sama Heidi także się zawstydziała, gdy tylko opadły emocje. Rzeczywiście przesadziła. Ale Biz ją obraziła. Zasugerowała, że jest jakimś pasożytem żerującym na cudzych nieszczęściach, tymczasem była przecież artystką. Nie, nie paradowała po kampusie z aparatem, ale z pełnym oddaniem poświęcała się swojej własnej sztuce – sztuce manipulacji, zdobywania i utrzymywania władzy.

– Nieważne. Zapomnijmy o tym, dobrze? – Heidi się wycofała.

Biz mogła po prostu obśmiać jej teatralność, ale pozwoliła przyjaciółce

zachować resztki godności. Zachowała się z klasą, zresztą jak zawsze.

– Powiem ci, co zrobię. Zostanę tu i powitam twoją kuzynkę tak serdecznie i wspaniałomyślnie, jak przystało na uczennicę Chandlera. Co ty na to?

Przerzuciła włosy przez poręcz kanapy.

Biz się roześmiała.

– Dobrze, już dobrze. Niech ci będzie. Ale masz świadomość, że pewnie to właśnie takie dziewczyny jak ty znęcały się nad Doreen całe jej życie?

– To akurat jest zupełnie niemożliwe, moja droga. Nie ma innych dziewczyn takich jak ja.

– Wiesz co, Heidi? Chyba masz rację.

– No jasne – powiedziała Heidi i puściła do niej oko.

Rozległo się pukanie.

2

Heidi nie potrafiłaby powiedzieć, co takiego w Doreen Gray wywołało u niej tę instynktowną reakcję. Nie ulegało wątpliwości, że dziewczyna wygląda okropnie. Jej cera była jednocześnie tłusta i wysuszona, z lśniącymi pryszczami na czole i brodzie, z czerwonymi, suchymi plamami na policzkach i szyi. Na głowie miała szopę czarnych loków, z których część była zbyt skręcona, a reszta zbyt luźna. Nie wyglądała ani na wysportowaną, ani na szczególnie otyłą, ale tu i ówdzie pod ubraniem zarysowywały się fałdy tłuszczu. Jej ciało, wciśnięte w znoszoną dżersejową sukienkę khaki, wyglądało jak kawałek mięsa zawinięty w papier.

Lecz choć Heidi nie miała wątpliwości, że między innymi właśnie te fizyczne cechy przyczyniały się do ogólnie beznadziejnego wizerunku, to nie one decydowały o ostatecznym wrażeniu. Gdy Biz i Doreen uprzejmie rozmawiały, Heidi siedziała jak nie ona w milczeniu na kanapie i przyglądała się dziewczynie. Bo pod tymi okropnymi włosami, ciuchami, skórą i całą resztą kryło się tajemnicze piękno. Kości policzkowe Doreen były wysokie i szerokie, a gdy w końcu podniosła wzrok, Heidi ujrzała jej niesamowite fioletowoniebieskie oczy.

To było coś zupełnie wyjątkowego, te dziwne, wielkie oczy Doreen Gray. Jakby potrafiły wpuszczać więcej światła, miały jakąś magiczną siłę przyciągania. Heidi złapała się na myśli, że i ona chciałaby zostać pochłonięta przez te fioletowe oczy. I nieważne, że znajdowały się na tak beznadziejnej gębie. Nie umiała ich jednak pochwycić, nie umiała ich przyciągnąć. Wzrok Doreen przesunął się spieszenie po całym pokoju, wciąż wracając na podłogę.

Biz bez reszty skupiła się na wizycie kuzynki.

– Na ulicy chyba w ogóle bym cię nie poznała. Minęło tyle czasu. Zadomowiłaś się już w swoim internacie?

– Czy się zadomowiłam? A, tak, dziękuję – wyszeptała Doreen, skryta

w głębi fotela.

– W którym mieszkasz? – spytała Biz.

– W którym mieszkam? A, nazywa się... yyy... West Hall? Czy to źle?

– Nie. West Hall jest zupełnie w porządku, prawda, Heidi? Znamy mnóstwo ludzi stamtąd. Mój brat na przykład. Addison. Pamiętasz Addisona? Mieszkał tam... chyba w trzeciej klasie, prawda, Heidi?

– Tak.

Biz czekała, aż Heidi jakoś rozwinie swoją odpowiedź. Tak się jednak nie stało. Posłała współlokatorce surowe spojrzenie pod tytułem: „Zamierzasz tam tak po prostu siedzieć?”. Heidi wzruszyła ramionami. Doprawdy zabawnie było patrzeć, jak Biz się męczy, żeby zabawić kuzynkę rozmową.

– No więc Heidi i Addison nawet ze sobą chodzili – ciągnęła Biz rozpaczliwie. Podniosła swój aparat i trzymała go w rękach, próbując chyba w ten sposób dodać sobie pewności siebie, bo raczej nie zamierzała uwiecznić tej chwili dla potomności. Bardzo dziwne. – W sumie tak się poznałyśmy. Przywiózł ją do nas do domu, kiedy byliśmy w drugiej klasie. Ale zrobiła wrażenie. Mamcia zupełnie się w niej zakochała! A potem Heidi złamała mojemu bratu serce, potrząsała je na milion kawałeczków. – Biz zmusiła się do śmiechu. – Bardzo to wyszło nieładnie z twojej strony, Heidi. Naprawdę. Bardzo nieładnie – mówiła, gdy tymczasem jej oczy wołały: „SOS! SOS! No pomóż mi wreszcie!”.

Heidi leniwym gestem odłożyła kilka łupinek po orzeszkach do stojącej na stoliku kawowym japońskiej miseczki.

– Tak, rzuciłam go w czytelnicy na drugim piętrze West Hall właśnie. Płakał jak dziecko.

– Na pewno – powiedziała Doreen. – Znaczący, no wiesz, na pewno było mu bardzo smutno. Bo wiesz, jesteś taka...

Doreen podniosła wzrok na Heidi i przez chwilę w tych niesamowitych fiołkowych oczach Heidi widziała własne odbicie. Ale zaraz potem Doreen znów spuściła wzrok na dywan.

– No cóż – ciągnęła Biz, uśmiechając się szeroko. – Tak czy owak – „Tak czy owak?” – to bardzo porządny internat. Heidi może sobie myśleć o Addisonie, co jej się żywnie podoba, ale zawsze był bardzo popularny.

– Z pewnością – wymamrotała żałośnie Doreen.

– Rozumiem, że masz już plan zajęć. Powinnaś mi go pokazać. Opowiem ci wszystko o twoich nauczycielach i jeśli chcesz, pokażę ci, gdzie...

– A ty nie chciałabyś być popularna? – spytała nagle Heidi, wpatrując się w Doreen przeszywającym spojrzeniem.

– ... gdzie są twoje sale. Jeśli chcesz. Ale przede wszystkim będziesz musiała...

– Cicho, Biz. Zadałam twojej kuzynce pytanie. Powiedz nam, kochana, nie

chciałabyś? Nie chciałabyś być popularna? Tu, w Chandlerze.

– Heidi!

Doreen popatrywała to na Heidi, to na Biz, a na jej twarzy malowała się niesamowita mieszanka nadziei i strachu. Heidi patrzyła, jak dekolt i szyja dziewczyny oblewają się rumieńcem. To wtedy w jej głowie zaczął się rodzić plan.

– Czy chcę być popularna? – powtórzyła tępo Doreen.

– Kochanie, nie musisz zawsze powtarzać pytania tylko po to, żeby na nie odpowiedzieć.

– Nie słuchaj jej, Doreen – pospieszyła z pomocą Biz. – Dla większości ludzi popularność nie jest aż tak ważna jak dla Heidi.

– Ale dla naszej Dorie jest, prawda? Stąd właśnie moje pytanie. Biz powiedziała, że jej brat mieszkał w West Hall i był bardzo popularny, na co z westchnieniem odparłaś: „Z pewnością”, jakby popularność była dla ciebie czymś pożądanym, lecz nieosiągalnym. I choć muszę szczerze przyznać, że trudno mi sobie wyobrazić, jak mogłabyś zyskać popularność w swoim obecnym stanie, to jednak jako prawdziwa Amerykanka wierzę, że można osiągnąć wszystko, czego się pragnie, jeśli tylko jest się trochę bystrzejszym od innych.

– Heidi! Moja kuzynka nie przyjechała tu z Wisconsin, żeby ktoś ją obrażał.

– Z Indiany – powiedziała Doreen, ale nie spuszczała wzroku z Heidi.

– Hę?

– Przyjechałam z Indiany – wyjaśniła Doreen. – I wcale nie czuję się obrażana. – Wyprostowała się. W jej fioletowych oczach zabłysła nadzieja. – Taka jest prawda, choć dziwnie się czuję, mówiąc o tym... ale skoro już spytałaś, to tak, chyba tak. Chciałabym być popularna. Kto by nie chciał? Nigdy jeszcze, wicie, w mojej poprzedniej szkole...

– Tak, Biz mówiła, że się nad tobą pastwili – powiedziała ponuro Heidi.

– Przepraszam, Doreen – wtrąciła się Biz. – Nie powinnam była jej mówić. Nie miałam prawa...

– Nie szkodzi – zapewniła ją Doreen. Wyciągnęła rękę i dotknęła kościstego kolana Biz. – Hej, to już minęło, nie?

– Właśnie! – przytaknęła jej Biz, wyraźnie zachwycona tym gestem kuzynki. – To już nieważne.

– Co to było konkretnie? Wyzywanie? Żaby w szafce na podręczniki? Tego typu rzeczy? – drażyła jednak Heidi.

– Heidi! Przecież właśnie powiedziałyśmy, że to już nieważne.

Doreen wzruszyła ramionami.

– Nie, nie, spoko. No, tak, wyzwiska. Żaby nie, ale kiedyś ktoś włożył mi do szafki zakrwawione majtki. Cała szkoła widziała, jak wypadły mi na podłogę.

– Och, Dorie – wyszeptwała Biz.

– To było jeszcze spoko. Dawałam radę. Popychanie. Przewracanie. Raz ktoś

dorzucił mi coś do picia, przez co zwymiotowałam na teście z biologii. Nauczyłam się być ostrożniejsza. Jeść w czytelni. Nie podnosić wzroku. Ale potem dostałam tę wiadomość na Facebooku. Od chłopaka. – Doreen urwała, żeby zebrać siły. – Miał na imię Judah. Był nowy, a raczej miał być nowy, dopiero się przenosił z innego miasta. Chciał się zaprzyjaźnić. Zaczęliśmy gadać.

Jej oczy wypełniły się łzami.

– Kim był Judah? Kto to był naprawdę? – spytała Heidi. Znała takie stare zagrywki z mediami społecznościowymi. Sama je wykorzystywała, nie osobiście, miała od tego ludzi. Były elementem jej taktyki manipulowania otoczeniem. Nigdy jednak nie była okrutna dla samego okrucieństwa. Nikogo poważnie nie skrzywdziła. To było więc zupełnie co innego, prawda? Coś jednak ścisnęło ją w gardle. Wyrzuty sumienia? Żal? Nieistotne. Zgniotła w palcach pistację. Trzask pękającej łupinki podziałał na nią uspokajająco.

– Dziewczyna ze szkoły. Albo jej chłopak, nie wiem. Może cała grupa ludzi. Zaczęli kopiować na swoich stronach to, co pisałam do Judah. Ale wiecie, wszystko wyrwane z kontekstu. To było takie upokarzające. Mama chciała mnie przenieść do innej szkoły publicznej, ale wiedziałam, że to na nic. Dorwali-by mnie wszędzie. Zlikwidowałam konto na Facebooku. Zamierzałam to jakoś przetrzymać, ale mama...

Doreen otarła oczy. Nieudolne próby ukrycia, jak mocno się tym wszystkim przejęła, sprawiały tylko, że opowieść robiła się tym bardziej wstrząsająca. Heidi czuła się podle, że w ogóle spytała. Niepotrzebnie wtykała nos w nie swoje sprawy. Wyssała słone resztki z pustej łupinki po orzeszku.

– Dzieciaki – mruknęła Biz. – Potrafią być okropne. I po co to wszystko? Jaki to ma sens? Nie rozumiem takich ludzi.

– Tak mi przykro – dodała Heidi.

I naprawdę było jej przykro.

– Mama zobaczyła jakieś bzdety, które ktoś nabazgrał mi na książce. Nic niezwykłego. „Zabij się, ty suko”, tego typu. „Nikt cię nie lubi. Czas umrzeć”. Nie wytrzymała. Zadzwoiła do taty i wymogła na nim, żeby mnie tu przeniósł. I to cała historia. Życie i czasy Doreen Gray.

– Nieważne. Teraz jesteś tutaj – powiedziała Biz. – Nikt nie musi nic wiedzieć o twoich przejściach w starej szkole. I słuchaj, jeśli chcesz być lubiana, mogę ci w tym pomóc. Mam tu, można powiedzieć, domyślną pozycję społeczną. A Heidi jest idealnie...

– Cyniczna – dokończyła Heidi.

– Chciałam powiedzieć „bezwzględna”. Idealnie bezwzględna, by wyreżyserować twoje... Jak to ująć? Nowe narodziny.

– Naprawdę? Dzięki. – Oczy Doreen zalśniły nadzieją. – Dziękuję wam bardzo!

– Nie ma za co – odparła Biz i oblała się rumieńcem. – Jeśli właśnie tego chcesz, to oczywiście ci pomogę.

– Tak jest! Doskonale. Operacja: nowe narodziny. Zaczynamy! – Heidi już krążyła po pokoju, władczy gestem pocierając podbródek, gotowa do wydawania rozkazów. – Otóż, Doreen, jak potwierdzi Biz, przeprowadziłam w tej dziedzinie stosowne badania i mogę z dużą dozą pewności stwierdzić, że popularność w szkole średniej wiąże się z pewnymi wymaganiami. Przykładowo: dziewczyna popularna to dziewczyna szczupła. To niezwykle ważne. I choć oczywiście ideałem jest szafa pełna pięknych ciuchów, właściwie wystarczy mieć jedną rzecz rozpoznawalnej marki. Dajmy na to torbę. Louis Vuitton jest tu rozwiązaniem klasycznym, ale nie jedynym oczywiście. Ważne, by pokazać go na tle stroju prostego, dobrze dopasowanego i czarnego. Cera musi być idealna, a kucyk gęsty i długi. Jeżeli to okaże się nieosiągalne, można się pokusić o opcję krótką, sportową, ten wariant zakładałby jednak dołączenie do jakiejś drużyny, z czego właściwie akceptowalne są jedynie piłka nożna i hokej na trawie. By zdobyć prawdziwą popularność, nie wystarczy dostać się do drużyny. Trzeba być w niej najlepszą zawodniczką lub kapitanem, toteż jeśli osiągnięcie doskonałości na tym polu jest mało prawdopodobne, polecałabym raczej zadbać o długie, lśniące włosy.

Heidi spojrzała krytycznie na długość żałosnych loczków Doreen.

– Gdybyś zaczynała od pierwszej klasy, a nie od trzeciej, radziłabym ci znaleźć sobie chłopaka z czwartej, bo to szybki i bezbolesny sposób na wejście w odpowiednie kręgi. Najlepiej byłoby oczywiście złamać mu serce, nawet się z nim nie przespawszy. Zgrywanie cnotki w tym wieku mogłoby jednak nasuwać podejrzenia, że nie było chętnych w twojej poprzedniej szkole. Lepiej byłoby więc od razu znaleźć sobie odpowiedniego chłopaka, ale przespać się z nim trochę później, żeby nie wyjść na desperatkę, choć na tyle wcześnie, by zasugerować duży apetyt na seks. Wcale nie tak trudno sprawić, by jakiś przystojniak z czwartej klasy był przekonany, że oto przeżył najlepszy seks w swoim życiu. To znaczy o ile nigdy nie chodził ze mną – dodała Heidi i puściła do niej oko.

– Przecież ja nie mam szans! – Doreen się załamała. – Pojęcia nie mam... no wiesz, Heidi, nie jestem nikim takim. Och, to po prostu niewykonalne, niewykonalne. Od początku wiedziałam, że zmiana szkoły nic nie da.

Ukryła twarz w dłoniach.

– Nie przejmuj się, Doreen. – Biz pochyliła się nad kuzynką i pogłaskała ją po plecach. – To wszystko i tak nie ma znaczenia. Poważnie. Większość tych popularnych dzieciaków to zwykli nudziarze, więc... Mnie tam nigdy nie zależało na takich rzeczach. Szczerze mówiąc, nawet mi trochę ulżyło, że...

Doreen załkała rozpaczliwie.

– Bzdura! – Heidi nie dała Biz dokończyć. – Tak, nie będzie łatwo, nie mówię, że będzie, ale jestem przekonana, kochanie, że możemy cię wprowadzić na

salony Chandlera w wielkim stylu. Wystarczy odrobina pracy. Włosy. Makijaż. Oświetlenie. Rekwizyty. Zaczniemy od twojego profilu na GryphPage'u.

Heidi zniknęła w sypialni.

– Co to jest GryphPage? – spytała Doreen kuzynkę i pociągnęła nosem.

– A, takie tam głupoty. Widzisz, naszą maskotką jest gryf. Wiesz, co to jest? Taki stwór z greckiej mitologii. – Biz szperała w szufladzie biurka. – Ciało lwa, łeb i skrzydła orła. O, spójrz.

Podawała Doreen zeszyt z logo Chandler Academy. Na środku okładki widniał gryf. Stał na tylnych lwich łapach i rozkładał orle skrzydła.

– Taki jakby smok – stwierdziła Doreen.

– Coś w tym stylu. Co ciekawe, gryfy jakoby łączą się w pary na całe życie. Nawet gdy jeden umiera, drugi żyje dalej samotnie. Ponoć ten aspekt mitu podchwycił w pewnym momencie Kościół jako poparcie dla swoich poglądów na temat małżeństwa. – Biz chętnie zagłębiłaby się w szczegóły mitu, ale szybko zorientowała się, że Doreen rozgląda się po pokoju. – W każdym razie GryphPage to strona społecznościowa dla uczniów Chandlera.

– To ty zrobiłaś te wszystkie zdjęcia? – spytała Doreen. Przyglądała się fotografiom na ścianie. – Och! To Heidi. I Addison! Teraz już go sobie przypominam.

Podeszła bliżej do zdjęcia, na którym brat Biz strzelał piłeczkami golfowymi z klifu niedaleko ich posiadłości w Connecticut.

Biz się uśmiechnęła.

– Wszyscy tu na niego mówili Ad-rock.

– Naprawdę? Bez sensu.

– Dzięki! Prawda, że bez sensu? Nie, nie wszystkie te zdjęcia są moje. Część wisi tu tylko dla inspiracji.

– Więc jesteś artystką.

– Nie wiem, czy tak bym to określiła...

– O Boże! Ta fotka cioci Glorii jest niesamowita! Jakie żywe kolory! Wow. Wow! Jestem pod wrażeniem. Jesteś świetną fotografką, Biz.

– Ja... hmm... to miłe z twojej strony, że tak mówisz.

– Nie powiedziałam tego, żeby wypaść na miłą. – Doreen ścisnęła ramię kuzynki.

Heidi wróciła do pokoju z wielką stertą ubrań i stęknęła głośno, rzucając je na kanapę.

– Wszyscy mają profil – oświadczyła.

– Nie wszyscy – zaprotestowała Biz. – Ja na przykład nie mam i doprawdy nie sądzę, że bym cokolwiek traciła...

– Dobra. Pozwólcie więc, że ujmę to inaczej. – Heidi weszła jej w słowo. – Wszyscy, którzy mają jakiegokolwiek aspiracje towarzyskie w Chandlerze, zakładają

profil na GryphPage'u. Chodź tu, słońce. Zobaczmy, co da się zrobić.

Doreen odeszła od fotograficznego kolażu Biz i nieporadnie stanęła na środku pokoju. Jej ciało poddawało się zabiegom Heidi, która najpierw wybrała ze sterty czarną kopertową sukienkę i przyłożyła ją do Doreen, krytycznie marszcząc brwi. Była to jedna z kilku sukienek, które Mamcia w panice kupiła w Liberty London po tym, jak Biz przyjechała na dziesięć dni zapakowana w jeden plecaczek.

– Zbyt nijako – oświadczyła Heidi i wyrwała Doreen sukienkę, przykładając w jej miejsce inną, z żółtego jedwabiu.

– Ta jest ładna – wybąkała Doreen. – Podoba mi się ten kolor.

– Nie, nie – syknęła Heidi. – Zbyt... bo ja wiem... prowincjonalna. Wyglądasz jak druhna na weselu w Nantucket. – Cisnęła żółtą sukienkę na czarną kopertówkę. Stanęła z rękami na biodrach, w skupieniu marszcząc swoje idealne czoło.

Biz siadła przy biurku i otworzyła laptopa. Ubrania ją nudziły.

– Nie ma tu nic seksowniejszego? – gderała Heidi, przekopując się przez stos na kanapie.

– Wiesz, Heidi... – mruknęła Biz, wpisując nazwisko Doreen na stronie głównej GryphPage'a. Hasło? Wybrała: kuzynka1. – Jeśli nie podobają ci się te ciuchy, zawsze możesz zajrzeć do własnej szafy.

– Aha! – ucieszyła się Heidi. – Dolce, oczywiście. – Wyciągnęła ze sterty kawałek lśniącego błękitnego materiału i zamachała nim nad głową niczym flagą. – Miałam to w zeszłym roku na zimowym balu. Doreen, wierz mi, że chłopcy zupełnie oszaleli!

– Ale... – wybąkała Doreen, gdy Heidi wciskała jej kieckę. – Nie jest trochę za... no wiesz, za krótka?

– Przymierz ją, kochanie, dobrze? Powiemy ci samą prawdę. Zobaczmy, czym się możesz pochwalić.

Zapędziła Doreen do sypialni.

– Sama nie wiem... – Doreen przyglądała się miniówce, jakby nie była pewna, co ma z nią zrobić.

– Takie sukienki wyglądają o wiele lepiej, jak się je założy. Zaufaj mi. Wkłada się ją przez głowę.

Heidi zamknęła drzwi od sypialni.

Tymczasem Biz wypełniała profil kuzynki na Gryph-Page'u, wspomagając się informacjami, które mogła odtworzyć na podstawie ich wspólnego dzieciństwa w domku na plaży. W „zainteresowaniach” wpisała: ogrodnictwo, mozaiki, żeglarstwo, gry planszowe. Usiłowała sobie przypomnieć cokolwiek na temat muzycznych upodobań kuzynki. Uśmiechnęła się na wspomnienie starego pamiętkowego pianinka dla dzieci, które ich rodzina trzymała wtedy w salonie. Biz

wygrywała na nim, co umiała, a Doreen podskakiwała, wirowała i tańczyła wokół niej niczym wróżka. Gdy tylko muzyka cichła, Doreen żądała, by Biz grała dalej. W rubryce „muzyka” Biz wpisała więc: Bach, Chopin, Beethoven.

– A ty co wyprawiasz? – syknęła Heidi. Pochyliła się nad Biz i czytała jej przez ramię.

– Co? No, pomagam.

– Gry planszowe? Naprawdę ci się wydaje, że to hobby odpowiednie dla uczennicy trzeciej klasy szkoły średniej? I muzyka klasyczna? Biz, ona chce być popularna w liceum, a nie na uniwersytecie trzeciego wieku.

– Przecież sama lubisz muzykę klasyczną.

– Oczywiście, że lubię, ale w życiu nie będę się z tym obnosić. Zwłaszcza w internecie. Przesuń się.

– To moje biurko! Nie zamierzam...

– Suń się! – warknęła Heidi i Biz niechętnie usłuchała.

– Okropnie się rządysz. – Westchnęła z rezygnacją, ale Heidi nawet nie oderwała wzroku od monitora. – Tylko ostrożnie z tym kłamaniem!

W końcu otworzyły się drzwi od sypialni.

– Dziewczyny? – wymamrotała cichutko Doreen. – Heidi? Mogę już to zdjąć?

– Oj – wymknęło się Heidi. – Oj nie, to jednak nie to.

Sukienka opinała ciało Doreen w wyjątkowo niekorzystny sposób, podkreślała jej tłuste biodra i duży brzuch, a spłaszczała piersi. Heidi przemknęło przez myśl, że być może ten projekt przerasta nawet jej, imponujące przecież, umiejętności.

– Mówiłam ci – jęknęła Doreen.

– Nie przejmuj się. W tej sukience każdy wygląda wulgarnie. Nawet Heidi.

– Hm. No tak, Doreen, miałaś rację. Zdejmij to, proszę. Zaraz coś wymyślimy.

Gdy dziewczyna zniknęła, żeby się przebrać, Heidi zaczęła krążyć po pokoju.

– Nie powinniśmy jednak uderzać w seksapil. Tak, tu trzeba raczej czegoś dramatycznego. – Jej wzrok spoczął na numerze „Vogue’a”, który kupiła sobie do czytania w autobusie, kiedy jechała na kampus. – Chwileczkę. Przecież widziałam tu coś takiego. – Zaczęła kartkować magazyn. – Aha! Jest! To będzie idealne. Doreen?! – zawołała przez drzwi. – Mogę wejść, słonko?!

– Wolalabym, żebyś nie wchodziła.

– Tylko ją zestresowałaś – stwierdziła Biz. – Właśnie tego próbowałam uniknąć.

Heidi machnęła na nią ręką.

– Dobrze, nie wchodzę – zapewniła przez drzwi swoim najsłodszy

głosikiem. – Ale bądź tak dobra i otwórz szafę Biz, tę na prawo. Gdzieś tam z tyłu powinna być taka czerwona sukienka bez ramiączek. Widzisz ją?

– Ale ja już naprawdę nie mam na to siły, Heidi.

– To ostatnia próba, dobra? Obiecuję. Czerwona, bez ramiączek i na metce ma napisane „Carolina Herrera”.

Uśmiechnęła się szeroko do Biz. To będzie to. Wiedziała na sto procent.

Biz wyjęła jej z rąk magazyn i spojrzała na zdjęcie.

– Żartujesz sobie? – syknęła zupełnie nierozbawiona jej zachowaniem.

– Ciiii! Precz z tym negatywnym podejściem – szepnęła Heidi. – Spróbuj wykrzesać z siebie trochę optymizmu, panno Gibbons-Brown. Bo nam się przyda.

– A jak nie, to co?

Heidi wyrwała Biz magazyn.

– Dobrze wiesz, że lepiej mnie nie złościć, Elizabeth. Przecież chcesz, żeby kuzynka cię lubiła, prawda?

– Znów mi grozisz? Naprawdę dzisiaj przesadzasz.

– Po prostu wyciągnij statyw, dobrze? I bardzo proszę, bez dramatyzowania.

Heidi przewróciła oczami. Miała tego dość. Wszystko na jej głowie.

W końcu drzwi znów się otworzyły. Biz i Heidi wstały, żeby zobaczyć swoje dzieło.

– No? I co myślicie? – spytała Doreen.

– Idealnie! – wykrzyknęła Heidi. – Tak, to będzie akurat.

Okręciła Doreen w miejscu. Sukienka wcale nie pasowała idealnie. Wrzynała się pod grubymi pachami Doreen, a zamek nie dopinał się do końca, bo jej plecy były zdecydowanie zbyt szerokie na tak małą ilość materiału. Mimo to była to piękna sukienka. Nie prezentowała się na dziewczynie powalająco, ale Heidi wiedziała już, że przynajmniej ma jakiś punkt zaczepienia.

– Co teraz? Makijaż.

Wpadające przez okno światło księżyca nadawało skórze Doreen nierealną miękkość – jakby była duchem lub aniołem. Zmyła już makijaż obficie nałożony przez Heidi przed sesją zdjęciową, zrobiła kucyk z włosów, które Heidi upięła z takim poświęceniem w rozwichrzony kok, i przebrała się z powrotem w swoją zieloną sukienkę. Była to więc prawdziwa Doreen Gray – naturalna, przyszczata, z chaotycznie pokręconymi włosami. I to właśnie w nią wpatrywała się Heidi z takim podziwem.

Być może to emocje wywołane całym tym dniem albo radość z tak serdecznego przyjęcia, a może po prostu magia letniej nocy wlewającej się przez okno niczym ciężki aksamit sprawiły, że Heidi nagle ujrzała w Doreen piękno.

– Wyglądałaś świetnie, Doreen. Myślę, że spodoba ci się to zdjęcie.

– Naprawdę? – Doreen uśmiechnęła się z wdzięcznością.

Biz siedziała przy biurku pochłonięta zadaniem. Przerzuciła zdjęcia z popołudniowej sesji na komputer i teraz przeglądała je po kolei, szukając najbardziej zbliżonego do tamtego z „Vogue’a”, które wyrwała z magazynu i przypięła do ściany. Jej szczególną uwagę zwróciła jedna z fotek.

Plan średni. Doreen spoglądała prosto w obiektyw, przykuwając wzrok patrzącego i zapraszając, by cieszył się jej urodą. Było to dobre zdjęcie, może nawet świetne. Biz patrzyła na nie z zadowoleniem. Porównała je z tym z magazynu i pomyślała sobie, że Doreen wygląda znacznie ciekawiej i żywiej niż nudna modelka. Oczywiście Biz musiała przyznać w duchu, że na fotografii widać niedoskonałości cery Doreen i nieproporcjonalność jej ciała, lecz gdy zdjęcie tak wspaniale oddaje duszę, jakie znaczenie mają inne szczegóły? Zresztą takie drobiazgi bez trudu będzie przecież można skorygować.

Otworzyła fotografię w programie do obróbki zdjęć. Tylko kilka poprawek, żeby Doreen mogła być z siebie dumna. Biz chciała, by kuzynka odzyskała pewność siebie – ujrzała piękno widoczne dla niej jak na dłoni, choć pewnie nie aż takie oczywiste dla ludzi bardziej powierzchownych, w rodzaju Heidi czy Mamci. Powiększyła zdjęcie i zaczęła wygładzać skórę twarzy.

– Wydaje mi się – zwróciła się do Heidi Doreen – że zdaniem Biz będziesz miała na mnie zły wpływ.

– Oczywiście, że będę – odpowiedziała Heidi. – Jeśli będę miała jakikolwiek wpływ, to z całą pewnością zły, bo tylko taki istnieje!

– Co masz na myśli? Nie wierzysz w pozytywny wpływ?

– Pozytywny może być tylko dla tego, kto wpływa. Ten może czerpać z wpływania garściami. Widzisz, Doreen, dla większości ludzi wolność jest w życiu jedynie źródłem stresu. Przeraża ich podejmowanie decyzji. Żeby im ulżyć, po prostu dokonujesz wyborów za nich. Jest to oczywiście proces subtelny.

Choć chcą się uwolnić od wolności, dalej przecież mają ego. Gdy na nich wpływasz, musisz więc nieustannie utwierdzać ich w przekonaniu, że podążają wybraną przez siebie ścieżką. Ty sama natomiast musisz być czujna i wiedzieć, czego chcesz. Wyróżniać się spośród stada owiec tym, że kochasz prawdziwą wolność i nie oddasz jej za żadną cenę. Musisz, innymi słowy, być niczym twierdza odcięta od zewnętrznych wpływów, by móc utrzymać władzę nad swoim życiem i nad życiem innych.

Doreen miała taką minę, jakby odnalazła jakąś długo skrywaną przed nią prawdę, a to odkrycie doprowadziło ją do euforii.

– Jest w tobie coś wyjątkowego, Doreen – ciągnęła Heidi, bacznie obserwując, jaki efekt wywołują jej słowa. – Zauważyłam to, gdy tylko weszłaś do pokoju. Jestem przekonana, że to naprawdę byłoby coś, gdybyś pozwoliła sobie zaspokajać swoje pragnienia. Weź życie we własne ręce. Niech da ci wszystko, czego pragniesz. A ja ci w tym pomogę.

– Naprawdę, Heidi? – spytała z przejęciem Doreen, a jej wzrok biegał po twarzy dziewczyny. – To byłoby takie wspaniałe! Naprawdę mi pomożesz?

– Co ty tam wygadujesz, Heidi? – spytała Biz. Jej twarz była skąpana w niebieskiej poświacie monitora. – Cokolwiek mówi, nie słuchaj jej, Doreen.

– Biz, nie nudź – mruknęła Heidi i przewróciła oczami.

Doreen się uśmiechnęła. Już kpiła sobie z kuzynki! To będzie łatwizna.

– Gotowe wreszcie? Takie czekanie to istna tortura.

– Prawie, prawie.

Biz skończyła pracować nad twarzą Doreen i przeszła do ciała. „Tylko trochę wygładzimy – powiedziała sobie – nikt nie jest doskonały”. Zresztą przecież po prostu obrabiała zdjęcie Doreen w taki sposób, w jaki opracowano tamto w „Vogue’u”. Przejechała jeszcze cyfrowym pędzlem po ramionach i talii- Doreen.

– Gotowe. Wyszło idealnie. Tylko wrzucę fotkę na GryphPage’a i zaraz ją zobaczysz.

– Nie! – krzyknęła Doreen, zrywając się na równe nogi. – To znaczy... Mogę najpierw zobaczyć? Wiesz, zanim będzie dostępna dla wszystkich?

– A. Jasne. Oczywiście. Czekaj, tylko je wydrukuję. – Pod biurkiem Biz zaszumiała profesjonalna drukarka, którą dostała od ojca. – Myślę, że ci się spodoba.

– Nie przejmuj się tak. – Heidi poklepała Doreen po kolanie. – W tej sukience wyglądałaś naprawdę świetnie.

– Wcale się nie przejmuję – odparła Doreen, nerwowo wyłamując palce.

– Ta, jasne.

– I już, gotowe. – Biz wyciągnęła kartkę z drukarki i spojrzała na nią z zadowoleniem. Położyła zdjęcie na stoliku przed Doreen i Heidi.

Przedstawiało olśniewającą dziewczynę na krześle stojącym wśród pól.

Piękność miała na sobie czerwoną sukienkę bez ramiączek, która leżała tak idealnie, jakby ktoś ją na niej uszył. Jej skóra była cudownie gładka i biała, a fiołkowe oczy spoglądały w obiektyw z zuchwałością pasującą do niewyobrażalnej urody. Smukłe ręce opadały swobodnie po bokach, a czarne włosy spływały kaskadami na plecy. W tej porcelanowej twarzy Doreen odnajdywała nieco znajomych rysów. To w końcu musiał być jej nos, a ta doskonała kropla jasnego różu to najwyraźniej jej usta – te same, które rozdziawiały się teraz, gdy patrzyła na zdjęcie, już bez szminki i spierzchnięte od ciągłego nerwowego przygryzania.

– No, no, kotku, przesłaś samą siebie! Nasza mała Doreen wygląda...

– ... zupełnie jak nie ja! Och, coś ty zrobiła? Nie. Nie! – Zdjęcie drżało w jej dłoni. – Nabijacie się ze mnie! Powinna być się domyślić! – Skryła twarz w dłoniach.

– Yyy... Nabijać się z ciebie? Skąd ci to w ogóle przyszło do głowy? – Biz była przerażona. – Myślałam, że ci się spodoba. Tylko je trochę wyretuszowałam.

– Ha!

– Przepraszam, nie chciałam... Myślałam, że... Nie wiem. Po prostu chciałam dać ci to, czego pragniesz.

– Że niby pragnę wyjść na idiotkę? Przecież w życiu nie mogę twierdzić, że to moje zdjęcie! Zupełnie mnie nie przypomina! Jeśli ludzie to zobaczą... Jesteś okrutna. Obie jesteście okrutne! Och, powinnam wiedzieć, że tak będzie.

– Doreen, uspokój się. Nikt się tu z ciebie nie śmieje – powiedziała Heidi, ale dziewczyna dalej łkała. – Nie podoba ci się zdjęcie? Nie ma sprawy. Biz, wykasuj ten plik z komputera. Daj mi wydruk. – Wyciągnęła rękę w stronę Doreen. – O co tyle hałasu? No, naprawdę. Biedna Biz tylko chciała ci pomóc. – Heidi była zniesmaczona całą sceną. Nie przypuszczała, że Doreen okaże się tak egzaltowana i nierozsądna. – Daj mi zdjęcie, Doreen.

– Po co? – spytała dziewczyna, przyciskając fotografię do piersi. – Co chcesz z nim zrobić?

– Zniszczyć je, oczywiście. Przecież tego chciałaś, prawda? – Heidi wstała i zaczęła krążyć po pokoju. Dłonie zacisnęła w pięści. – Nie znoszę takiej niekonsekwencji. Zdecyduj się. Jeśli zdjęcie ci się nie podoba, podrę je na drobne kawałeczki. I opanuj się wreszcie, żebyśmy mogły porozmawiać o tym jak dorośli ludzie. Twoja kuzynka chciała tylko sprawić ci przyjemność. Naprawdę nie zasłużyła sobie na takie traktowanie!

– Masz rację. Przepraszam. Proszę, nie wściekajcie się na mnie. Przepraszam, Bizzy. Po prostu... Czy wy nie rozumiecie? – Doreen spojrzała na fotografię z nową czułością. – Tak bardzo chciałabym być tą osobą ze zdjęcia. – Otarła łzy. Z czerwoną, opuchniętą od płaczu twarzą jeszcze mniej przypominała dziewczynę z fotografii. – Dałabym wszystko, żeby być tą dziewczyną!

– Ale to jesteś ty! – zapewniła ją łagodnie Biz. – Tylko je trochę wyretuszowałam. Zawsze tak robią w magazynach.

– Naprawdę doceniam twoją pracę, Biz. Ale kiedy patrzę na to zdjęcie, widzę wszystko, czym nie jestem. Nie jestem piękna i olśniewająca. Nigdy nie będę tą dziewczyną, choć bardzo bym tego chciała. Popatrz tylko!

Biz i Doreen spojrzały razem na zdjęcie.

– Widzisz, jakie jej życie musi być łatwe? Wszyscy na pewno ją kochają. To nie ja. To nie tak...

Oczy dziewczyny znów napełniły się łzami.

Biz czule pogładziła ją po głowie.

– Cii – szepnęła. – Już dobrze.

– Ale nie chcę, żebyś je podarła, Heidi. Jest takie... jest piękne. To najpiękniejsze zdjęcie, jakie kiedykolwiek widziałam. Jest boskie. Tylko... jestem zazdrosna. Czy słyszałyście kiedyś coś równie głupiego? Jak w ogóle można być zazdrosnym o zdjęcie? – Pokręciła głową z uśmiechem. – Naprawdę jestem beznadziejna.

– Masz za sobą długi dzień – powiedziała Biz. – Musisz być wykończona.

Doreen oparła głowę na ramieniu kuzynki, a Biz pogłas-kała ją po policzku. Heidi nigdy jeszcze nie widziała, żeby współlokatorka komukolwiek okazała tyle serca.

– Biz ma rację. Wszystkie mamy za sobą długi dzień – powiedziała Heidi, czując, że Biz odbiera jej Doreen.

Ale nie zamierzała się tak łatwo poddawać. Sesja zdjęciowa okazała się kłapą? Może i tak, ale co z tego? Jeszcze odzyska swoją pozycję. Popularności nie oddaje się przecież tak łatwo.

– Słuchaj, Doreen, wpadnij do nas jutro około jedenastej. Ubierzemy cię i pójdziemy razem na lunch. Może rzeczywiście nie należy zaczynać od GryphPage'a.

– Poczekaj, Heidi. Naprawdę wydaje mi się, że już wystarczy. Pogoń za popularnością to zwykła strata czasu. Doreen, oprowadzę cię jutro po kampusie. Zobaczysz, jaką tu mamy technologię do dyspozycji.

– Jako swoją przyjaciółkę? – zwróciła się do Heidi Doreen, puszcżając dłoń Biz.

– Słucham?

– Przedstawisz mnie na lunchu jako swoją przyjaciółkę? Naprawdę zrobiłabyś coś takiego?

– Jasne! – zapewniła ją Heidi. Założyła jej za ucho niesforny lok i otoczyła ją ramieniem. – Przedstawię cię jako swoją przyjaciółkę, a zarazem reprezentantkę -środkowo-zachodniej gałęzi rodu Gibbonsów-Brownów.

– Proszę cię – jęknęła Biz. – Posłuchaj samej siebie. To jakiś absurd.

– Dobra, dobra. To widzimy się jutro o jedenastej.

Doreen zebrała swoje rzeczy.

– Ale, Doreen, czy aby na pewno...

– Naprawdę jestem zmęczona, będzie lepiej, jak już pójdę. Na razie.

Dziękuję, Heidi. Dziękuję za wszystko. I przepraszam za ten napad hysterii. Cześć, Biz! Do jutra! – Z fotografią w dłoni wymknęła się z ich pokoju.

– No, no – mruknęła Heidi, gdy zamknęły się drzwi. Opadła na kanapę przy Biz. – Cóż za fascynujący wieczór!

– Śpisz? – spytała Biz.

– Nie – odpowiedziała Heidi. – I wygląda na to, że ty też nie.

Biz usiadła na łóżku i włączyła lampkę na nocnym stoliku.

– Mogę cię o coś zapytać?

Bez okularów wyglądała jak kret.

– No jasne. Wal śmiało.

Biz podciągnęła kolana pod brodę.

– Dlaczego tak się zainteresowałaś Doreen? Przecież nie należy do tego typu dziewczyn, z którymi zwykle się trzymasz.

– Pozwól, że ci przypomnę, że to twoja kuzynka. To by znaczyło, że należy do tego samego typu dziewczyn co ty, a z tobą się przecież trzymam.

– No tak, ale...

– O co chodzi?

Heidi czuła, że Biz coś męczy, ale nie chce tego powiedzieć.

– To ze względu na mojego brata, prawda? – szepnęła w końcu Biz. – To ze względu na niego się ze mną zaprzyjaźniłaś, czy nie? Żeby się na nim zemścić czy coś.

– Nie. No może trochę, na początku. Zresztą przecież znałam cię, jeszcze zanim poznałam jego.

– Masz na myśli tamto oprowadzanie po kampusie? Raczej trudno powiedzieć, żebyś chciała się wtedy ze mną zaprzyjaźnić.

– Tego nie wiesz. Poza tym Ad-rock i ja to już zamierzchła przeszłość. Gdybym przyjaźniła się z tobą tylko po to, żeby mu dopiec, to przecież zerwałabym kontakty po tym, jak skończył szkołę.

– Pewnie tak.

– Biz, muszę się trzymać z tymi innymi dziewczynami, tymi typowymi laskami z Chandlera, bo inaczej... Trudno mi to wyjaśnić. Po prostu muszę. Ale z tobą nie trzymam się dlatego, że muszę, tylko dlatego, że chcę.

– Dlaczego? Przecież tak bardzo się od siebie różnimy.

Heidi nie miała pojęcia, dlaczego Biz nagle to teraz wyciąga.

– Może to raczej ja powinnam zapytać ciebie, dlaczego się ze mną trzymasz?

Biz spojrzała na Heidi.

– Nie wiem. Po prostu skoro już tu jesteś...

Heidi wybuchnęła śmiechem.

– Co? Co w tym śmiesznego?

– Nic, nic. Słuchaj, Biz, jesteś niegłupia, ja też. To inteligencja sprawia, że ludzie są interesujący. Nie da się tobą manipulować, nigdy nie jesteś wredna i co najważniejsze, nie nudzę się przy tobie. Może powinnam dodać, że to daje ci

niesamowitą przewagę nad twoim tępowym braciszkiem, który jest równie fascynujący jak owsianka. Rozumiesz?

– No dobra. Ty też nie jesteś nudna – powiedziała Biz. Ziewnęła i położyła głowę na poduszce.

– Przestań, bo się jeszcze wzruszę.

– A Doreen? Dlaczego ona?

Heidi wbiła wzrok w biały sufit.

– Doreen jest niczym puste płótno. Czy może być coś bardziej fascynującego? A poza tym jest w niej to coś, czego nie potrafię nazwać.

– Wiem, co masz na myśli – zgodziła się Biz. – Zawsze to miała. Coś takiego, że dałabyś głowę, że wie, co myślisz i czujesz. To chyba ta jej wrażliwość. I to pewnie dlatego się nad nią znęcali.

– Hm – mruknęła Heidi. – Na pewno masz rację.

– Oczywiście, że mam. Nic to... – I już po chwili Biz smacznie sobie chrapała.

*

Heidi długo nie mogła zasnąć. Przeszła do pokoju dziennego, otuliła się kaszmirowym kocem i patrzyła przez okno na pusty dziedziniec. Myślała o swoim pierwszym dniu w Chand-lerze. Niewiele ją wtedy różniło od Doreen. Była ładniejsza, bardziej zadbana, ale też obca. I choć dorastała zaledwie kilka kilometrów od prywatnych podstawówek, w których dzieciaki z Manhattanu uczyły się abecadła, żeby potem wylądować w Chandlerze, równie dobrze mogła pochodzić z innej planety. Pamiętała jak dziś to poczucie zagubienia – jakby wysiadła na złym przystanku autobusowym.

Tylko że w przeciwieństwie do Doreen ona przygotowała się na tę chwilę.

A raczej to on ją na nią przygotował. To on nauczył ją, jak mówić, jak chodzić, jak się zachowywać, tak by wydawało się, że jest u siebie. A po tym, jak zaryzykowała tak wiele, żeby się tu dostać, zrobiła wszystko, by już od pierwszego dnia sprawiać wrażenie, że czuje się tu jak w domu. Znów miała przed oczami siebie podczas tamtego oprowadzania po kampusie pierwszego dnia. Tak okropnie się stresowała w tym swoim pieczołowicie dobranym stroju, z lekkim uśmiezkiem, z którego – taką przynajmniej miała nadzieję – promieniowały duma i spokój. Wyprostowana, pełna gracji.

Oczywiście Biz nie mogła tego docenić. A to właśnie ją obarczono zadaniem zafundowania Heidi piętnastominutowej rundki po kampusie. Zafascynowana swoją olśniewającą szkołą Biz zalewała ją potokiem informacji o Chandlerze przez dobre czterdzieści pięć minut.

Jednak Heidi miała na głowie rzeczy o wiele pilniejsze niż kolekcje białych kruków czy zespoły jazzowe. Tak więc gdy Biz skończyła ją wreszcie ciągać po

kampusie i spytała, czy Heidi ma jakieś pytania, wymknęło się jej jedno, bardzo proste: czy Biz nie zna przypadkiem Addisona Gibbonsa? Akurat stały przy hali sportowej. Heidi wydawało się, że to dość niewinne pytanie, szczególnie że oczywiście bardzo się postarała, by nie było po niej widać, o jak wysoką stawkę toczy się gra.

Biz, którą przedstawiono jej wtedy po prostu jako Elizabeth, przerwała monolog i wbiła wzrok w Heidi.

– Masz na myśli Gibbonsa-Browna? – spytała.

– Yyy, tak, właśnie. Ja... yyy... Nasze matki się znają, więc miałam go niby znaleźć.

Heidi uśmiechnęła się niewinnie niczym kreskówkowa sarenka.

– Jak się nazywa twoja matka? – drażyła Biz, mierząc Heidi takim spojrzeniem przez te swoje brudne okulary w drucianych oprawkach, jakby ta miała kłamstwo wypisane na twarzy.

– A! Yyy, chodzi o to...

– Bo Addison to mój brat – dodała Biz. – Więc jego matka jest też oczywiście...

– Twoją matką! Oczywiście. Ja nie... znaczy... pewnie nie słyszałaś... Nie znają się znowu aż tak dobrze... Twoja matka pewnie nawet nie pamięta mojej. Wpadły na siebie na przyjęciu charytatywnym. W Hamptons. Latem. Jakoś tak się zgadały...

To naprawdę było na przyjęciu. Przyjęciu w pięknej rezydencji. Gloria bez końca nawijała o Addisonie. Nie w rozmowie z matką Heidi – która w życiu nie była w Hamptons, a datki przekazywała tylko na Kościół katolicki – ale z samą Heidi. *Och, jaka szkoda, że nie ma tu Addisona, mogłabym cię przedstawić! Byłby tobą zachwycony, prawda, Rolandzie? Och, jesteś taka urocza. Jakże byłoby miło, gdyby przyprowadził do domu dziewczynę z odrobiną inteligencji. Rolandzie, dlaczego mi nie powiedziałaś, żebym go tu wzięła? Moglibyśmy ich ze sobą poznać. Ale i tak się przecież poznacie. Oczywiście, że spotkacie się prędzej czy później.*

– Zgadały? – prychnęła Biz. – Gadać to ona z pewnością umie. – Jej usta wygięły się w pogardliwym uśmiechu. – I oczywiście mówiła o Addisonie, ale nie o mnie, Elizabeth? Mimo że my dwie jesteśmy w tym samym wieku.

– Och, może mówiła i o tobie. Na pewno o tobie też, więc świetnie, że... To znaczy... – wybąkała Heidi.

Powinna była poczekać, najpierw zorientować się w stosunkach panujących na kampusie, a dopiero potem szukać jego siostrzeńca. Ale nie mogła się powstrzymać. Ponieważ cały ten ryzykowny blef uszedł jej na sucho, teraz poruszała się siłą rozpędu.

– Ciebie też miło poznać – odparła Biz. – A Addison jest tam. – Wskazała na boisko, gdzie chłopcy kopali piłkę. – To ten bez koszulki. Nie ma zwyczaju jej

nosić.

– A. Okej.

– Czekaj, zaraz cię przestawię. Addison! Jest tu taka śliczna dziewczyna i mama chce, żebyś ją poznał! – wrzasnęła Biz przez cały dziedziniec.

Chłopak spojrział w ich stronę, a potem z uśmiechem przytruchtał do nich, ubrany tylko w sprane spodnie od dresu i tenisówki.

– Dzięki, Elizabeth – szepnęła Heidi.

– Biz – poprawiła ją Biz i poszła sobie.

Heidi szybko się zorientowała, że Ad-rock jest tępy jak noga stołowa i tak zadufany w siebie, że by zdobyć jego serce, wystarczy kilka razy ścisnąć jego bicepsy. *Niech im się wydaje, że dajesz im to, czego chcą, że to oni prowadzą ciębie.* Tak ją nauczono i rzeczywiście działało bez pudła. Zalewała Addisona potokiem komplementów i zapewniała go bez końca, że jego brak pewności siebie jest zupełnie nieuzasadniony. W zamian on wprowadził ją w najwyższe kręgi na kampusie. Gdy już poczuła się w nich wystarczająco pewnie i gdy już miała serdecznie dość udawania, że szaleńczo fascynują ją te wszystkie nudne rzeczy, którymi nieustannie był zaprzątnięty mózdzek Addisona – siłownia, gry wideo, golf, pozeranie niesamowitych ilości mięsa – rzuciła go. Bez litości. To złamało jego głupie małe serce, a ją z dnia na dzień przemieniło z nikomu nieznaną nową uczennicą w fascynujący obiekt pożądania.

Czegóż chcieć więcej? Do dziś uważała, że był to z jej strony jeden z najskuteczniejszych manewrów towarzyskich. Choć musiała przyznać, że głupio zrobiła, wybierając akurat Addisona. Na kampusie było tylu innych ciekawszych, starszych chłopców, a związek z siostrzeńcem Rolanda narażał ją przecież na to, że wyjdzie na jaw ich mały układ. Mogła stracić wszystko. Dlaczego więc to zrobiła? I dlaczego gdy tylko zakończyła ten romans, natychmiast zaprzyjaźniła się z jego siostrzenicą?

Wystarczyło, że znów spojrzała na chaotyczną galerię nad biurkiem Biz, by od razu znać odpowiedź na to pytanie. To, co powiedziała przyjaciółce, było po prostu prawdą – Biz była ciekawym człowiekiem, jedną z bardzo niewielu osób na kampusie, które nie zanudzały Heidi na śmierć. Tak, była siostrzenicą Rolanda, i co z tego? Przez te dwa lata, kiedy ze sobą mieszkały, Roland prawie nigdy nie wpływał w rozmowie. Biz nie przepadała za wujem i rzadko o nim wspominała.

Czy podobnie nie będzie z Doreen? Było jasne, że nie miała z nim wiele do czynienia. Jakkolwiek by patrzeć, i ją odrzucił, prawda? A biedaczka zdawała się taka samotna i przez wszystkich opuszczona. Heidi była pewna, że może jej pomóc. A skoro tak, czy nie byłoby z jej strony okrutne, wręcz niemoralne, nie pomóc durnej gęsi? Czy nie zrobi dobrego uczynku, jeśli przez ten ostatni rok w szkole wykorzysta swoją władzę, by pomóc komuś, kto nie miał tyle szczęścia, co ona? Potrafiła zabijać nudę na wiele sposobów, ale być może tym razem

powinna być ambitniejsza? Dlaczego nie wykorzystać swojego talentu, by stworzyć coś wielkiego, tak jak Biz robi to w dziedzinie fotografii?

Heidi westchnęła. Włączyła lampkę na swoim biurku i z górnej szuflady wyciągnęła cieniutki złoty zegarek. Obróciła wysadzaną diamentami tarczę. Dostała go w prezencie tamtego lata, gdy pracowała na recepcji w Montauk Inn. To tam poznała Rolanda Gibbonsa. To cacko zastąpiło inny, mniej elegancki zegarek, który poprzedniego wieczoru zostawiła w pokoju Rolanda, nim wyszli na przyjęcie mające raz na zawsze zmienić jej życie. Roland nie znosił brzydoty. Tamten stary zegarek wyrzucił, a jej dał tę błyskotkę – jako upominek, a zarazem kolejny krok w swoim planie udoskonalania Heidi. Nie oponowała. Wydawało jej się wtedy, że ten zegarek to najpiękniejsza rzecz, jaką kiedykolwiek widziała, a w każdym razie jaką kiedykolwiek miała.

Trzecia nad ranem. Heidi wrzuciła zegarek z powrotem do szuflady i zatrzasnęła ją. Za chwilę tata wstanie, by zdążyć na poranną zmianę. Wyobraziła sobie, jak budzi się obok matki w ich starym drewnianym łóżku, nad którym wisiał krzyż. Roland miał wszystko, a zachowywał się, jakby jego życie było niezwykle ciężkie. Ojciec Heidi był szczęśliwy, choć nie miał nic. Lubił przesiadywać w O’Keefe’s i sączyć wodę gazowaną. Przestał pić mniej więcej wtedy, gdy urodziła się Heidi, ale tacy faceci jak jej ojciec po prostu mają zwyczaj przesiadywać z kumplami w barze, więc to właśnie robił. Siedział zatem przy szklance wody i opowiadał wszystkie te zabawne historyjki o swoim życiu, o życiu rodziny – historyjki prawdziwe albo prawie prawdziwe, albo takie, które za prawdziwe mogły ujść tylko w ustach takiego bajeranta jak Brian Whelan.

Zawsze był z niej taki dumny. Za każdym razem, gdy przynosiła do domu świadectwo, zabierał je do pracy.

– Urodę ma po matce, to chyba jasne, ale łeb?! Łeb ma po swoim starym – chwalił się.

– Jestem z ciebie taki dumny, słonko – zachwycił się, gdy powiedziała mu, że dostała wakacyjną pracę w Montauk.

Poklepał ją mocno po plecach.

– Jedzie do Hamptons, chłopaki. Obracać się w wyższych sferach, słowo daję – chwalił się kumplom w O’Keefe’s, gdy przyszła zawołać go na kolację. – Ani się obejrzymy, a będziesz wielką panią i nawet na nas nie spojrzysz.

Ale tego właśnie pragnął, prawda? Przecież niemożliwe, żeby chciał, by na zawsze została w Yonkers.

– Musisz być zawsze pierwsza – powiedział, gdy podarował jej tamten tani zegarek. Miał białą tarczę i pasek z czarnej skóry. – Zawsze. Nie daj się nikomu wyprzedzić. Bądź jak najwcześniej i zorientuj się, co i jak. Musisz wiedzieć, z czym przyjdzie ci się zmierzyć.

Zapewniła go, że tak robi, choćby nie wiem co. Ojciec przeżył w życiu

wystarczająco dużo rozczarowań. Poprzysięgła sobie, że nie będzie jednym z nich.

W ciemnościach uśpionego kampusu Heidi płakała nad utraconym zegarkiem od ojca – nad zegarkiem ciśniętym przez rozpieszczonego playboya do hotelowego kosza na śmieci. Teraz dałaby wszystko, by go odzyskać. Czasami zdawało jej się, że kłębiący się w niej wstyd zżera ją od środka.

Ale się zmieni. Stanie się dobrym człowiekiem. Pomoże Doreen, to będzie dobry uczynek. Może nawet opowie o tym ojcu. „Użyłam swojego talentu, żeby pomóc smutnej, samotnej dziewczynie zacząć od nowa, mieć lepsze życie. Jesteś ze mnie dumny, tatusiu? Czy nie tego się po mnie spodziewałeś?”

– Dzień dobry, tatusiu – szepnęła, pozwalając sobie na swój prawdziwy akcent.

„Śpij, śpij, moja mała Heidi”, odpowiedział w jej wyobraźni. Była zmęczona, zbyt zmęczona, by myśleć. Myśli kłębiły jej się w głowie. Wyciągnęła się na kanapie i usnęła.

Gdy tylko Doreen otworzyła oczy, dopadło ją dziwne uczucie. „Pewnie przez to, że spałam w nowym miejscu”, pomyślała. Leżąc, przypominała sobie wydarzenia minionego wieczoru – jaka była szczęśliwa, gdy zainteresowała się nią Heidi, dziewczyna chyba jeszcze piękniejsza niż najpopularniejsze uczennice z jej poprzedniej szkoły. A potem przypomniała sobie tamto wyretuszowane zdjęcie, wróciła do rzeczywistości i znów poczuła się równie beznadziejnie jak zawsze.

„Biz chciała dobrze”, powiedziała sobie, choć zrobiło jej się słabo na myśl o tym, jak dużo pracy kuzynka musiała włożyć w retusz, żeby zdjęcie ładnie wyglądało. Mimo to miała ochotę znowu na nie spojrzeć. Było przecież zachwycające niczym piękny sen. Wyciągnęła fotografię z szuflady nocnego stolika, gdzie schowała ją poprzedniego wieczoru. „Spojrzę tylko jeden, ostatni raz – obiecała sobie. – A potem podrę je na sto kawałków”.

Dobrze wiedziała, że lepiej nie marnować czasu na takie nierealne marzenia. Ale pozwoli sobie na ostatnie spojrzenie. Włączyła lampkę przy łóżku, żeby lepiej widzieć.

Jednak zdjęcie nie wyglądało wcale tak, jak je zapamiętała. Przysunęła je bliżej. Zamiast pięknej nieznajomej na fotografii zobaczyła prawdziwą Doreen, siedzącą niepewnie na krześle w środku lasu, w niedopasowanej sukience, ze zbyt mocnym makijażem i wymuszonym uśmiechem. Zamrugła. Czy tamten anioł o idealnej cerze był tylko jej wymysłem? Czy tylko jej się przywidziało? Wygramoliła się z łóżka i uniosła żaluzję. Ale w pełnym świetle jeszcze wyraźniej było widać, że dziewczyna na zdjęciu wcale nie jest wcieleniem piękna i wdzięku, a jedynie Doreen, jaką znała z lustra – rażąco niedoskonałą.

Wyrwał jej się krzyk rozpaczy. Jak mogła sobie wmówić, że jej własne żałosne ciało przeobraziło się na zdjęciu w boginię z wyobraźni? Och, jakże nie znosiła swojego wyglądu, tej twarzy, tej cery. Stała przed lustrem, by znów ujrzeć tę ohydę w całej okazałości. Z obrzydzeniem spozjrzała na swoje odbicie. I zobaczyła to obrzydzenie... na twarzy idealnej dziewczyny ze zdjęcia.

Co?

Doreen nie mogła uwierzyć własnym oczom. Piękna dziewczyna w lustrze miała na sobie fioletową flanelową piżamę, którą matka Doreen przywiozła z Nashville, tę samą, którą Doreen włożyła wczoraj przed snem. Gdy poruszyła dłonią, dziewczyna wykonała ten sam ruch. Powierzchnia lustra pozostała twarda i gładka, ale jej własna skóra była w dotyku miękka i miała kremowy odcień. Patrzyła, jak dziewczyna w zwierciadle dotyka własnej twarzy, jak rozdziawia ze zdziwienia swoje piękne usta, jak jej idealnie zarysowane brwi unoszą się w zdumieniu.

Powoli, powoli docierało do niej, co się stało. Wypowiedziała życzenie, czy

nie tak? Życzyła sobie, by być tą dziewczyną ze zdjęcia, piękną, którą Biz stworzyła z pikseli i światła. Stała tak i wpatrywała się w swoje odbicie, bojąc się, że gdy tylko odwróci wzrok, wszystko będzie jak dawniej. Chciała zatrzymać tę chwilę, sprawić, by nigdy się nie skończyła. Położyła dłoń na tafli lustra i napawała się tym boskim widokiem.

*

Do dziewiątej rano Heidi zdążyła przebiec sześć kilometrów, wziąć prysznic, zrobić sobie peeling twarzy, umyć, wysuszyć i idealnie wyprostować swoje lśniące włosy. Potem, sprawnie lawirując w ich małej kuchni w internacie, upiekła całą blachę czekoladowych ciasteczek nafaszerowanych marihuaną. Zrobiła je dla pani Jenkins, sekretarki dyrektora. Ułożyła je na papierowym talerzu, owinęła w folię i przewiązała różową wstążką. Później przez nadal pusty dziedziniec ruszyła w ciepłe wrześnie słońca w kierunku sekretariatu.

Z doświadczenia wiedziała, że pani Jenkins nie potrafi się oprzeć czekoladzie. Wiedziała również, że marihuana rozwiązuje jej język (choć prawdopodobnie sama pani Jenkins tego akurat o sobie nie wiedziała). Gdy tylko Heidi chciała dotrzeć do jakiejś tajemnicy albo wyszperać jakieś brudy na temat kogoś ze szkoły, piekła czekoladowe ciasteczka, wsypując do nich hojnie porcję trawy. Potem wystarczyło już tylko dostarczyć je pod jakimś pretekstem pani Jenkins, siąść i czekać na odpowiedzi.

– Heidi! – wykrzyknęła pani Jenkins z za swojego zabałaganionego biurka rano dzień po tym, jak na kampusie pojawiła się Doreen Gray. – Lekcje nawet się jeszcze nie zaczęły, a ty już rozdajesz ciasteczka? I to z samego rana. Jesteś niezdolna – dodała, wygrażając jej żartobliwie palcem.

Ubrania sekretarki były nijakie i bezkształtne, a okrągłe okulary, dawno już niemodne, zupełnie nie pasowały do jej twarzy. Jasnobrązowe włosy nosiła związane gumką w kucyk. A jednak mimo wszystkich tych mankamentów jej gładka cera i entuzjastyczne podejsie sprawiały, że wydawała się młoda.

– Dzień dobry, proszę pani. Jak minęły wakacje? Przepraszam, że zawracam głowę. Widzi pani, upiekłam te ciasteczka dla mojej współlokatorki Elizabeth Gibbons-Brown. Zna ją pani? Zrobiłam je, żeby pomóc jej uwieść takiego jednego nerda, ale okazuje się, że on zainteresował się inną. Biedna Bizzy, jest taka załamana, że nic nie chce jeść. Mówi, że nawet nie da rady patrzeć na te ciasteczka. Zjadłam, ile mogłam, ale pomyślałam, że może pani pomogłaby nam się ich pozbyć. Żal wyrzucić, sama pani rozumie. Tak by mi pani pomogła. – Heidi położyła talerz na biurku sekretarki i podsunęła go jej pod sam nos.

– Rozumiem, oczywiście. Chłopcy potrafią być tacy niestali w uczuciach, prawda? Dobra z ciebie przyjaciółka, Heidi. Siadaj, proszę. – Pani Jenkins nie mogła oderwać wzroku od ciasteczek. – Wiesz, zwykle nie pozwalam sobie na taką

rozpustę, szczególnie tak wcześnie rano, ale akurat dziś nie miałam czasu na śniadanie. – Uniosła brew, jakby szukała aprobaty Heidi.

– Oczywiście, proszę pani. – Dziewczyna starała się ją zachęcić. – Proszę się częstować. Może od razu dwa? To w zasadzie jak bułeczki. Co za różnica, prawda? Moja matka zawsze mówi: „Śniadanie zjedz sam, obiadem podziel się z przyjacielem, a kolację oddaj wrogowi”. To klucz do pięknej figury.

W rzeczywistości cytowała nie własną mamę, ale matkę Biz. Mamcia miała chyba z milion takich trafnych powiedzonek.

– Mądra kobieta – zgodziła się pani Jenkins i odwinęła folię z talerza, by wziąć od razu największe ciastko.

Heidi oparła się wygodnie i czekała, aż marihuana zadziała.

I rzeczywiście pani Jenkins opowiedziała jej wszystko ze szczegółami. Burzliwy rozwód, sprytny prawnik. Doreen i jej mama zostały bez grosza przy duszy. W akcie desperacji wróciły na Środkowy Zachód, a tymczasem Roland znalazł wkrótce pocieszenie w ramionach nowej żony, pięknej modelki (Heidi pamiętała ją aż za dobrze), która urodziła mu nowe piękne dzieci. Dlaczego wszystko to brzmiało tak znajomo? Powoli szła przez szkolny dziedziniec, analizując fakty. Rodzice Heidi nigdy jej nie porzucili. Wręcz przeciwnie, bardzo ją kochali, często jej o tym mówili, zawsze czekali na telefon od niej, choć nigdy nie dzwoniła. Ale samo to, że znów miałyby żyć nużącym życiem szarego zjadacza chleba, gdy tymczasem Roland wybierał smakołyki z pater i błyskotliwie żartował na temat debiutantek – to było takie niesprawiedliwe! Doreen podobnie: powinna być z nim, tak jak on cieszyć się łatwym życiem, ale nie! Znęcano się nad nią, zniszczono ją, czuła się zerem.

Potem matce Doreen udało się wtargnąć na jakieś przyjęcie (brawo!). Heidi też była kiedyś na jednym z nich. W długiej jedwabnej sukni z zielonego szyfonu w wielkie kwiaty, którą Roland pożyczył dla niej od siostry, Heidi wmieszała się w tłum bogaczy i sław. Suknia miała odkryte plecy i wcięcie w talii. Dziewczyna wciąż spoglądała ukradkiem w każde mijane lustro, a tych nie brakowało w rezydencji w Bridgehampton, gdzie odbywało się przyjęcie. Choć od tamtej pory minęło kilka dobrych lat, wciąż aż za dobrze pamiętała miękkość tego wysmienitego jedwabiu, gdy opuszkami palców muskała krawędź sukni. Była taka piękna. I ona, Heidi, też była piękna – bardziej elegancka i ponętna niż kiedykolwiek przedtem. Powiedział, że ten krój eksponuje jej obojczyki. Nigdy przedtem nawet by jej do głowy nie przyszło, że to część ciała warta wyeksponowania, ale teraz, gdy już o tym wiedziała, nie mogła się powstrzymać, by nie dotykać ich raz po raz, gdy rozkoszowała się rozmowami z elitą.

Roland przedstawił ją jako swoją „małą protegowaną”. Opowiedział znajomym, jak znalazł ją na recepcji w hotelu niczym smutną, uwięzioną w klatce ptaszynę.

– Jak to miło z twojej strony, że usłyszałeś moją tęskną pieśń i mnie uwolniłeś – dodała Heidi z uśmiechem, skupiając się na tym, by mówić z tym wyszukany akcentem, którego nauczył ją Roland. – Był to z twojej strony bardzo dobry uczynek.

– To nie miało nic wspólnego z dobrymi uczynkami – odparł Roland, a ludzie wybuchnęli śmiechem.

Zauroczyła ich. Była taka dowcipna. Mówiła zabawne rzeczy, mądre rzeczy. Zawsze próbowała zgadnąć, co on by powiedział, gdyby był kobietą. Naśladowała jego śmiech, jego sposób mówienia. Wszyscy sączyli szampana, raczono się krabami, homarami i rybami. Ludzie byli tacy piękni. Ona była piękna. Jej palce tańczyły na obojczyku.

– Widzisz? – szepnęła jej do ucha. – Widzisz, jakie to proste? Tu są sami idioci.

Jego głos był niczym pochodnia. Nigdy w życiu nie czuła się tak inteligentna i tak silna.

Później, gdy jechali jego porsche z powrotem do hotelu (na jej oko policja raczej nie uznałaby go za wystarczająco trzeźwego, by mógł sięść za kółkiem, ale kimże była, żeby to oceniać?), pytał o jej zdanie na temat wszystkich. Chciał konkretów. Z kim rozmawiała? Co powiedziała? Co kto jej odpowiedział?

– Chyba zawsze mi się wydawało, że bogaci i sławni ludzie są mądrzejsi czy bardziej interesujący niż ci, których znam. Ale tak nie jest – przyznała.

Jechał trasą 27. Na zewnątrz było ciemno – w miejskim życiu Heidi nie istniały aż takie ciemności. Miała ochotę poprosić go, żeby otworzył dach. Na pewno było widać gwiazdy.

– Aha! – Roland triumfował. – Teraz zacznasz rozumieć, co próbowałem ci wyjaśnić. Możesz być, kim chcesz, Heidi. Jestem o tym przekonany. I to nie dlatego, że jesteś piękna, a w każdym razie nie tylko dlatego. Jest tyle pięknych dziewcząt, moja droga, ale żadna z nich nie ma tego, co ty.

– Czyli czego? – spytała z zapartym tchem. – Co jest we mnie takiego wyjątkowego?

Poprawił lusterko, żeby móc na nią spojrzeć. Jej serce przepełniła nadzieja, gdy czekała, aż wypowie swój osąd na temat jej zalet – jej wigoru, jej wdzięku, jej dobroci. Co takiego wybierze?

Skręcając w West Lake Drive, powiedział:

– Nie masz nic do stracenia.

Jakaś matka targająca lampkę i torbę z kijami golfowymi potrąciła Heidi, wrywając ją z zamyślenia. Dziedziniec już tętnił życiem. Wokół kampusu parkowało coraz więcej drogich samochodów. Rodzice i rodzeństwo uczniów wypakowywali plastikowe skrzynki, tablice korkowe i wielkie płócienne torby pełne szytych na miarę ubrań w zielone i granatowe pasy. Mieli tak łatwo!

Zacisnęła dłoń w pięść, ale zaraz ją rozluźniła. Wiedziała aż za dobrze, że zazdrość prowadzi donikąd. Była bystrzejsza od nich wszystkich. Była od nich wszystkich lepsza, bo dotarła tu sama, osiągnęła to wszystko własnym sprytem.

Do Smith Hall właśnie wchodził chłopak, który się w niej kochał. Niósł jakiś wiatrak. Pomachał do Heidi, a ona odpowiedziała łaskawym uśmiechem. Tak się ucieszył, że aż rąbnął w ścianę. Poszła dalej.

Roland się mylił. To oni wszyscy nie mieli nic do stracenia, nie ona. Nie da się spaść z wysokości, jeśli się jest w środku – nie spada się przecież, jeśli siedzi się wygodnie na kanapie i spogląda w dół na świat z najwyższego piętra w najlepszym apartamentowcu. Nie. Ci, którzy bezpiecznie siedzą w budynku, nie ryzykują. To ci z zewnątrz – natręci myjący okna, ludzie tacy jak Heidi, którym udało się już wcisnąć stopę między drzwi, ale reszta wciąż powiewa na wietrze – to oni mogą w każdej chwili runąć na ziemię, gdy tylko ktoś przejrzy ich grę. Ludzie tacy jak Heidi nie zjeżdżają windą. Oni spadają szybko i rozbijają się o chodnik niczym ochłapy mięsa.

Heidi mogła stracić wszystko. Roland miał moc, by jej to wszystko dać, a teraz mógł jej to wszystko odebrać – wystarczy, że będzie miał taki kaprys. Nie. Doreen to zbyt ryzykowna sprawa. To głupie. Heidi musi się skupić, dostać na uniwersytet, koniecznie należący do Ligi Bluszczowej, musi być najlepsza. Zapomnieć o Rolandzie, zapomnieć o Doreen i skoncentrować się na celu. Oto cała prawda.

Tylko że była w tym taka samotna. Bez względu na to, jak daleko zaszła, w Chandlerze nie czuła się u siebie. Ale w Yonkers też już nie. W ten sposób Roland Gibbons zmienił ją raz na zawsze. Uczynił z niej dziewczynę rozdartą między dwoma światami. I czy nie tak samo skrzywdził Doreen? Czy mógł istnieć ktoś, kto czuł się wszędzie tak nie na miejscu jak ta biedna, zagubiona dusza?

„Jesteśmy jak siostry – pomyślała Heidi. – Łączy nas to, że nas odrzucił. Ale wygramy z nim. Nie będziemy już same. Będziemy razem. Heidi i Doreen. Ukształtuję ją tak, jak on ukształtował mnie, ale w przeciwieństwie do niego ja nigdy jej nie opuszczę. Będę przy niej jako przyjaciółka, siostra, przewodniczka”. Poczwała, że ma misję. Jakby urosły jej skrzydła. Jakby odzyskała godność. Była pewna, że jeśli pomoże Doreen, uwolni się od Rolanda raz na zawsze. Wydobędzie jej urodę, jej grację. A pozycja społeczna, o którą tak długo walczyła, nabierze zupełnie innego znaczenia, gdy będzie mogła się nią z kimś podzielić.

Przypieszyła kroku. Doreen była przekonana, że Heidi przedstawi ją wszystkim w stołówce dziś po południu, ale na to było o wiele za wcześnie. Miały przed sobą jeszcze dużo pracy.

*

Heidi zastała Biz w piżamie.

– Leniuchujemy? No proszę, to do ciebie zupełnie niepodobne – powiedziała.

– No tak. Słuchaj, Heidi, chciałam z tobą pogadać.

– Chyba nie muszę ci przypominać, że Doreen będzie tu o jedenastej. – Zaczęła poprawiać ustawienie mebli, układać książki.

– Tak, pamiętam o tym. I właśnie o niej chciałam z tobą porozmawiać. Doreen, Heidi nie jest taka jak ty.

– Coś ty? – prychnęła ubawiona Heidi. – Chcesz przez to powiedzieć, że jest bardziej jak ty, co?

Starannie ułożyła poduszki na kanapie.

– Nie. Znaczy tak, znaczy to moja kuzynka, więc z genetycznego punktu widzenia...

– Tak, Elizabeth, masz rację. I być może ma także jakieś odległe wspomnienia o tym, jak wałęsałyście się razem po waszej rodzinnej posiadłości w Amagansett, ale na tym podobieństwa się kończą. Bo widzisz, kochana, Doreen to outsiderka. A ty nie masz pojęcia, jak to jest, bo urodziłaś się w środku.

– Ja? Co? Że niby nie wiem, jak to jest nie należeć do grupy? Żartujesz sobie czy co?

– Hm.

– Ale żeś się uparła. Że niby jestem Gibbons-Brown, więc życie miałam usłane różami, tak? Jasne, jasne.

Biz naprawdę się wkurzyła. Pieniądze pieniędzmi, ale ta dziewczyna rzeczywiście wcale nie miała tak łatwo.

– No dobrze. Może też miałaś trochę pod górkę, ale to jednak zupełnie co innego. My z Doreen...

– Proszę tylko o jedno – powiedziała Biz powoli i zdecydowanie – nie zniszcz jej. Rozumiesz, Heidi? Bądź ostrożna. To niewinna dziewczyna i chciałabym, żeby taka pozostała. Taka powinna pozostać. Słyszysz, co do ciebie mówię? Trzymaj się od niej z dala.

– Bo co? – syknęła Heidi, opierając dłonie na biodrach. – Bo mnie zbesztasz?

W tej samej chwili usłyszały pukanie.

– O jagniątku mowa... – mruknęła ironicznie Heidi, podchodząc do drzwi.

Biz opadła na fotel, marszcząc czoło z niepokoju, i zaraz potem usłyszała krzyk:

– Doreen?! Boże, co ci się stało?!

Biz rzuciła się do drzwi, żeby zobaczyć, co się dzieje, a gdy ujrzała Doreen, także krzyknęła ze zdumienia. Doreen jednak przyjęła ich reakcję ze spokojnym uśmiechem.

– Mogę wejść? – spytała cicho.

– Oczywiście! – zapewniła ją Biz i odsunęła się, robiąc przejście.

Współlokatorki patrzyły z otwartymi ustami, jak Doreen wchodzi do ich pokoju i ostrożnie przysiada na kanapie.

– Nie zamkniecie drzwi? – spytała i zaśmiała się lekko.

Przez tę jedną noc dziewczyna uległa jakiejś dziwnej przemianie. Nie była już tą tłustą niezdara, którą poznały wczoraj, wysmukłała i nabrała gracji. Jej pryszczata skóra stała się gładka i rozświetlona, a żalosna szopa zmieniła się w boskie czarne loki. Zamrugła i spojrzała spod długich rzęs tymi przejmującymi fioletowymi oczami. Była niczym tamta piękność z wyretuszowanego przez Biz zdjęcia.

– Obiecałaś mnie ubrać, Heidi – odezwała się. Wstała i okręciła się w miejscu. – Masz jakiś pomysł?

Heidi w końcu otrząsnęła się z szoku. Uśmiechnęła się szeroko. To się musi udać! Nawet ta zielona sukienka z wczoraj dziś wyglądała na Doreen świetnie.

– Doreen, wyglądasz ślicznie. Naprawdę. Już szukam dla ciebie jakichś ciuchów, kochanie. Biz, zamknij paszczę.

Doreen uśmiechnęła się swoimi truskawkowymi usteczkami i dała się zaprowadzić do sypialni. Biz wciąż stała w piżamie, niepewna, co właściwie przed chwilą widziała.

– Chyba zjawę – wyszeptła, kręcąc głową z niedowierzaniem.

– To nie byłoby kłamstwo, prawda? Gdybym po prostu nie wspominała o niektórych wydarzeniach z przeszłości? – spytała Doreen.

Przez większość drogi do stołówki udawało im się trzymać bezpiecznych tematów, ale teraz, gdy cel był już w zasięgu wzroku, Heidi dosłownie słyszała, jak Doreen wali serce.

Heidi zresztą też dopadł niepokój – może zbyt się pospieszyły? Ale przecież to tylko obiad w stołówce. Od czegoś trzeba zacząć. A dziewczyna naprawdę prezentowała się dziś bosko. Wybrały prostą letnią sukienkę z szafy Heidi. Wyglądała w niej dziewczęco i seksownie zarazem, w niczym nie przypominała tej sieroty z wczoraj. Heidi nie miała pojęcia, jak Doreen dokonała tej przemiany, ale była przekonana, że jej wpływ był tu kluczowy.

– Wolałabym niczego nie zmyślać. A może jednak powinnam? Sama nie wiem. Czy potrzebuję jakiejś historyjki?

– Nie, kochanie – zapewniła ją Heidi. – Twoja rodzina ma tu bardzo mocną pozycję. Wszyscy pamiętają Addisona, a choć Biz jest może trochę dziwna, wszyscy ją akceptują, bo ma nazwisko. Jeśli nie będziesz za wiele mówiła o swoim życiu, sprawisz po prostu wrażenie tajemniczej i pociągającej. Sama tak zrobiłam. W życiu nie powiedziałam żadnego kłamstwa ani o sobie, ani o swoim wychowaniu. Po prostu milczałam jak głaz. Małomówność sugeruje wyższość, Doreen. Zobaczysz.

To wyznanie dużo dla Heidi znaczyło. Wprawdzie nie zdradziła żadnych konkretów, ale nawet taka, choćby najdelikatniejsza aluzja do jej skromnego pochodzenia była bardzo nie w jej stylu. A jednak nowej przyjaciółce była gotowa opowiedzieć nawet więcej, lecz dziewczynę zbyt pochłaniała własna historia, żeby w ogóle interesować się Heidi.

– Z pewnością masz rację. – Doreen ścisnęła jej rękę. – Tak strasznie ci za wszystko dziękuję.

„Nie ma sprawy – pomyślała Heidi. – Jeszcze będziesz miała okazję mi się odwdziaczyć”.

– Raz kozie śmierć, nie? – mruknęła Doreen.

– Nie mówi się „nie” – poprawiła ją Heidi.

*

– No to czas na naszą ulubioną jesienną grę: kto w te wakacje zrobił sobie nos? Nie mogę się pozbyć wrażenia, że coś się zmieniło w twojej twarzy, Misha.

– Odczep się, Gordon.

– Uważam, że wygląda świetnie. Meesh, wyglądasz super – powiedziała Miyuki.

– Nie zrobiłam sobie żadnej operacji, jasne?
– Jasne, jasne. Po prostu twój nos jakoś tak się skurczył.
– Może tak!
– A może to twarz jej urosła, a nos został taki sam.
– Zamknij się, Frankie!
– Właśnie, Frankie, zostaw ją w spokoju. Przecież dziewczyna dopiero dochodzi do siebie po zabiegu.
– Wrrr. Nie znoszę was.
– A ty co o tym myślisz, Doreen? A, racja. Przecież nie znałaś przedtem Mishy. No więc wyobraź sobie taką samą dziewczynę, tylko z mniej wyrafinowanym nochem.

– Gordon, ja cię zabiję.

– Ratuj, Doreen! Ona mi grozi! Pomocy! Pomocy!

Heidi miała rację. Gdy tylko usłyszeli, że Doreen jest kuzynką Gibbonsów-Brownów, nikt już o nic nie pytał. Teraz, w ostatniej klasie, wszyscy mieli siebie tak serdecznie dość, że zarówno chłopcy, jak i dziewczęta rzucili się na nią zachłannie, szczęśliwi, że pojawił się ktoś nowy. No, może chłopcy rzucili się nieco zachłanniej – opaleni, z większymi mięśniami po lecie na łódkach, tłoczyli się wokół nowej dziewczyny niczym nakręcone zabaweczki.

– Misha, nie ma się czego wstydzić. Wyglądasz świetnie. Naprawdę! Czekaliśmy na ten zabieg całe lata. Doreen, sama powiedz, że Misha wygląda ślicznie.

– Słucham? A, tak. – Doreen uśmiechnęła się i dotknęła dłoni Mishy. – To prawda. Wyglądasz prześlicznie.

– Serio? Dzięki. – Misha się zarumieniła.

– Widzisz, Meesh? To chyba jasne, że Doreen jest ekspertką w dziedzinie urody. – Gordon zapatrzył się na nią. – Prawda? – dodał ciszej i dopiero po chwili oderwał od niej wzrok, by znów spojrzeć na Mishę. – Zresztą i tak potrzebowałaś czegoś, co pasowałoby ci do nowych cycków!

– Przegiąłeś. Zabiję cię.

– Doreen! Ratuj! Ma nos jak anioł, ale to prawdziwa diablica!

Trzymał ręce na ramionach Doreen i chował się za jej plecami, próbując się znaleźć poza zasięgiem Mishy, która celowała w niego kulkami z chleba.

Doreen zachichotała.

Gordon Lichter był drobnej budowy, ale miał uroczą, wręcz dziewczęcą twarz, długie rzęsy, a do tego jasne włosy, które wciąż spadały mu na oczy. Pełen wdzięku i ciepła, przypominał trochę chłopca z boysbandu i choć nie był może geniuszem, na pewno nie był też idiotą, a poza tym pochodził z naprawdę bogatej rodziny. Mieli domy na całym świecie, prywatny odrzutowiec i apartament przy Park Avenue. Heidi myślała sobie, że wcale nie byłby to najgorszy wybór. Zresztą

sama się kiedyś zastanawiała, czy nie spróbować poderwać Gordona, ale była co najmniej pięć centymetrów wyższa od niego, w obcasach byłoby dobre dziesięć, a przecież żadne z nich nie chciałyby się narazić na śmieszność.

Doreen jednak była od niej niższa, a on tak pięknie się przy niej rumienił...

– Dość tego – zarządziła Heidi. – Siadaj, Gordon. Misha, wyglądasz fenomenalnie. Poza tym... – zawiesiła głos, bo skupiła już uwagę całego stolika – ... teraz wreszcie możesz pić z kubka!

Wszyscy wybuchnęli śmiechem, nawet Misha. Heidi wstała i machnęła na Gordona, żeby usiadł na jej miejscu przy Doreen, a chłopak posłusznie je zajął. Sama siadła na drugim końcu stołu i rozmawiała z kimś od niechcienia, kątem oka wciąż obserwując Doreen. Dziewczyna wyglądała świetnie, urodzona piękność! Co się stało z tą pryszczatą niezdarą z wczoraj? Gordon spijał każde słowo z jej ust, nie odrywał od niej wzroku. Bardzo obiecująco to wygląda, myślała Heidi, spoglądając na niego z zachętą.

I było coś jeszcze. Nudziła ją już przewidywalność stołówkowego życia. Mogłaby zamknąć oczy, zanim tu weszły, i odtworzyć całość ze szczegółami niczym stary film, który widziała zbyt wiele razy. Ale Doreen wszystko zmieniła. To, że Heidi przedstawiła ją przyjaciółom, przenosiło ją samą na wyższy poziom popularności. Co za ulga. Jadła sałatkę, patrzyła, jak Gordon flirtuje z jej nową przyjaciółką, i chłonęła otoczenie z nową jasnością, jakby to był także jej pierwszy dzień.

Później, gdy znalazły się w bezpiecznej odległości od stołówki, Doreen uścisnęła Heidi.

– To był najlepszy dzień w całym moim życiu! Dziękuję! Tak bardzo ci dziękuję!

Czy Heidi zauważyła, że tam, gdzie ledwie wczoraj wieczorem wylewały się fałdy tłuszczu, dziś było widać tylko mięśnie? Czy choć przez sekundę zastanawiała się, jak mogło dojść do tak cudownej przemiany? Nawet jeśli, to przez bardzo krótki moment. Ujrzała w Doreen coś wyjątkowego już tamtej pierwszej chwili, gdy dziewczyna stanęła na progu ich pokoju. Co szkodziło, że teraz było to jeszcze bardziej widoczne? Dlaczego miałyby ją to niepokoić? Zresztą nie powinna myśleć o przeszłości, bliskiej czy odległej, ale w pełni skupić się na przyszłości.

– Mam dobre przeczucia – powiedziała. – Czuję, że będziemy się w tym roku świetnie bawiły.

Doreen uśmiechnęła się i wzięła Heidi pod rękę. Oparła głowę na jej ramieniu i ruszyły tak razem z powrotem w stronę internatów.

Pierwszy obiad w szkolnej stołówce przeszedł najśmielsze oczekiwania Doreen. Elita Chandlera serdecznie przyjęła ją do swojego grona jako przyjaciółkę Heidi i oczywistą reprezentantkę wyższych sfer. Jakby należała do nich od zawsze! Kto by pomyślał! W swoim pokoju aż roześmiała się z przepełniającej ją radości.

Wciąż miała przed oczami dumną minę Heidi, gdy ta przedstawiała ją kolejnym przystojnym chłopcom i niezliczonym eleganckim, smukłym dziewczętom. Życie, dotąd takie ponure i beznadziejne, nagle wydało się słodkie i pełne możliwości. Była piękna. Ona, Doreen Gray, była śliczna. Czy aby nadal? Jak to możliwe? Przecież to tylko sen. Ale duże lustro zapewniło ją, że nie śni. Oto ona – oszałamiająca piękność z fotografii wyretuszowanej przez Biz. Patrzy na nią ze zwierciadła. Cud!

Gdy dziś rano wychodziła z pokoju, była pewna, że już nigdy nie zobaczy tego dziwnego odbicia. Ale szok odmalowujący się na twarzach Biz i Heidi potwierdził, że dziewczyna w lustrze nie była tylko jej halucynacją. One też to widziały. I wszyscy na obiedzie traktowali ją inaczej. Oczywiście to, że pojawiła się tam z Heidi, też zrobiło swoje, ale było coś więcej. Kiedy jesteś piękna, ludzie chcą z tobą przebywać. Jesteś interesującą osobą, choćbyś nie odezwała się słowem. Kiedy jesteś piękna, świat odsuwa się, by przepuścić cię przodem. „Jak cudowne będzie odtąd moje życie”, myślała Doreen, patrząc z podziwem, jak idealnie układa się w taliu pożyczona sukienka. Żałosna mała Doreen Gray należała do przeszłości. Zastąpiła ją ta urocza istota, śliczna dziewczyna, prawdziwa piękność.

Oczywiście nie mogła spędzić całego dnia przed lustrem. Musiała się przygotować na spotkanie z Gordonem Lichterem. Zapropował, że oprowadzi ją po kampusie. Gordon wyglądał zupełnie jak jeden z tych chłopców z filmów! Ktoś taki nawet by nie spojrzął na dawną Doreen. Nie wpatrywałby się z zakłopotaniem w swoje piękne dłonie, zawstydzony jej obecnością.

– Żegnaj – powiedziała Doreen na głos. Wzięła zdjęcie starej siebie z biurka i chciała je podrzeć, ale coś ją powstrzymało. Coś kazało jej zachować je jako pamiątkę tego żalosnego stworzenia, którym kiedyś była. Ostrożnie włożyła fotografię do szuflady nocnego stolika. Świadomość, jak bardzo się zmieniła, sprawi, że tym słodsze będzie jej teraźniejsze życie. Zachowa to zdjęcie dla siebie, tylko dla siebie. To będzie jej mała, słodka tajemnica.

– Wyprawa na zakupy? Do Nowego Jorku? – Doreen zamrugła, jakby nie do końca rozumiała propozycję. Nad jej łóżkiem pochylała się starannie umalowana twarz Heidi. Był wczesny ranek, właściwie jeszcze noc. – Teraz?

– Dlaczego nie? – spytała Heidi. – Jest sobota. Jeśli wyjedziemy wcześniej, możemy pojechać na jeden dzień i wrócić jeszcze dziś wieczorem. – Rzuciła jej na łóżko sukienkę od Diane von Furstenberg. – Włóż to. Uczeszę cię. Jakoś do góry. Musisz wyglądać doroślej, bardziej elegancko i pewnie.

– Ale, Heidi, nie mam na to pieniędzy.

– Dasz radę wysupłać na bilet autobusowy?

– Tyle pewnie tak.

– Tylko tyle potrzebujesz, moja mała. A teraz wstawaj i do dzieła. Wolałabym w miarę możliwości dotrzeć do sklepów przed jedenastą.

Całą drogę siedziały pochylone nad magazynami o modzie. Gdy wysiadły na dworcu Port Authority, Doreen zamrugła, oszołomiona tłumem i hałasem. Od dzieciństwa nie była w Nowym Jorku, ale Heidi okazała się świetną przewodniczką. Przemknęły przez dworzec i już zbiegały do metra.

– Dokąd jedziemy? Na północ Manhattanu? – spytała Doreen, wpatrując się w mapę.

– No jasne – odparła Heidi i mrugnęła do niej. – Chodź!

Wciągnęła Doreen przez bramkę na swoim bilecie i wskoczyły do metra.

Sklepy, o których mówiła Heidi, wcale nie były ekskluzywnymi domami towarowymi ani designerskimi butikami czy sieciami handlowymi. Chodziło o ciucholandy – sklepy charytatywne na Upper East Side.

– Bo widzisz – wyjaśniała Heidi, gdy szły pod ramię Trzecią Aleją. – Panie z Upper East Side mają prawdopodobnie najcudowniejsze ciuchy, największe szafy i najtroskliwszą służbę w całym wszechświecie. Wydają góry kasy, wkładają każdą szmatkę tylko raz, a potem wyrzucają ją, żeby zrobić miejsce na hity następnego sezonu. A te lumpeksy istnieją po to, żeby panie mogły od czasu do czasu wykazać się hojnością, oddając tu swoje ledwie noszone designerskie cudeńka. Obustronny zysk.

– Ale Heidi – jęknęła Doreen. – Nawet jeśli tu jest taniej niż w normalnych sklepach, to ja naprawdę nie mam...

– Nic się nie martw. Spójrz.

Przeciągnęła Doreen na skraj chodnika. Zatrzymała się i spoglądając w lusterko zaparkowanego tu mercedesa, nałożyła kolejną warstwę szminki i poprawiła fryzurę. Potem podała pomadkę koleżance i machnęła na nią, żeby zrobiła to samo.

Poczuła znajomy skok adrenaliny. Dotąd zawsze ruszała na łowy po

sklepach charytatywnych na Upper East Side sama. Przed znajomymi z Chandlera skrętnie ukrywała podejrzenie dogłębną znajomość rzeczy takich jak ciucholandy, autobusy i metro. Ale była gotowa podzielić się tą wiedzą z Doreen. Była gotowa nauczyć ją wszystkiego, czego sama się nauczyła.

– Wystarczy, że wyglądasz na dzianą i znudzoną. Jakby nic nie było w stanie ci zaimponować. Ja będę wymachiwać przy tym swoją torebką od Louisa Vuittona, a ty masz moją wielgachną podróbę -Chloé. Jeśli coś ci wpadnie w oko, musisz działać szybko, nic się nie bać. Pokażę ci, jak to się robi. To prostsze, niż ci się wydaje.

– To podróbka?

– Co takiego? A, tak. Ale niezła, prawda? Tylko ani się waż komuś o tym powiedzieć, jasne? A teraz zachowaj spokój i rób to co ja.

– Okej.

Heidi ruszyła pewnym krokiem w kierunku pierwszego sklepu.

– Zaczekaj. Heidi! Zaczekaj! – zawołała za nią Doreen.

Heidi przystanęła i poczekała, aż Doreen ją dogoni.

– Przepraszam, może coś źle zrozumiałam, ale... – Doreen odciągnęła Heidi na stronę. – Czy my będziemy kradły ze sklepów charytatywnych? Taki jest plan?

– Ha! Charytatywne? Też coś! Żadne z nich sklepy charytatywne. Widzisz ten tam? Sklep tak zwanej Fundacji na rzecz Osób z Zapaleniem Stawów?

– No.

– W przyszłym tygodniu mają galę. Samo wejście kosztuje ponad tysiąc dolarów od osoby. Wchodzą same sławy. Mają cichą aukcję. W zeszłym roku grał dla nich Sting. Naprawdę nie odejmujemy biednym chleba od ust.

Ale Doreen tylko pokręciła głową.

– No nie wiem. Jakoś mi się to nie podoba.

Przestępowała z nogi na nogę i wpatrywała się w przejeżdżające samochody. Było jasne, że nie czuje się z tym naj-lepiej. Heidi nie wzięła pod uwagę, że Doreen może się okazać zbyt wielkim mięczakiem, by zostać jej zaufaną współpracowniczką. A teraz było za późno. Już się przed nią odsłoniła. Naiwna, zielona Doreen ma teraz straszną broń – informację o tym, kim naprawdę jest Heidi Whelan i do czego jest zdolna: do udawania i kradzieży. Jeśli tylko rozpowszechni tę informację odpowiednimi kanałami, może bardzo zaszkodzić Heidi i jej pozycji społecznej. Dlatego Doreen musi wziąć udział w tym polowaniu. To jedyne wyjście. W innym razie Heidi ryzykuje zbyt wiele.

Zastukały obcasy jakiejś eleganckiej kobiety, która minęła je w swoich obcisłych dżinsach i lśniącej bluzce, ciągnięta przez trzy pomeraniany. Doreen odsunęła się, żeby dać jej przejść, i Heidi zauważyła, jak koleżanka lekko się prostuje. Potem obróciła się i jeszcze przez chwilę patrzyła za kobietą. Heidi uśmiechnęła się i odetchnęła. Doreen miała to marzenie wymalowane na twarzy.

Mijająca je kobieta należała do świata Rolanda Gibbonsa. Lecz to mógł być także ich świat. Świat Doreen i Heidi.

– Rozumiem cię, naprawdę – zapewniła ją Heidi, biorąc koleżankę pod rękę.
– Ale, Dorie, przecież chcesz odnieść sukces w Chandlerze. W sensie: sukces towarzyski. Chcesz, prawda? No właśnie. A przykra prawda jest taka, że wszystkie drzwi do wyższych sfer są pilnie strzeżone. To ta zła wiadomość. Dobra jest natomiast taka, że na szczęście dla nas, Doreen, ci strażnicy są płytki i głupi. Łatwo się przemknąć chyłkiem, wystarczy odpowiednio wyglądać. Spójrz na to w ten sposób: ta fundacja tutaj tylko we mnie inwestuje. Daje oznaki bogactwa, dzięki czemu umożliwia mi dołączenie do wyższych sfer. W ten sposób pewnego dnia, gdy już będę dorosła, będę mogła wydać pięć tysiaków czy ile tam zechcę, żeby podarować im designerską suknię i pomóc milionom biedaków. Ma sens?

– Chyba tak.

– A poza tym to świetna zabawa. Zobaczysz.

– Czekaj, jeszcze jedno pytanie. Skoro i tak zamierzamy kraść, to dlaczego tutaj? Dlaczego nie pójść od razu do Bloomingdale's albo innego domu towarowego?

Heidi westchnęła.

– Po pierwsze w życiu bym nie poszła do Bloomingdale's. Po drugie w tych sklepach znajdziemy te same marki co w najlepszych domach towarowych, ale tu pracują sami wolontariusze. Praktycznie nie ma ochroniarzy. To tak dziecinnie proste, Doreen, że będziesz się zastanawiać, dlaczego wszyscy tego nie robią. Chodźmy już. Mamy dziś dużo do załatwienia.

Doreen ruszyła za koleżanką.

– Hej, wiesz co? Pójdę z tobą i naprawdę nie osądzam cię ani nic, ale może lepiej będzie, jak tylko sobie poobserwuję. Dobra? Tylko popatrzę, pooglądam ciuchy, ale, wiesz, niczego nie będę brała.

Może i znów zwątpiła, ale robi to. Heidi nie miała już żadnych wątpliwości.

– Jasne, rób, co uważasz. Tylko gęba na kłódkę, jasne?

– Jasne. Pewnie. Na kłódkę. Kumam.

Ubrania. Buty. Szale. Pokusa na każdym kroku. A Doreen we wszystkim wyglądała wprost bosko.

– Przekażemy im coś na cele charytatywne, prawda? Gdy już będziemy dorosłe – jęknęła Doreen, kiedy przechodziły ze sklepu Fundacji na rzecz Pacjentów z Nowotworami do kolejnego, pod szyldem chorych na AIDS.

Zachybotwała się niepewnie na używanych szpilkach od Rogera Viviera, w których po prostu wyszła ze sklepu.

– Och, uratujemy świat, Doreen – zapewniła ją Heidi. – Tylko potrzebujemy nieco pomocy na początek.

*

– Doreen, ty po prostu masz talent. W życiu bym cię o to nie podejrzewała. Widzisz – mówiła Heidi – jeśli zachowujesz się tak, jakby ci się wszystko należało, ludzie tak cię traktują. To ta prosta różnica między osobami wdzięcznymi a osobami uprzywilejowanymi.

Siedziały przy stoliku w holu hotelu Ritz-Carlton. Wokół leżały sterty nakradzionych ubrań – wszystkie w torbach z prawdziwych designerskich butików. Heidi przywiozła torby specjalnie po to, żeby mieć gdzie schować łup, a teraz pasowały jak ulał. I ten prosty trik działał. Dziewczyny wyglądały zupełnie jak dwie przedstawicielki wyższych sfer odpoczywające po męczących zakupach.

Heidi nachyliła się zaczepnie i zniżyła głos.

– Mamy tu pokój? Nie. Stać nas na posiłek albo drinka? Nie. Ale za parę dolców i tak możemy tu siedzieć całe popołudnie, saczyć colę light i opychać się darmowymi przegryzkami. Możemy wymieniać sekrety i pozwalać, by inni nas podziwiali. I wierz mi, jeśli jesteś młoda, urocza i zadbana, naprawdę nie musisz długo czekać, żeby zainteresował się tobą...

– Bardzo przepraszam – powiedział nagle kelner, stawiając przed dziewczętami dwa kieliszki z szampanem. – Ten pan przy barze chciałby...

– O nie. Przykro mi, proszę to odesłać z powrotem – odparła Heidi i machnęła lekceważąco dłonią.

– Dobrze, proszę pani.

– Heidi, jesteś pewna?

Heidi posłała Doreen karcące spojrzenie, a potem uśmiechnęła się wdzięcznie do kelnera.

– Bardzo nam tu miło – wyjaśniła – i wołałybyśmy, żeby nam nie przeszkadzano. Proszę podziękować temu panu, kimkolwiek jest, i przekazać nasze przeprosiny.

Kelner skinął głową. Zabrał oba kieliszki i zniknął.

– Nie odwracaj się – syknęła cicho Heidi, nim Doreen zdołała namierzyć tajemniczego mężczyznę.

– Nie rozumiem. Przecież właśnie mówiłaś...

– Veuve Clicquot. Całkiem niezły szampan. Ale to jakiś młodziak. Może ciut starszy od nas. Ktoś starszy sam by podszedł. To taki gest ze Starego Świata, filmowy. Albo to zupełny staruch, albo szczył, który próbuje pozować. Miejmy nadzieję, że chociaż to drugie, prawda? – szepnęła Heidi i puściła oko do koleżanki.

I rzeczywiście, ledwie zdążyła dokończyć zdanie, do ich stolika podszedł młody mężczyzna. Był wysoki, wysportowany. Miał na sobie strój bardzo podobny do tego obowiązującego w Chandlerze, tylko nieco elegantszy – wykrochmaloną różową koszulę, brązowe spodnie, niebieską sportową marynarkę. Włosy miał

czarne i uroczo potargane.

– Zbyt wcześnie na szampana? – spytał. – Nie wyglądacie mi na dziewczyny, które zbyt wcześnie przejmują się zegarkiem. Peter Standish. A to mój kolega ze studiów, Coburn. – Z cienia wyłonił się drugi mężczyzna, w tym samym wieku i typie, ale o jasnych włosach, niebieskich oczach i nieco tępowym wyrazie twarzy. – Coburn Everbock. Obaj jesteśmy z Harvardu. Z jednej drużyny wioślarskiej. Przyjechaliśmy do Gotham, żeby się odrobinę zabawić. Niestety nie mieliśmy szczęścia.

– Co za pech – odparła Heidi znudzonym tonem. – Może powinniście zobaczyć, co grają na Broadwayu.

Patrząc na Doreen, przewróciła znacząco oczami, ale dziewczyna była zupełnie zafascynowana tym spotkaniem. Heidi miała tylko nadzieję, że koleżanka za moment się ocknie.

– Widzicie, studia w Cambridge są niezwykle pochłaniające... zupełnie fascynujące rzeczy, i to z ust największych geniuszy. Ale trudno tam o chwilę odpoczynku. Jesteśmy spragnieni piękna, gracji, inteligencji... piękna przede wszystkim – perorował chłopak, a oczy mu się śmiały. – Byliśmy przekonani, że bądź co bądź centrum kultury naszego kraju będzie miało nam coś do zaoferowania pod tym względem, ale jak już wspominałem, gdziekolwiek skrywa się Wenus w tym pięknym mieście, unikała nas jak ognia...

– Aż do tej chwili. O, przepraszam, pewnie miałam cierpliwie poczekać na puentę. Jakże niegrzecznie z mojej strony – prychnęła Heidi.

– Ależ nie, przerywaj, to twoje prawo! A więc, Coburnie, miałeś jednak rację, piękno i inteligencja nie opuściły tego miasta. Bo muszę wam wyznać, że ja już traciłem nadzieję. – Peter wyciągnął z marynarki portfel (jak zauważyła kątem oka Heidi, grubo wypchany) i sumiennie podał koleżce banknot. – Wygrałeś, przyjacielu. Oddaję ci wygraną z wielką radością, bo oto spotkaliśmy pannę...?

– Whelan – pospiesznie dokończyła Doreen. – Heidi Whelan. A ja jestem Doreen Gray.

Heidi ostentacyjnie posłała jej groźne spojrzenie, że niby ma nie zachęcać chłopców do niczego, ale gdy ich amanci nie patrzyli, dała jej cicho znak, że dobrze robi. Doreen uśmiechnęła się nieznacznie. Wreszcie zaczęła rozumieć, jak ma grać.

Peter skinął jej głową, z przyjemnością zatrzymując na niej wzrok.

– A zatem, Coburnie, spotkaliśmy panie Whelan i Gray i to właśnie im musisz podziękować za swoją wygraną.

– Dziękuję – powiedział posłusznie Coburn.

– Siadajcie – zaprosiła ich do stolika Doreen, a Heidi znów spojrzała na nią karcąco, choć w rzeczywistości była z niej bardzo zadowolona.

Teraz już działały jak zgrana drużyna, porozumiewając się bez słów, samymi

tylko spojrzeniami. Zresztą Heidi od pierwszej chwili czuła, że Doreen będzie potrafiła ją zrozumieć. I teraz wiedziała, że się nie myliła.

– Dziękujemy za zaproszenie, ale wydaje mi się, że pani przyjaciółka wolałaby, żebyśmy sobie poszli. – Peter uniósł pytająco brew, spoglądając na Heidi.

– Siadajcie, skoro koniecznie musicie – odparła Heidi. – Ale obawiam się, że jeśli chcecie rozmawiać o sobie lub waszych studiach, to będziemy musiały się jednak wspomóc czymś mocniejszym.

– Oczywiście! Może w takim razie poprosimy o tego szampana? Chyba że wolicie martini? Już po trzeciej, prawda?

– Chyba tak – mruknęła Heidi, a Peter natychmiast ruszył na poszukiwania kelnera.

Coburn obszedł stół i siadł przy Doreen. Śmierdział solą, mydłem i pieniędzmi. Doreen odwróciła się w jego stronę.

– Mówiłeś, że gdzie studiujecie? Na Harvardzie? Jakoś mi umknęło.

Heidi sama nie powiedziałaaby tego lepiej.

*

Naturalnie od drinków przeszli do kolacji. Porcje były miniaturowe i pięknie podane. Zaserwowano surową wołowinę, żywe ostrygi i kaczą wątróbkę, a do tego oczywiście mnóstwo wina. Co zadziwiające, Doreen brała dosłownie wszystko. Chciała wszystkiego spróbować, posmakować specjałów, których dotąd nawet nie potrafiła sobie wyobrazić.

Heidi dobrze pamiętała, jak to jest doświadczać tego wszystkiego po raz pierwszy, i od tego patrzenia na Doreen jej też zaczynało lepiej smakować. Na deser podano tartę z gruszkami i mus czekoladowy, a do tego słodkie wino i kawę. Gdy nadszedł czas, by wstać od stołu, Heidi bała się, że Doreen osunie się na podłogę.

– Nic ci nie jest? – szepnęła do przyjaciółki.

– Nic, nic. Jestem po prostu szczęśliwa – zapewniła ją Doreen, a Heidi widziała to szczęście wymalowane na jej twarzy.

– Dacie się zaprosić na kieliszek czegoś mocniejszego do naszego pokoju? – zapytał Peter. – Nie obawiajcie się, jesteśmy dżentelmenami.

– Och, mam nadzieję, że nie jesteście. – Heidi podała mu rękę, żeby pomógł jej wstać, i dała znak Doreen, by zrobiła to samo.

– Mógłbyś to wziąć, Coburnie? – Doreen machnęła dłonią na zakupy. – Nie znoszę dźwigać.

„Dziewczyna szybko się uczy”, pomyślała Heidi z uśmiechem, którego nie udało jej się ukryć.

– Coburn próbował mnie namówić, żebyśmy zatrzymali się w jednym z tych

nowych miejsc, w jakimś małym hoteliku. Jakże on się nazywał? George czy coś. A może Ted, nie pamiętam. Coburn bardzo lubi być modny, prawda, Coburnie?

– Nie za bardzo – mruknął Coburn, nie odrywając oczu od Doreen.

Heidi miała tylko nadzieję, że koleżance nie przeszkadza, że trafił jej się ten głupszy. Był dobry na początek. Poderwać go to jak grać w otwarte karty, żeby nauczyć się nowej gry.

– W każdym razie moim zdaniem nic się nie może równać z klasyczną elegancją Ritza. Spójrzcie tylko na ten widok! Co może być lepszego? Chyba po prostu jestem nieco staroświecki – wyznał Peter tonem, który nie pozostawiał wątpliwości, że bycie staroświeckim jest cudowne.

Ktoś cicho zapukał do drzwi.

– Obsługa hotelowa!

Wjechał wózek z whisky i czterema szklankami. Peter rzucił się podpisać czek. Wyciągnął z portfela kilka banknotów i podał je kelnerce. Facet był naprawdę dziany. Heidi posłała mu spojrzenie pełne wdzięczności i kokieterii.

– Dziękuję, niczego więcej nam nie trzeba – powiedział chłopak do kelnerki.

Ona jednak nawet na niego nie patrzyła. Nie wiedzieć czemu wpatrywała się w Heidi. Dosłownie się na nią gapiała.

– Heidi? – upewniła się.

Heidi zamarła. Spojrzała na swoje paznokcie. O nie, o nie, o nie, o nie. Jak mogła przegapić coś takiego? Zupełnie nie wiedziała, co robić.

– Heidi Whelan! O Boże! To ja, Nicole Goswami z Montauka! Tak se myślałam, że to chyba ty. Nie widziałam cię kopę lat. Co tam u ciebie?

– A. Hm. Nicole? Jasne, tak, cześć – wybąkała Heidi.

Nicole rzuciła się, by ją serdecznie uściskać.

– No, głowę daję, że mnie nie poznałaś! Na pewno pojęcia nie miałaś, że tu robię za kelnerkę, nie? Dalej tyram w lato w Montauku, ale wiesz, jak jest, rachunki trza płacić cały rok, nie?

– Oczywiście – powiedziała Heidi. Czowała, jak jej twarz i dekolt oblewa rumieniec. Nicole natomiast stała z ręką na biodrze i potrząsała głową, że niby jaki ten świat mały.

– Mów, laska, co tam u ciebie? Wyglądasz zaczepiście. Czad. Co tu w ogóle robisz? W podróży jesteś czy co? – dopytywała Nicole.

– Hm, cóż...

To było straszne. Nikt nic nie mówił. Co oni sobie teraz myśleli? To już koniec. Dla niej i dla Doreen. Co za upokorzenie. Gdyby mogła, zapadłaby się pod ziemię.

– Jestem tu... po prostu...

– Jak miło było cię poznać, Nicole – odezwała się nagle słodko Doreen, wyciągając dłoń do kelnerki. – Mam na imię Doreen. Dziękujemy za whiskacza.

Chłopcy już się nie mogli doczekać, prawda, chłopcy?

Doreen otworzyła drzwi na korytarz i czekała, aż dziewczyna wyprowadzi swój wózek. Mówiła szybko, tonem pewnym, nieznoszącym sprzeciwu, ale całkiem grzecznym. Tej egzekucji nie dałoby się przeprowadzić z większą perfekcją. Heidi ukradkiem posłała jej spojrzenie pełne wdzięczności.

– A, no tak. Jasne. Nie ma sprawy – wydukała Nicole, ale stała jak wmurowana, popatrując to na Heidi, to na resztę towarzystwa.

– Nie chciałybyśmy kazać chłopcom dłużej czekać – dodała Doreen i spojrzała w stronę korytarza. – Dziękujemy.

– A! Racja, oczywiście. Więc... tego... gdyby było państwu czegoś trzeba...

– Damy natychmiast znać, prawda, chłopcy? – zapewniła ją Doreen.

– Dziękuję, Nicole – powiedziała Heidi, wreszcie odzyskując głos. – Miło było znów cię zobaczyć.

– Ach tak? No właśnie. Mi też – wydukała kelnerka i wyprowadziła wózek z pokoju.

Doreen zamknęła za nią drzwi. Zapadło milczenie.

– Wiedziałem, że skądś cię znam! – odezwał się wreszcie radośnie Peter. Zaczął nalewać whisky. – Moja rodzina zatrzymuje się w Montauku od lat. Też uważam, że miło zaprzyjaźnić się z obsługą. Kojarzysz tego portiera? Ma na imię Manny. Co roku wysyła nam kartkę na święta! – Uniósł szklankę. – Za Manny’ego i tę miłą dziewczynę, i wszystkich innych, którzy tak ciężko dla nas pracują.

Heidi i Doreen spojrzały po sobie. Przecież Heidi sama zawsze to mówiła: „Jeśli zachowujesz się tak, jakby ci się wszystko należało, nikt nie będzie pytał o twoje pochodzenie”.

– Za Manny’ego i Nicole! – powtórzyła więc.

Stuknęła się szklanką z Peterem, potem z Coburnem i Doreen.

– Za ich ciężką pracę i lojalność – dodała Doreen.

Skąd ona to w ogóle wytrzasnęła? Ta dziewczyna ma talent.

– Ich zdrowie! – podchwycił Coburn.

Wypili. Heidi poczuła, jak alkohol rozgrzewa jej gardło. Peter pocałował ją w usta i pomyślała tylko: „Teraz to. To! TO!”.

9

Przyszła jesień. Zaczarowała liściaste wzgórza New Hamp-shire niczym nagły poryw serca. „Zupełnie jakby nagle się zakochały”, pomyślała Doreen i sama też tak zrobiła. Zakochała się.

Wszystko zaczęło się pewnego popołudnia, gdy wyszła z lekcji japońskiego, a Gordon Lichter już na nią czekał. Od kilku dni czaił się dosłownie za każdym rogiem – wyrastał spod ziemi po każdej lekcji, czekał na nią podczas każdego posiłku.

Z początku jej się to podobało. W końcu chłopiec o takim wyglądzie i takich wpływach nawet nie spojrzalby na dawną Doreen. Szybko jednak zaczęło ją irytować, że nie odstępował jej na krok, szukał okazji, by wciskać jej kolejne błyskotki i przechwalać się zamożnością rodziny.

Poza tym odkąd się w niej zadurzył, zupełnie się zmienił. Gdy po raz pierwszy zobaczyła go wtedy w stołówce, był pewny siebie i pełen radości życia. Teraz chodził wiecznie zachmurzony, a ta ponura mina odejmowała jego twarzy sporo uroku. Jednym słowem, Doreen miała go dość. Tak okropnie przynudzał! Gdy zobaczyła, że stoi oparty o mur, trzymając ręce głęboko w kieszeniach swojego płaszcza od Barboura, wzdryg-nęła się poirytowana.

– Doreen! Hej! To znaczy cześć. Co tam słysząc? Czy...? To znaczy tego... jak tam lekcja? W porządku?

– Cześć, Gordon – odparła, nawet się nie zatrzymując, ale on oderwał się od ściany i ją dogonił.

– Chciałem się z tobą zobaczyć. Dzwoniłem. Dostałaś wiadomość? Chciałem cię o coś zapytać...

– Przepraszam, ale okropnie się spieszę.

– Doreen. Doreen! Zatrzymaj się choć na chwilę, dobrze? Chciałem spytać o jesienny bal.

– Yhm. Wiesz, że bardzo lubię sobie z tobą gawędzić, Gordonie, ale mam spotkanie w mieście i nie chcę się spóźnić. Sam rozumiesz. Może pogadamy o tym później.

– W mieście? Teraz? Mogę iść z tobą? Albo może bym cię podwiózł?

– Nie, nie. Dziękuję, ale muszę pójść tam sama. To... prywatne sprawy.

– Ale... Okej, spoko, okej. Nie ma tematu. Idź. Pogadamy potem.

Gordon stanął pod kolumną i jeszcze długo za nią patrzył. Naprawdę był żałośnie zakochany. Było to tak urocze, że aż irytujące, albo może tak irytujące, że aż urocze – nie była pewna, co bardziej. W każdym razie gdy tylko skręciła za róg i zniknęła mu z oczu, poczuła się cudownie wolna.

Oczywiście nie było żadnego spotkania w mieście. Doreen ruszyła przed siebie bez celu. Taka skradziona chwila – spędzona samotnie poza kampusem. Miło było tak swobodnie wędrować i pozwolić myślom robić to samo. W końcu w ciągu ostatnich tygodni tyle się zmieniło, że czasem zdawało jej się, że wszystko to dzieje się zupełnie bez jej udziału.

Szła i szła przed siebie, rozkoszując się rześkim jesiennym powietrzem i cenną wolnością. Spacerowała z głową w chmurach, a tymczasem popołudnie przeszło w zmierzch. Nieświadomie zawędrowała aż na boisko, gdzie okoliczne nastolatki zbierały się właśnie, by obejrzeć mecz futbolu. Słysząc było muzykę i okrzyki kibiców. Bez zastanowienia dała się ponieść fali ludzi na trybuny i siadła gdzieś z boku.

Ten widok podziałał na nią przygnębiająco. Dobrze знаła tłum – nie ten konkretny, ale tłum jako taki. Tłum niszczący ją w poprzednim życiu. Usiadła wśród dzieciaków, które mogły być jej wrogami, naśmiewać się z niej i zamieniać jej życie w koszmar. Teraz wszystko się zmieniło. W szykownym czerwonym płaszczu, który dostała w prezencie od Biz, nadal tu nie pasowała, ale nie czuła się już gorsza. Wręcz przeciwnie.

„Biedaki”, myślała sobie, patrząc na tłum idiotów z pomalowanymi twarzami, z flagami w rękach. „Żalodne biedaki, nie macie pojęcia o tym, co w życiu najlepsze. Ja już wiem. Już to widziałam, jadłam, nosiłam. A wy pojęcia o tym nie macie, kretyni. Już nigdy nie będziecie mieli nade mną żadnej władzy! Już nigdy nie uda wam się wywołać we mnie żadnego uczucia poza wielką ulgą, że udało mi się uciec z waszego małego, żalodnego świata”.

Czirliderki robiły fikołki, gwiazdy i wyrzucały jedna drugą w górę. W starej szkole Doreen okropnie zazdrościła takim dziewczynom. Teraz jednak wydały jej się zwyczajnie wulgarne. W imię dobra szkoły wystawiały swoje ciała na pokaz, jakby były tylko przedmiotami do oglądania. Były tak beznadziejne, że aż zabawne. No i orkiestra. Orkiestra! Nie do zniesienia. Czy to możliwe, że w ogóle nie potrafią grać na instrumentach? Może po prostu dmuchają nie z tej strony? Wszystko to było tak beznadziejne, że aż chciało jej się śmiać. Siedziała na twardej ławce i uśmiechała się od ucha do ucha, nie mogąc oderwać wzroku od tego festiwalu kiczu.

Ale nagle na boisku coś się zmieniło. Drużyna gospodarzy Hamilton High przejęła piłkę i tłum zaszumiał pełnym czi szeptem, jakby ludzie nie siedzieli na trybunach, tylko w kościelnej nawie. Doreen od razu zrozumiała, skąd ta zmiana. Chodziło o rozgrywającego. Z numerem dziesiątym. Prawdziwy geniusz, geniusz ciała. Doreen jeszcze nigdy czegoś takiego nie widziała. Męskie, imponujące ciało, a przy tym gracia tancerza. Zwinny i lekki, poruszał się z wycuciem, szybko, ale bez pośpiechu, choć goniła go obrona. Mimo tej lekkości miał w sobie jakąś głębię, jakąś naturalną powagę, jakby jego ciało było przedłużeniem samej ziemi.

Było to męskie piękno, którego Doreen jeszcze nigdy nie doświadczyła. Siedziała i patrzyła, jakby ujrzała cud.

Czy nie ciągnęła jej tu całe popołudnie jakaś tajemnicza siła? Teraz zrozumiała. Ta siła zaprowadziła ją tu celowo, żeby zobaczyła rozgrywającego. Numer dziesięć. „To los”, myślała, patrząc, jak chłopak biegnie, by zaliczyć przyłożenie. Zakochała się, zanim poznała choćby jego imię. I od razu wiedziała, że i on ją pokocha.

*

Czekała na niego na parkingu przy autobusach. Był duży tłok i z trudem oparła się pokusie, by uciec, a chłopaka znaleźć kiedy indziej. Głos Heidi w jej

głowie przypominał, że to ważne, by on czekał na nią, a nie odwrotnie. Kobieta czekająca to kobieta zdesperowana, a nie – warta zdobycia. Ale nie potrafiła odejść. Musiała go zobaczyć. Musiała się upewnić, że i on ją zobaczy. Stała pod latarnią, z dala od tłumu. Dzieciaki przepychały się koło niej, ale ona oparła się o mur szkoły i czekając na Dziesiątkę, próbowała wyglądać na spokojną i lekko znudzoną.

Gdy w końcu wyszedł – w dżinsach i bluzie prezentował się równie bosko, jak wcześniej w stroju rozgrywającego – a tłum zaczął napierać, Ignąc do jego wielkości i talentu, Doreen nie poruszyła się i nadal stała w świetle latarni. „Zaczekam tutaj – powiedziała sobie. – Nie podejść. Nie zrobię z siebie idiotki. To on musi podejść”.

Nie minęła minuta, a podniósł głowę nad wielbiącym go tłumem i spojrzał na nią. Odwzajemniła spojrzenie. Jej serce! Bała się, że widać je przez płaszcz! Potem jednak ku jej rozpaczy znów skupił się na swoich rozwrzeszczanych fanach. Wszystko stracone. Tak bardzo się pomyliła. Jak mogła pomyśleć, że...? Była przecież tylko Doreen Gray, a nie Heidi Whelan. Nigdy nie potrafiłaby wzbudzić zainteresowania takiego chłopca.

Wyszła ze światła latarni i szybko skierowała się pod górę w stronę Chandlera. Jeśli się pospieszy, zdąży na ostatnią godzinę wydawania kolacji. Nikt ważny nie widział jej żalosego zagrania i nigdy nikomu o tym nie wspomni. Br. Okropnie było znów odczuwać zawstydzienie.

– Przepraszam! – dobiegł ją głos.

Obróciła się. To był on – on! – pędził za nią, wymachując rękami. Jakże elegancko się poruszał! Tak się ucieszyła na jego widok, że mało nie popłakała się ze wzruszenia.

– Przepraszam, ja... – Wcisnął jej coś w dłoń.

Zadrżała od jego dotyku.

– Twoja rękawiczka. – Uśmiechnął się do niej, spojrzał głęboko w oczy, ich dłonie splotły się w uścisku. – Upuściłaś ją przy szkole.

Powoli dotarło do niej znaczenie jego słów. Spojrzała na rękawiczkę w swojej dłoni.

– To bardzo miłe z twojej strony. Tylko że to nie jest moja rękawiczka. – Było to coś ponurego, zielonkawego. – Ktoś inny musiał ją upuścić. I na moje oko już jakiś czas temu.

Roześmiała się. Zacerwienił się i uśmiechnął nieśmiało. Niby nieistotna wymiana zdań, a jednak teraz nie było na świecie niczego ważniejszego.

– Tak to się kończy, gdy próbuję być szarmancki. Wyszło na to, że ukradłem rękawiczkę jakiejś biedaczce! Nieważne. Chciałem tylko cię poznać, nawet jeśli to nie twoja rękawiczka. Nazywam się Simon Vale.

– Cześć, Simon. Jestem Doreen. Doreen Gray.

– Miło mi – powiedział.

Stali chwilę i patrzyli na siebie, a potem bez słowa ruszyli już razem, ramię w ramię.

– Widziałam, jak grałeś. Byłeś cudowny!

Znów się zarumienił. Trudno było się oprzeć jego naturalnej skromności.

– Dzięki. To tylko futbol, wiesz. Nic ważnego. Ale skąd się w ogóle wzięłaś na meczu? Nie chodzisz przecież do Hamiltona.

– Skąd ta pewność? Chyba nie znasz wszystkich uczniów w szkole.

– Nie, ale nigdy przedtem cię nie widziałem. To wiem na pewno. Bo niemożliwe, żebym o tym zapomniał. A gdybym cię choć raz widział, z pewnością bym cię już nie puścił. Zagadałbym do ciebie. Więc jestem pewny. Jesteś z Chandlera?

– Tak, zgadłeś. Jestem nowa. Przeniosłam się.

– Tak? Skąd?

Bywa, że ludzie mają ze sobą bardzo wiele wspólnego, a jednak rozmowa zupełnie im się nie klei. Kiedy indziej spotyka się dwoje całkiem różnych ludzi, a mimo to rozmawiają swobodnie, tak po prostu, bez pośpiechu, bez skrępowania. Doreen i Simon właśnie tak rozmawiali. Opowiadali o sobie z taką łatwością, że nim dotarli do Chandlera, czuli się tak, jakby znali się całe życie.

Historia Simona nie była typową historią szkolnego rozgrywającego. Jego ojciec pracował na uczelni i porzucił rodzinę dla jakiejś studentki, więc matka Simona wychowała syna i córkę zupełnie sama. Pierwszą pracę Simon podjął, gdy miał zaledwie dwanaście lat. Pracował w sklepie żelaznym, gdzie jego matka była kasjerką. Właściciel sklepu, były trener futbolu, zauważył, że Simon jest silny i sprawny, więc wziął go pod swoje skrzydła. Nauczył go rzucania i innych podstaw gry. Kiedy zmarł, zostawił sklep Simonowi i jego matce.

– Dużo nie wyciągamy. To mały sklepik. Wszyscy i tak jeżdżą do Home Depot przy autostradzie. Czasami myślę sobie, że lepiej by było, gdyby mama po prostu sprzedała cały ten sklep. Nie wiem. Gdybym tak mógł dostać stypendium, pójść do dobrej szkoły i zacząć zarabiać dla niej prawdziwe pieniądze...

– Jesteś dobrym człowiekiem – powiedziała Doreen. – Tak się o nią martwisz.

Stanęli przed wejściem do kampusu i spojrzeli na siebie. Nawet nie wiedziała, która godzina. Na pewno powinna już być z powrotem.

Odsunął jej lok z oczu.

– To miłe z twojej strony, że tak mówisz, ale wcale nie jestem taki dobry. W sumie jestem samolubny. Chyba po prostu chcę być bohaterem. Wiesz, wrócić i ją uratować.

Doreen pokiwała głową. Jej ciało reagowało na jego bliskość tak intensywnie, że nie mogła się zdobyć na żadną werbalną odpowiedź. Zabrakło jej

słów. Zamknęła oczy i poczuła, jak Simon pochyla się, żeby ją pocałować.

Był to pocałunek jej życia. Pocałunek, który obiecywał radość, jakiej ani Simon, ani Doreen jeszcze nigdy nie doświadczyli. Który zbliżał ich do siebie, dając nadzieję na zmianę, na lepszą i piękniejszą przyszłość. Tym pocałunkiem odepchnęli terażniejszość, zmartwienia, samotność. Było to połączenie dusz, spotkanie serc.

I tak po prostu Simon Vale i Doreen Gray zakochali się w sobie cudownie i bez pamięci.

– W lodówce są jeszcze wczorajsze zeberka. Możesz je odgrzać przed wyjściem. Albo zamówić pizzę, jeśli wolisz.

Linda Vale nalala sobie zimnej kawy, która została w dzbanku ze śniadania, i teraz czekała przy wiekowej mikrofalówce, aż płyn się podgrzeje. Odkąd dwa lata temu zmarł pan Hopper, zawsze zachowywała się tak, jakby była spóźniona – i to bez względu na to, czy rzeczywiście miała coś do zrobienia, czy nie.

– A ty nie zostaniesz dziś w domu? – spytał Simon.

– Chyba jesteś już wystarczająco duży, żeby podgrzać sobie coś do jedzenia.

Mikrofalówka zadzwoniła, a matka otworzyła drzwiczki i wyciągnęła swój ulubiony różowy kubek. Oparła się o blat, sącząc starą, kwaśną czarną kawę. Simonowi ścisnęło się serce na ten widok.

– Przecież nie dla mnie, tylko dla Jane. Nie chcesz się z nią pożegnać? Długo jej nie będzie.

– Wiem, Simonie. Nie musisz mi tego mówić. – Była umalowana jak do wyjścia i miała na sobie starą czerwoną sukienkę, którą próbowała trochę podrasować biżuterią z telezakupów oglądanych w środku nocy, gdy uparcie szczotkowała psa. Upierała się, że kawa nie ma żadnego związku z jej bezsennością. – Nie musisz mi mówić, co się dzieje z moją własną córką.

Potarła dolną powiekę długim paznokciem i spojrzała w okno.

Simon uważał ją kiedyś za piękność. Miała długą szyję, ciemnobrązowe oczy i ciemną cerę, która zawsze zdawała się opalona. Patrzył, jak spogląda na swoje odbicie w jednej z kuchennych szafek. Może po prostu się zestarzała, może była przemęczona. A może to tylko jej ciuchy się zestarzały. Ale przede wszystkim po tym, jak ujrzał Doreen, cały świat poza nią zaczął mu się wydawać nudniejszy i brzydszy.

– Czego się tak szczerzysz, co? Nic, tylko się ostatnio szczerzysz jak głupi do sera. Już się nie możesz doczekać, żeby Jane wyjechała do tej całej Boliwii, co? Dała się tam gdzieś zabić? Bo tak to się skończy. Dobrze wiesz, ilu tam jest dilerów i w ogóle.

Matka Simona skrzyżowała ręce na piersi jak nadąsane dziecko.

– Mamo, jedzie tam z Korpusem Pokoju, tak? Nie ucieka przecież z cyrkiem. Nie mogłabyś przestać myśleć tylko o sobie?

– Bardzo przepraszam, ale nie potrafię zrozumieć, dlaczego twoja siostra koniecznie musi jechać milion kilometrów stąd, żeby pomagać jakimś obcym ludziom, gdy tymczasem potrzebuje jej własna rodzina! Ja wiem, że praca w sklepie żelaznym to nie jest szczyt marzeń dla młodej dziewczyny. Wierz mi, też miałam inne plany!

– Wiem, mamo – powiedział Simon cicho, starając się, żeby zabrzmiało to

pocieszająco.

Zastanawiał się, co Doreen pomyśli o jego domu. Oczywiście będzie nim zachwycona, bo to jego dom. Na pewno szczerze pokocha jego matkę. Dojrzy w Lindzie Vale tę łagodną, dobrą kobietę, którą w gruncie rzeczy jest. Simon był przekonany, że Doreen postrzega świat dokładnie tak jak on.

– Byłam aktorką, wiesz przecież? I to dobrą. To tak poznałam waszego ojca. Zobaczył mnie, jak grałam Julię w O’Neill. Przyszedł do mnie po przedstawieniu.

Trudno było wyobrazić sobie matkę jako młodą aktorkę, a jeszcze trudniej ojca – uprzejmego, zdystansowanego człowieka, który zawsze działał ściśle według jakiegoś sobie tylko znanego planu – jako mężczyznę tak poruszonego przedstawieniem, że był gotów odnaleźć uroczą aktorkę, zdobyć jej serce i się z nią ożenić. To tak jak z Doreen w tym czerwonym płaszczu, gdy się poznali. Kiedy go ujrzała, wyglądała, jakby właśnie ją odnalazł.

– Wiem, mamo. Nie musisz mi tego mówić.

– Próbuję tylko powiedzieć, że chyba na wszystkim znam się lepiej niż na artykułach żelaznych. – Westchnęła i odstawiła kubek na blat, upstrzony okrągłymi śladami po poprzednich kawach. – Ale to wszystko, co teraz mamy. Ona nie ma za grosz poczucia odpowiedzialności.

– Wiesz, że wszystko słyszę, ale nic mnie to nie obchodzi.

Jane zeszła po schodach, czyściutka i gotowa. Ciemne włosy zaczesła w kucyk i założyła opaskę, żeby nie wymknęły się żadne kosmyki. W spodniach khaki, ciężkich butach i polarowej bluzie wyglądała na gotową na przygodę. Simon podziwiał ją za tę odwagę.

Pocałowała matkę w policzek, ale Linda ani drgnęła, uparcie opierała się o blat.

– Będę za tobą tęsknić, mamusiu. Wiesz, że będę. Ale muszę to zrobić. Dla samej siebie. Wiem, że pewnie trudno ci to zrozumieć.

– Nie traktuj mnie jak idiotki, Jane Vale. Bądź łaskawa nie zapominać, że jestem twoją matką – warknęła Linda. – Dokładnie wiem, jak to jest chcieć zrobić coś dla siebie. Nie pojmuję natomiast, jak można chcieć to robić właśnie wtedy, gdy rodzina cię potrzebuje, młoda damo. Sama bym tak nie postąpiła, więc jestem nieco zawiedziona, że nie udało mi się wychować cię na tyle, byś rozumiała takie podstawowe rzeczy.

Uśmiech Jane zgasł w jednej chwili.

– Przepraszam, mamo. Ja tylko... Słuchaj, jeśli naprawdę mnie tu potrzebujecie, to nie pojedę, dobra? Myślałam...

– Nie, nie myślałaś. Nie o mnie ani o swoim bracie.

– Masz rację. Chyba jednak nie myślałam. Zdawało mi się, że myślałam, ale się myliłam. Przepraszam.

Wbiła wzrok w swoje buty. Była bliska łez.

Twarz matki złagodniała.

– Hej, w porządku. Nic się nie stało, maleńka. Jesteś młoda, powinnaś zobaczyć świat. Nie przejmuj się mną, Janie. Po prostu będę za tobą tęsknić, nic poza tym.

Simon patrzył, jak się przytulają, kobiety jego życia, które do niedawna były dla niego całym światem. Było mu żal, że Jane wyjeżdża tak szybko, że nie poznała Doreen. Wiedział, że pokochałyby się jak siostry. Na podjeździe rozległo się trąbienie.

– To po mnie! – wybąkała matka przez łzy. – Wiesz, że nie znoszę pożegnań, moja kochana. Uważaj na siebie, dobrze? Obiecujesz?

– Obiecuję. I będę pisała mnóstwo mejli. I możemy gadać na Skypie!

– Po prostu zadzwoń, dobrze? Na mój koszt. My sobie jakoś poradzimy. Do widzenia, kochanie – powiedziała matka, głaszcząc Jane po policzku.

Jeszcze raz ją uściskała, chwyciła torebkę i płaszcz i popędziła na obcasach do czekającego na nią samochodu.

Simon i Jane patrzyli na nią przez kuchenne okno.

– Który to? – spytała Jane. – Ten od kręgli?

– Nie, chyba ten z kościoła. Ale nie wiem. A, nie, czekaj, to ta, jak jej tam...

– Tłusta Beth.

Koleżanka matki pomachała zza kierownicy caprice'a.

– Pa, pa, Janie! – zawołała Beth, machając palcami przez otwarte okno. – Baw się dobrze w Meksyku!

Matka raz jeszcze podniosła dłoń na pożegnanie, po czym wsiadła do samochodu. Jane odmachała i patrzyła, jak samochód odjeżdża.

– Nie jest najlepsza w pożegnaniach – stwierdził Simon.

– Wiem. Nie szkodzi. Przynajmniej mamy chwilę dla siebie, braciszku. A więc?

– Więc... Spakowana?

– Jasne. – Jane uśmiechnęła się szelmowsko i popatrzyła na niego wyczekująco. – No więc? Mów wszystko!

– Wszystko o czym?

– Jak to o czym? Chyba nie myślisz, że nic po tobie nie widać.

Zadarła wysoko brodę i posłała mu zarozumiałe spojrzenie.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Jane pokręciła palcem.

– Proszę cię. Mnie nie oszukasz. To, że musiałam się skupić na przygotowaniach do wyjazdu, nie znaczy, że nie zauważyłam, jak się snujesz po domu z tym durnowatym uśmiechem od ucha do ucha.

– Wcale że nie – zaprotestował Simon, ale wystarczyło, że usłyszał, jaki wpływ ma na niego Doreen, a już mimowolnie zaczął się szczerzyć.

– O! Właśnie! O tym uśmiechu mówię. Więc gadaj wszystko albo wydobędę to z ciebie siłą.

– Hm. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale jestem już od ciebie odrobinę wyższy, Jane.

– Może i jesteś wyższy, ale na pewno nadal... masz łaskotki! – I zaatakowała go, wykorzystując tę tajemną wiedzę, którą ma się tylko wtedy, gdy się z kimś dorasta. Gilgotała go bez litości.

Simon rąbnął z krzesła na twarde linoleum. Wił się, kopał i błagał, żeby przestała.

– Mowy nie ma! Gadaj prawdę! – krzyczała Jane.

– Litości! Litości! Wszystko powiem. Wszystko! Co chcesz wiedzieć? Jane wstała, ale palce wciąż miała zagięte i gotowe do ataku.

– Kim ona jest, Simon?

– Kim jest kto?

Jane uniosła ręce, jakby znów miała się na niego rzucić.

– Dobrze, już dobrze. Nazywa się Doreen Gray – przyznał Simon i aż mu się zrobiło gorąco od samego imienia.

Widząc zmianę na jego twarzy, Jane opuściła ręce.

– To koleżanka ze szkoły?

– Tak. Nie. Nie jest od nas. Chodzi do Chandlera.

– Do Chandler Academy?

Simon skoczył na równe nogi.

– Janie, żebyś ty wiedziała! Zamierzałem ci o niej opowiedzieć, ale chciałem jeszcze przez chwilę mieć ją tylko dla siebie. W życiu kogoś takiego nie poznałem. Jest piękna. Tak niesamowicie piękna, ale nie to jest najważniejsze. Widzisz, poznałem ją po meczu...

I Simon opowiedział siostrze wszystko. Jak zobaczył Doreen na parkingu. Jak zniknęła potem niczym zjawą. Jak podniósł z ziemi jakąś starą, obrzydliwą rękawiczkę i popędził za nią. Byle tylko mieć pretekst, żeby do niej zagadać. Opowiedział o spacerze, o czym rozmawiali, o tym, że czuje, że to było im pisane.

– Sam nie wiem, Janie. Wszystko wydaje się teraz zupełnie inne. Odzyskałem nadzieję. Nadzieję, jakiej nie czułem od wieków. Powiedziała, że spróbuje mi pomóc dostać się do Chandlera. Przydałoby się jakieś stypendium sportowe, żebym mógł się potem dostać na lepszy uniwersytet. Ale już mi tak na tym nie zależy. Wiem, że powinno. Trochę wychodzi na to, że jestem jedynym mężczyzną w domu, choć jestem najmłodszy. A skoro ty wyjeżdżasz na dwa lata do Boliwii, to mama naprawdę będzie mnie potrzebowała. Będę musiał się wszystkim zająć. Tylko że odkąd poznałem Doreen, potrafię myśleć jedynie o niej. Wszystko inne, szkoła, sklep, nawet futbol, to wszystko przestało się liczyć.

– A co się liczy?

Choć Simon był zbyt zakochany, żeby to zauważyć, Jane zaczęła się poważnie niepokoić o brata. Jeszcze nigdy nie widziała go w takim stanie. Zawsze twardo stąpał po ziemi. A tu nagle, właśnie wtedy, gdy ona wyjeżdża, by po raz pierwszy w życiu zrobić coś dla siebie, jakaś zdzira sprowadza go na złą drogę.

– Teraz tylko ta dziewczyna jest ważna? Dobrze rozumiem? Rzucisz wszystko dla jakiejś laski?

Simon zmarszczył nos.

– Nie mów tak, Jane. Nie mów o niej „laska”, jakbym ją poderwał w kinie. Ma na imię Doreen, jasne? I jest... jest... jest niesamowita! Nie cieszysz się moim szczęściem? No weź, Jane, myślałem, że mnie zrozumiesz. To przecież ty mi zawsze powtarzasz, że nie powinienem dawać sobą rządzić i że muszę zrobić coś dla siebie. Czy nie to właśnie mówisz? „Nie pozwalaj mamie wciąż sobą rządzić, Simon”. Nie tak? No to znalazłem coś dla siebie. A raczej kogoś. Jestem szczęśliwy! To właśnie jest szczęście, Jane! Och, powinienem był się domyślić, że nie zrozumiesz.

Simon wyszedł z kuchni i rzucił się na kanapę w dużym pokoju. Jane podreptała za nim.

– Oj, nie obrażaj się. Tak tylko pytałam. Przecież niczego ci nie żałuję, a już szczególnie... hm. No niczego.

– Miłości. Kochamy się.

– Oboje? Ona też cię kocha?

– Boże! Tak, Jane. Co mam ci powiedzieć? Przecież nie mam siedmiu lat. Wiem swoje. Tak, kocha mnie. Bardzo. Bardziej, niż ktokolwiek kiedykolwiek mnie kochał. Doreen Gray kocha mnie, a ja kocham ją. Odnaleźliśmy się. Mamy szczęście. I to właśnie dlatego snuję się po tym brzydkim domu z takim durnowatym uśmiechem. Bo po raz pierwszy w życiu czuję, że mam niesamowite szczęście.

Jane siadła przy Simonie na tym skrawku kanapy, który jej pozostał. Spojrzała na brata – tak silnego i pięknego, nawet z tą obrażoną miną. Oczywiście, że każda dziewczyna by się w nim zakochała. Jak mogłyby mu się oprzeć? Ale to jego dobroć zawsze najbardziej ją ujmowała. I spokój, z jakim radził sobie z ciężkim życiem. Choćby nie wiem, co się działo, zawsze wiedział, co zrobić, i to robił. Ich beznadziejny ojciec, szalona matka, śmierć pana Hoppera – nic nie odebrało mu tej wewnętrznej dobroci. A teraz był już duży, dorosły i przystojny. Doreen Gray, kimkolwiek była, nie miała przecież szans.

– Nie wściekaj się na mnie, Simon. Nie chciałam jej obrazić. Po prostu martwię się o ciebie.

– To możesz już przestać, rozumiesz? Jestem dorosły. A ty wyjeżdżasz, więc jeśli dotąd nie umiałem się o siebie zatroszczyć, to i tak czas najwyższy, żebym się nauczył.

– Masz rację. Masz rację. Przepraszam. – Nie tak chciała się z nim pożegnać. Przecież za nim będzie tęsknić najbardziej. – I naprawdę, naprawdę się cieszę. Serio.

Simon uniósł się na łokciach.

– Tak? Poważnie?

Jane się uśmiechnęła. Poza domem rzadko to robiła. Większość znajomych uważała ją za zimną, zbyt poważną. Ponieważ była mała i urocza, musiała walczyć o to, by ludzie traktowali ją poważnie. Ale do Simona mogłaby się uśmiechać od rana do nocy.

– Oczywiście, że się cieszę. Skoro ty jesteś szczęśliwy, to ja też. I ufam ci. Jeśli mówisz, że jest niesamowita, to oczywiście wierzę, że taka jest.

– Wiedziałem, że zrozumiesz!

Simon zarzucił jej swoje wielkie łapy na szyję i ścisnął tak, że aż zabrakło jej tchu.

– Dobra! – zawołał, zeskakując z kanapy. – Czas odwieźć cię na lotnisko, nie? Głupio by było, gdybyś się spóźniła na samolot! Skoczę po twoje bagaże.

Rzucił się w kierunku schodów.

– Simon! Zaczekaj!

– Co?

Stał z rękami na biodrach i patrzył na nią. Zmarszczył czoło z niepokoju. Jane podeszła bliżej i spojrzała mu prosto w twarz. Był o głowę wyższy i dwa razy szerszy niż ona, ale wciąż był tylko jej młodszym braciszkiem.

– Młody, chcę coś wyjaśnić. Jestem przekonana, że będziecie razem bardzo szczęśliwi, że czeka was tylko miłość i radość, ale żeby było jasne... – Chwyła go mocno za nadgarstki i spojrzała mu głęboko w oczy. – Jeśli ta Doreen Gray cię skrzywdzi, to ją zabiję. Rozumiesz? Zabiję ją gołymi rękami, jeśli będzie trzeba. Znajdę i zamorduję.

– Zrozumiano – odparł Simon i się jej wyrwał. – Ale nie rób już takiej poważnej miny, Janie. Czeka cię wielka przygoda! Uśmiechnij się!

I popędził w górę po jej torby.

– Mówię zupełnie serio! – krzyknęła jeszcze za nim.

Spojrzała przez kuchenne okno na brzydką podmiejską uliczkę. Leaving Place – co za miejsce. Już wkrótce będzie to tylko wspomnienie. Jeden z tysiąca szarych domów w jednym z tysięcy szarych miasteczek. Chciała za wszelką cenę znaleźć swoje miejsce na świecie, jak najdalej stąd. I naprawdę mogłaby wyjechać raz na zawsze, gdyby nie Simon. Ze względu na niego jej serce na zawsze zostanie tutaj, w Hamilton, gdziekolwiek by uciekła.

– Wszystko gotowe! – zawołał, schodząc na dół z dwoma torbami zarzuconymi na ramię i plecakiem w dłoni. Mimo tych ciężarów szedł beztróskim krokiem. – Jedziemy na lotnisko!

Ku poirytowaniu Heidi Doreen myślała teraz tylko o jednym – o Simonie Vale’u. Gdy tylko mogła, pędziła patrzeć, jak trenuje, albo spotykać się z nim w kawiarni Bread the News na Main Street. A kiedy nie mogła być przy nim, przynajmniej musiała o nim mówić. Bez przerwy.

Heidi oczywiście nie była na tyle głupia, żeby otwarcie okazywać swoją dezaprobatę, bo przecież Doreen, zresztą jak większość ludzi, była przekonana o swojej autonomii. Jaka-kolwiek krytyka z ust Heidi tylko by ich do siebie zbliżyła. Nie mówiła więc nic, jedynie ukradkiem przewracała oczami i miała nadzieję, że wszystko to szlag trafi, i to szybko.

Heidi nie miała zresztą żadnych zastrzeżeń do samego chłopca. Nie miała nic przeciwko niemu. Nie zapomniała o swoim pochodzeniu i bynajmniej nie zamierzała skreślać kogoś tylko dlatego, że nie stać go na prywatną szkołę. Co więcej, nie miała wątpliwości, że jest tak przystojny, czuły i wysportowany, jak bez końca zapewniała je Doreen.

W drodze na południowe lekcje:

– Czy ty widziałaś, co zrobiła ze swoimi włosami Juliet Goldberg? Wierzyć się nie chce, że jej się zdawało, że z taką twarzą może sobie pozwolić na pixie! Przecież ona nie ma odpowiednich kości policzkowych – powiedziała Heidi.

– To nie będzie miało żadnego znaczenia dla tego, kto ją naprawdę kocha – odparła rozmarzonym głosem Doreen. – Simon mówi, że kochałby mnie, nawet gdybym miała zieloną skórę i marchewkę zamiast nosa. Mówi, że nawet gdybym przytyła tysiąc kilo i cała wysmarowała się olejem rycynowym, jego uczucia wobec mnie zupełnie by się nie zmieniły.

– Na twoim miejscu nie sprawdzałabym tego empirycznie.

– Co?

– Nic. Masz szczęście, że na niego trafiłaś, Doreen. Ale tak się składa, że Juliet jest singielką.

– Mam szczęście, to prawda. Wszyscy powinni być tak szczęśliwi jak ja. Wszyscy powinni znaleźć swoją miłość.

Doreen zerwała liść z drzewa i powąchała go, przymykając oczy.

– Uważaj! Ławka! – zawołała Heidi, choć właściwie nie miałyby nic przeciwko temu, żeby koleżanka się potknęła i runęła z powrotem na ziemię.

– O, dzięki! – Doreen odrzuciła liść. – W każdym razie uważam, że zbyt surowo osądzasz Juliet. Jej piękno kryje się we wnętrzu.

Heidi odwróciła twarz, bo ją zemdliło.

Przy śniadaniu:

– Wiecie, to zabawne, ale jakoś nigdy nie przepadałam za sportem, póki nie poznałam Simona.

– Jak dla mnie to zwykła strata czasu – mruknęła Biz. – Pojęcia nie mam, co ludzie w tym widzą.

Nałożyła sobie odrobinę każdego rodzaju płatków śniadaniowych. Nazywała to śniadaniowym samobójstwem.

– No właśnie – poparła ją Heidi, lejąc sobie do kawy odtłuszczone mleko i dosypując słodzik.

Ale Doreen jakby zupełnie ich nie słyszała.

– Nigdy nie mogłam zrozumieć, dlaczego dziewczyny chcą być ze sportowcami. Znaczą te, które same wcale nie przepadają za sportem. Dlaczego dziewczyna, która nie ogląda futbolu, miałaby chcieć chodzić z futbolistą? Teraz zaczynam rozumieć. – W zamyśleniu skubnęła pełnoziarnisty tost. – Otóż to jest tak...

– Nie musisz nam wyjaśniać – pospiesznie zapewniła ją Heidi. – Serio.

– Kiedy patrzę, jak Simon gra, jest sto razy lepszy od wszystkich innych, i przez to sama czuję się tak, jakbym wygrywała. Ale czuję się też bezpieczna. Bo Simon mnie kocha i zabiłby każdego, kto chciałby mi zrobić krzywdę. Naprawdę mógłby to zrobić. Gołymi rękami. Jest taki okropnie silny.

– Każdy to potrafi – stwierdziła Biz między jedną łyżką płatkowej brei a drugą. – No wiesz, nawet ja mogłabym kogoś zabić gołymi rękami. Naprawdę. To łatwiejsze, niż nam się zdaje, jeśli tylko człowiek zna się trochę na ludzkiej anatomii. Wystarczy jedynie...

– Tak sobie myślę... – przerwała jej Doreen, a Heidi odruchowo syknęła krytycznie.

Kiedy komuś przerywasz, sprawiasz wrażenie zbyt podekscytowanej i głupiej. Cywilizowani ludzie czekają na swoją kolej. Tego nauczył ją Roland.

– Waszym zdaniem Simon dałby radę zdobyć jakieś stypendium futbolowe? Żeby dostać się do Chandlera? Wiem, że jeszcze nie widziałyście, jak gra, ale wierzcie mi, jest naprawdę wybitny. Nasza szkoła tyle by zyskała, gdyby dla nas grał.

– Słucham? Stypendium futbolowe? – spytała Heidi.

– Tak. Przecież Chandler na pewno ma swoją drużynę, prawda?

– Jasne. Chyba ma. Mamy drużynę, tak, Biz?

– Podobno.

– Dlaczego nie mieliby chcieć wygrywać? A z Simonem na pewno by wygrywali. Czy szkoła nie byłaby gotowa wysupłać jakiegoś stypendium, żeby potem mieć się czym chwalić? Biz, jak myślisz?

Biz i Heidi popatrzyły po sobie. Chandler zdecydowanie nie należał do miejsc, gdzie można dostać stypendium futbolowe.

– Hm – wybąkała Biz.

– Mógłby tyle osiągnąć, gdyby mu tylko pomóc. Wystarczy go pchnąć

w odpowiednim kierunku. Zresztą kiedy zobaczycie go w akcji, od razu zrozumiecie, o czym mówię.

– Idzie Misha. Zmieńmy temat, dobrze? – zarządziła Heidi.

– Ale dlaczego miałabym...

– Doreen, zaufaj mi i po prostu cicho sza, jasne?

– O czym rozmawiacie? – Misha usiadła obok Heidi.

– O... – Doreen spojrzała na Heidi, która dyskretnie pokręciła głową. Simon nie Simon, przecież Doreen nadal zależało na popularności. – O tej uroczej bluzce, którą masz dziś na sobie, Meesh. Skąd ją wzięłaś? Jest boska.

„Udało się uniknąć katastrofy – pomyślała z ulgą Heidi. – Tym razem się udało”.

*

Podczas gdy Misha relacjonowała im ze szczegółami jakąś plotkę zasłyszaną od Wes Sylvan, Heidi utwierdzała się w przekonaniu, że sprawa Simona Vale’a naprawdę musi pozostać ich tajemnicą. Jeśli stanie się tematem plotek w Chandlerze, Doreen będzie skończona. Nie minął nawet semestr, odkąd pojawiła się w szkole, a już skreśliła wszystkich tutejszych chłopców? To nie spodoba się ani chłopakom, ani dziewczynom. A jeśli jeszcze dodać do tego jej zachwyty „dobrocią” -Simona, ludzie na pewno zaczną ją atakować.

Jeśli będzie trzeba, Heidi poczyni odpowiednie kroki. Nie będzie to pierwszy raz, gdy okoliczności zmuszą ją do rozbicia związku jej zdaniem niedobranego lub z jakichś powodów niewskazanego, miała jednak nadzieję, że do tego nie dojdzie. Lepiej gdyby udało się po prostu przemówić tej dziewczynie do rozumu, przypomnieć jej o ich wielkim projekcie. Patrzyła, jak Misha próbuje zaimponować Doreen, i serce rosło jej z dumy. Tak wiele już osiągnęły, że aż strach myśleć, co jeszcze przed nimi, jeśli tylko skupią się na zadaniu. Heidi bowiem myślała już nie tylko o Chandlerze. Dwie dziewczyny z zewnątrz podbijają wyższe sfery...? Dlaczego nie? To partnerstwo mogło przynieść zyski im obu. Dożywotnie zyski.

Czas trochę się zabawić, odnowić tę koleżeńską więź dzięki odrobinie wspólnej rozrywki. Heidi postanowiła, że muszą się spotkać w szopie za stadionem godzinę przed zamknięciem internatu na noc.

– Tylko ty i ja – powiedziała i puściła oko do Doreen, która uśmiechnęła się radośnie.

Mimo całego tego zamieszania z Simonem Heidi wciąż miała na nią jakiś wpływ.

*

– Tak lepiej? – spytała Doreen.

Heidi spojrzała krytycznie na smętnego skręta.

– Hm. Powiedzmy, że idziesz w dobrym kierunku. Ale musisz je ciaśniej zwijać. Zobacz. W ten sposób, rozumiesz?

– Nie potrafię. Lepiej ty to zrób.

– Zwijanie skrętów to ważna umiejętność, Doreen. Bardzo sexy.

Zapaliła skręta zapalniczką, którą „pożyczyła” dwa lata temu od Ad-rocka.

– Naprawdę?

Wcześniej rozłożyły sobie płaszcz przeciwdeszczowy Heidi, żeby nie zmoczyć swoich chudych tyłków. Zapach wilgotnej ziemi przyjemnie komponował się z mdłym aromatem trawy. Budował atmosferę bliskości z naturą, a to uczucie było dla Heidi prawdziwą rzadkością.

– To, wiesz, jak granie w bilard. Albo posługiwanie się kluczem nasadowym. Mężczyźni uwielbiają zaradne kobiety.

Zaciągnęła się.

– Co to jest klucz nasadowy?

– A niby skąd mam wiedzieć?

Doreen wybuchnęła śmiechem, a Heidi do niej dołączyła. Ich chichot tłumiły mokre drewniane ściany szopy.

– Przestań! – zawołała Doreen, ocierając łzy. – Bo się posikam. O Boże. Czekaj. Co ty właściwie powiedziałaś? Już nawet nie pamiętam, z czego się tak śmiałyśmy.

– Ja też nie!

Znow zaniósł się szaleńczym śmiechem.

– Jak myślisz, od jak dawna uczniowie jarają w tej szopie?

– Od jakichś stu lat. Tak na moje oko.

– I nikt ich nigdy nie przyłapał?

– Kto to wie.

– Założę się, że mój tata też tu palił trawę. – Doreen rozejrzała się, próbując to sobie wyobrazić. – Bo wiesz, też chodził do Chandlera.

– Aha – mruknęła Heidi, starając się, żeby wypadło to lekko. – Już wspominałaś. Ale jakoś nigdy o nim nie mówisz. Jaki on jest?

Doreen zaczęła kreślić palcem w błocie.

– Nie wiem. Już go właściwie nie znam. Odebrał mnie z lotniska w Bostonie. Ale wcześniej ostatni raz widziałam go, kiedy byłam dzieckiem.

– Co powiedział, gdy cię odebrał?

Heidi bardzo się starała, żeby zabrzmiało to troskliwie, a nie wścibsko, po prostu jak pytanie przyjaciółki. Znowu się zaciągnęła.

– Chyba się bał, że narobię mu wstydu. W Chandlerze. Powiedział, że to jego teren i że ma wobec mnie oczekiwania, cokolwiek miał na myśli.

– Och, Doreen. Tak mi przykro. Co za kretyn.

– Co? Nie, nie wiem. Ma przecież reputację, o którą musi dbać.

Doreen skuliła się i znów była tylko zastraszoną, zagubioną dziewczynką. Heidi ścisnęło się serce. Wiedziała, jak to jest, gdy człowiekowi się wydaje, że zasłużył sobie na złe traktowanie.

– Bzdura. Masz takie samo prawo do tej szkoły jak wszyscy. Bez urazy, ale z tego, co mówisz, ten facet wygląda mi na skończonego dupka.

– Masz rację. – Doreen zacisnęła pięści. – To dupek! Mój ojciec to dupek! Wciąż nawijał o tym, jakie to mam szczęście, że daje mi szansę chodzić do Chandlera. Jak to musiał dla mnie uruchomić znajomości. Normalnie jakbym była obcym człowiekiem, wiesz? A nie jego własnym dzieckiem.

– Kurczę. Gdyby mógł cię teraz zobaczyć, nie? Pewnie w życiu nie przypuszczał, że zdobędziesz taką popularność. Wzdycha do ciebie sam Gordon Lichter i całe mnóstwo chłopaków dałoby się posiekać, żeby móc się do ciebie dostać.

– Mają pecha. Bo mnie zależy tylko na Simonie.

– No tak. Racja.

Urocza twarz Doreen nagle się zachmurzyła.

– Czasami, gdy tak patrzę, jak gra, wyobrażam sobie, jaki mały by się wydawał przy nim mój tata. Słaby i niemęski. W porównaniu z Simonem.

– Twój ojciec pewnie nie mógłby go znieść – podchwyciła Heidi.

– No wiem. Super, nie? – Doreen posłała Heidi szalony uśmiech. – Nie myśl, że nie wzięłam tego pod uwagę. – Nagle znów przeszła na swój słodki ton niewiniątka. – Ale to wszystko nie ma znaczenia. Kiedy przyjdę z Simonem na jesienny bal...

– Słucham? – Heidi zakrztusiła się dymem. – Czy ty powiedziałaś...? Czekaj...

Bała się, że zwymiotuje. Na bal? Wykluczone!

– Nie mówiłam ci jeszcze? Na bal idę z Simonem.

– Nie. To nie... Ale co z...? Przecież Gordon tam będzie.

– A co mnie obchodzi głupi, mały Gordon Lichter! Przecież to tylko kolejny facet pokroju mojego ojca. Gdzie mu do Simona? Poczekaaj, Heidi. Poczekaaj, aż zobaczysz, jak on gra. Przyjdiesz jutro na mecz, prawda?

Heidi potarła oczy. Dobra. Jakoś to załatwi. Coś wymyśli.

– Obiecałam, że przyjdę, to przyjdę. Prawdziwa dama zawsze dotrzymuje słowa.

– Dobrze. Zobaczysz. Zrozumiesz wszystko, gdy zobaczysz jego grę.

Doreen odchyliła się, oparła o ścianę szopy. Oddychała głęboko. Tamta zagubiona dziewczynka zniknęła, a na jej miejscu siedziała nieustraszona, silna kobieta.

Czy to zasługa Simona? A jeśli tak, czy może być w tym coś złego? A jednak Heidi się to nie podobało. W Doreen wyczuwało się teraz coś nowego,

jakiś chłód, którego przedtem w niej nie widziała. Ogarnął ją całą, aż zadrżała.

A potem nagle ciepło wróciło.

– Zaufaj mi – powiedziała Doreen i poklepała przyjaciółkę po nodze. – Wszystko się ułoży. Zobacysz.

Heidi zgasiła skręta o ścianę i zakopała niedopałek. Nagle zapragnęła znaleźć się jak najdalej stąd.

– Dobra, romantyczko, czas spadać.

*

Wieczorem Heidi próbowała się skupić na pracy domowej z chemii dla zaawansowanych, ale nie mogła przestać myśleć o Simonie i Doreen. To, że Doreen znalazła sobie chłopaka spoza Chandlera, i to tak szybko, było już wystarczająco okropne, ale żeby jeszcze pchać go wszystkim przed oczy na jesiennym balu? Katastrofa murowana. Heidi miała tylko nadzieję, że to, co łączy Doreen i Simona, jest na tyle ważne, że warto stracić wszystko, co wypracowały. Wszystko albo i więcej. Uczniom z Chandlera nieobce były te same okrutne metody, z którymi Doreen spotkała się w swojej starej szkole. Tak, zyskała jako taką pozycję na kampusie, ale wciąż była nowa, nie miała wystarczających znajomości ani wspólnej z innymi uczniami przeszłości. Jej status wciąż nie był stuprocentowo pewny. Dziewczyna może się narazić na poważne reperkusje, chodzi przecież o samego Gordona Lichtera.

Ale ona nazywa się przecież Heidi Whelan! Może ochronić Doreen, prawda? Tablica Mendelejewa zatańczyła jej przed oczami i Heidi zamknęła książkę. Kompletnie nie wiedziała, jaki powinien być jej następny ruch. Kiedy w grę wchodziły jej własne pragnienia, zawsze wiedziała, co robić. Ale ten nowy pomysł, by wykorzystać swoje talenty dla dobra kogoś innego, zupełnie zbijał ją z tropu. Czy powinna zostawić ich w spokoju, by cieszyli się swoim szczęściem, i liczyć na to, że ona, Heidi, ma dość wpływów, by chronić Doreen przed wilkami? Czy raczej rozbić ten związek i dla bezpieczeństwa Doreen poświęcić to, co dziewczyna uważa za miłość życia? Nie ulegało wątpliwości, że była naprawdę zakochana. Ale ile to może potrwać? W końcu są tylko nastolatkami. Heidi rozgryzła pistację. Zresztą czy tu naprawdę chodziło o Simona, czy może o coś zupełnie innego? Wzdrygnęła się na myśl o tym, jak wyglądała Doreen dziś w szopie. To przerażająco chłodne spojrzenie, jakby była pozbawiona wszelkich uczuć – Heidi знаła to spojrzenie aż za dobrze, choć jeszcze nigdy dotąd nie widziała go u Doreen. Widziała je u niego. W końcu czyż Doreen nie była jego córką? I nienawidziła go.

Doreen nie cierpiała Rolanda. Heidi widziała to w jej oczach. Nie znosiła ojca za to, co zrobił jej żalostnej matce stewardesie gdzieś na Wielkich Równinach. To z kolei niezmiernie cieszyło Heidi. Może kochał Doreen, gdy była mała. Może

obdarzał ją swoją uwagą tak jak Heidi. A potem odwrócił się od niej, odepchnął ją, strącił w mrok. Sprawił, że Heidi czuła się tak, jakby mogła wszystko, jakby była piękna, wyjątkowa i utalentowana. A potem odrzucił ją niczym stare, wypalone cygaro.

„Obie go nienawidzimy, Doreen – pomyślała Heidi. – Ale razem potrafimy go zmusić, by nam za wszystko zapłacił”.

Mecz futbolu! Doreen przemykała między ławkami, zwinnie przeciskając się przez tłum na swoje ulubione miejsce. Heidi i Biz próbowały ją dogonić, ale szło im o wiele wolniej. Heidi ostrożnie przechodziła przez każdą kolejną ławkę, starając się zachować godność w swoich kozakach na wysokim obcasie i włochatych żółtych rękawiczkach, którymi wymachiwała na boki, by nie stracić równowagi. U jej boku gramoliła się Biz, której udało się popchnąć lub kopnąć chyba każdego, kogo mijały.

– Hej! Heidi! Biz! Tutaj! – zawołała Doreen niemal z samego dołu trybun.

Wymachiwała do nich rękami. Heidi jej odmachala. Biz także, przy okazji rąbnawszy jakiegoś dzieciaka obok. Powoli, przepraszając kolejne piętrzące się na ich drodze ludzkie przeszkody, dotarły do przyjaciółki.

– No! No! – mruknęła Heidi, drżąc z zimna. – W życiu bym nie przypuszczała, że to będzie takie gimnastyczne wyzwanie. Sama przyjemność. – Przsunęła się bliżej Doreen i wzięła ją pod ramię.

– Metalowe ławki do oglądania sportów w zimie... Hm... Interesujący wybór! – Biz bardzo się starała wyglądać, jakby było jej wygodnie, ale bezwiednie wykorzystwała lata nauk Mamci i wyprostowała się jak struna. – Ja wybrałabym chyba materiał, który nie przewodzi zimna z taką łatwością. Dajmy na to drewno. Albo twardy plastik.

Uniosła aparat i strzeliła kilka fotek tłumowi.

– Cicho, Biz. Zachowuj się. Dla Doreen to ważny dzień. Zresztą przyniosłam coś na rozgrzanie.

Heidi pogrzebała w swojej torbie od Louisa Vuittona i po chwili wyciągnęła malutką perłową piersiówkę. Wzięła łyk, a potem podała ją Biz.

– Tak, tym razem jednak się skuszę – mruknęła Biz, pijąc łąpczywie. – Tylko żeby się rozgrzać.

– Jasne, jasne. Doreen?

– Co? – mruknęła nieprzytomnie Doreen.

– Wódki?

– O, nie, nie, dziękuję.

Na boisko wygramolił się dyrygent orkiestry, a za nim ruszyła reszta zespołu. Rozległy się głośne dźwięki. Niezupełnie brzmiało to jak muzyka, ale czuło się, że ma ją przypominać.

– Wow! – ryknęła Biz, uśmiechając się dzielnie. – Imponująca głośność, prawda?

– Co?!

Fani wokół zaczęli entuzjastycznie śpiewać.

– To ich hymn! Zaraz wyjdą! Patrzcie! Patrzcie! To Simon! – Doreen

wskazała im kogoś i aż zaczęła podskakiwać, nie mogąc opanować emocji.

Heidi z łatwością potrafiła sobie wyobrazić, jaka Doreen była w dzieciństwie, te wielkie błyszczące fioletowe oczy, tak spragnione nowych doświadczeń.

– Heidi! Widzisz go? Jest na samym przodzie. O Boże! Szuka mnie! – Znów zaczęła wymachiwać rękami. – Simon! Simon! Tu jestem!

Heidi aż się zarumieniła ze wstydu na widok tej ekscytacji Doreen. Chwyciła aparat Biz.

– Hej!

– Cii! – syknęła.

Odepchnęła rękę Biz i podniosła aparat do oczu. Pokręciła potężnym zoomem, żeby móc się lepiej przyjrzeć Simonowi. Chłopak zadzierał głowę w ich stronę, kask trzymał w dłoni. Heidi patrzyła, jak szuka wzrokiem Doreen, a gdy ją znalazł, jego twarz rozpromieniła się w szalonym, niemal dzikim uśmiechu. Rzeczywiście był przystojny. Może nawet więcej niż przystojny – był oszalamiający. Wyprowadzał na boisko całą drużynę mięśniaków, ale tylko on miał tak szeroką pierś, tak potężne nogi i tak wysoką sylwetkę. Dumnie wyprostowany, poruszał się z imponującą lekkością. Cerę miał ciemną, włosy czarne i krótkie, a usta mięsiste. Być może była to wina jego stroju albo ochraniaczy na ramionach, albo tego wariackiego uśmiechu, ale Heidi odniosła wrażenie, że ten chłopak nie jest do końca zdrowy na umyśle.

– Wow! – powiedziała. – Ty to masz szczęście, Dorie! Wygląda jak gwiazda filmowa.

Doreen posłała mu buziaka. Simon udał, że go łapie. Heidi aż się wzdrygnęła.

– Jest świetny! Zaraz zobaczycie, jak gra! – wyszeptała przejęta Doreen.

– Mogłabym już dostać z powrotem aparat? – spytała Biz.

– Nie – warknęła Heidi. – I przestań o to pytać.

– Tylko zobacz, jak on się do ciebie uśmiecha. – Biz wyciągnęła szyję, żeby móc spojrzeć na wyświetlacz aparatu zza ramienia Heidi. – Boję się, że zaraz się przewróci!

– Kto? Simon? Nigdy! – zapewniła ją Doreen. – Sama zobaczysz. Jeszcze nigdy nie widziałam, żeby coś mu się nie udało.

Biz kiwała głową i uśmiechała się, a potem uśmiechała się i kiwała głową, choć nie miała pojęcia, na co właściwie należy patrzeć na boisku i o co chodzi w grze.

– Zaczynają! Teraz będzie wykop. Och, jakie to ekscytujące! – emocjonowała się Doreen, klaszcząc ze wszystkich sił. – Hawkeyes! Hawkeyes!

– Rzeczywiście bardzo ekscytujące – zgodziła się z nią Biz, ale szepnęła Heidi do ucha: – Czy ty wiesz, o co w tym wszystkim chodzi, Heidi? Powinam

była coś o tym poczytać przed meczem.

Heidi opuściła aparat. Jeśli coś wiedziała, to tyle, że ta pomięta, brudna niebieska czapka, którą Biz wcisnęła dziś na swoje tłuste warkocze, była uszyta z włoskiego kaszmiru i kiedyś stanowiła komplet z takim samym szalikiem, ale Biz go zgubiła. Tak po prostu – zgubiła. Zapodziała gdzieś. Taki wspaniały szalik, mięciutki i na tyle długi, że można go było cudownie opleść kilka razy wokół szyi. Heidi odczuwała tę stratę niemal fizycznie, jakby to był jej własny szalik. Bo też w końcu byłby jej. Zalała ją fala zazdrości zmieszanej z potępieniem. Ale natychmiast się otrząsnęła. Biedna Biz była zupełnie spanikowana.

– Wyluzuj, ślicznotko – szepnęła Heidi, podając jej piersiówkę. – Po prostu rób to co ja.

Biz pokiwała głową.

– Łooo! – ryknęła Heidi. – Dawaj, Hamilton!

– Taak! – spróbowała niepewnie Biz. Wstała i zamachała rękami. – Hura! Brawo nasi! – Usiadła z głośnym hukiem. – Dobrze mi poszło?

– Dobrze – pochwaliła ją Heidi, klepiąc przyjaciółkę po kolanie. – Wreszcie zaczynasz brzmieć jak nastolatka. Nastolatka z Marsa, ale to już coś.

– Dzięki. – Biz się ucieszyła. Dumna z siebie pociągnęła kolejny łyk wódki. – W dechę!

– Uważaj, kochanie. – Heidi zakręciła butelkę i schowała ją do torebki. – Nie chcemy, żebyś się całkiem zalała.

– Nie chcemy? A gdzie się podział Simon? Jest już tam gdzieś?

Doreen syknęła na nią z irytacją:

– Nie, Biz. Teraz gra obrona. A on jest rozgrywającym. Rozumiesz? Jest tam, za linią boczną. To ten z numerem dziesięć.

– A, racja. Śśświetnie... nno, ten... siedzi, nie?

Biz popatrzyła tęsknie na aparat, który wciąż trzymała Heidi.

– On wszystko robi świetnie – odparła Doreen.

Heidi przewróciła oczami, chowając się za aparatem. Tak, Simon siedział na ławce, ale zamiast obserwować grę na bois-ku, gapił się prosto na nie. Kolega z drużyny coś do niego mówił, jednak Simon nie słuchał. Heidi opuściła aparat i spojrzała na Doreen, która zagrzewała do walki obronę Hamiltona. Dziewczyna albo nie zauważyła, że Simon nie odrywa od niej wzroku, albo nie chciała o tym mówić. Heidi nigdy nie brakowało wielbicieli, ale to opętanie, które malowało się na twarzy Simona, przerastało wszystko, co dotąd widziała.

– Fascynujące – szepnęła, wciąż obserwując go przez obiektyw aparatu.

– W rzeczy samej! – odburknęła Biz pochylona tuż przy kolanie Heidi.

Bez pardonu szperała jej w torbie.

– Hej! Chwilunia. To bardzo nieładnie zaglądać komuś do torby, panno Gibbons-Brown. – Heidi odtrąciła jej rękę i szybko wyciągnęła z torby piersiówkę,

bo wiedziała, że to jej tak gorączkowo poszukuje Biz. Uniosła butelkę wysoko nad głową. – W życiu bym się nie spodziewała takiego zachowania po kimś z tak dobrego domu.

– Wcale nie grzebię w cudzej torbie! Ściśle rzecz biorąc, to moja torba.

Biz próbowała dosięgnąć butelki, ale Heidi miała dłuższe ręce.

– Hm. No tak, ale jednak.

– Nie bądź sknerą, Heidster. Daj butelkę! Tylko kapkę!

Heidi westchnęła z rezygnacją i podała Biz piersiówkę. Tymczasem coś musiało się stać na boisku, bo tłum szalał. Doreen wrzeszczała i tupiała.

– Właśnie! Nie zadzierajcie z Hawksami!

– Doreen jest normalnie superfanką – stwierdziła Biz i zachichotała. – Dawaaaj, dawaj!

– Teraz wchodzi – szepnęła Doreen.

Chwyliła Heidi za rękę. I choć co do zasady Heidi nie tolerowała żadnego trzymania się za ręce, w szczególności z dziewczynami, tym razem zrobiła wyjątek. Przejęcie Doreen było niemal namacalne. Na jej jasną, piękną twarz wystąpiły rumieńce od zimna i ekscytacji, oczy lśniły z niecierpliwości.

– Heidi, po prostu ty tego nie dasz rady... – Ale nie dokończyła, bo język plątał jej się z emocji.

– Dam radę, dam – zapewniła ją Heidi i spojrzała z czułością na przyjaciółkę.

Zawodnicy ataku zajęli swoje pozycje na linii wznowienia gry.

– Simon to ten z łapami na tyłku tego tam?

– Cicho, Biz.

Heidi uniosła aparat, żeby obserwować podanie. Simon prezentował się wspaniale, to musiała przyznać. Chwylił piłkę od snappera i rzucił się w tył, żeby się z nią przepchać. A jednak poruszał się zaskakująco apatycznie. Ta poza z ręką tuż za uchem była pełna gracji i siły, ale jakoś brakowało mu ikry. Gdy w końcu cisnął piłkę, poleciała leniwie, odbiła się od linii i ostatecznie wylądowała daleko poza zasięgiem skrzydłowych.

Heidi poczuła, jak ciało Doreen się napina. Dziewczyna pokręciła głową.

– Nie rozu...

– Pewnie dopiero się rozkręca – powiedziała Heidi. – To tylko jedno podanie.

– Tak, pewnie masz rację. Ale...

Doreen nie dokończyła, Heidi jednak wiedziała, co przyjaciółka chciała powiedzieć. Tam na dole, na boisku, Simon, zamiast zrobić przeproszącą minę, wręcz przeciwnie – triumfował. Spojrzał w górę na dziewczyny z dumą, może kpina. Zupełnie jakby to nieudane podanie było jego prywatnym zwycięstwem. Nad kim? Heidi nie miała pojęcia.

– Dawaj, dawaj! – wrzasnęła Heidi, klaszcząc głośno. – Dawajcie, Hawkeyesi!

Ale Simon nadal grał beznadziejnie i kolejne próby kończyły się porażką drużyny. Mijały minuty, a atak Hamiltona partaczył kolejne zagrania. A po każdym lobie, słabym przekazaniu, sacku czy przejęciu – których zdarzyło mu się w pierwszej połowie aż pięć – Simon zawsze posyłał Doreen ten sam triumfalny uśmiech.

– Nie wiem, co powiedzieć. Ja... Pewnie myślicie, że wszystko zmyśliłam, ale przysięgam, że dziś nie jest sobą. Co za rozczarowanie! – Doreen niemal płakała z rozgoryczenia. – Co on sobie w ogóle wyobraża?

Tymczasem tłum zaczął gwizdać na Simona. Kibice wyzywali go, wykrzykiwali obraźliwe, chamskie hasła.

– Hej! Hej! Zostawcie go w spokoju! – zaczęła go bronić Biz. – A wy czego takiego dokonaliście w życiu, hę? No, tłuszczochu? A ty tam, w brzydkiej koszulce? Nie poddawaj się, Simon!

– Cii, Biz. Nie warto zdzierać gardła. Niech sobie wrzeszczą. Mają do tego prawo. Buuu! – ryknęła Doreen, układając dłonie w trąbkę, żeby było ją lepiej słyszać. – Jesteś beznadziejny, Simonie Vale'u!

– Doreen! – Biz pociągnęła ją za rękaw. – Jeszcze cię zobaczy! Właśnie patrzy w naszą stronę.

Ale Doreen nie chciała usiąść. Gwizdała i wymyślała swojemu ukochanemu, podczas gdy on poruszał się po boisku zupełnie bez życia, nie zdobywając ani jednego punktu. Wreszcie skończyła się pierwsza połowa i ruszył w stronę szatni, machając na pożegnanie z takim samym durnym uśmiechem, z jakim wszedł na początku gry. Doreen siadła ciężko na ławce. Jej twarz zastygła, usta drżały. Orkiestra cięła coś między disco a folkiem ukraińskim, a może miała to być muzyka filmowa z odległej przyszłości. Fani zaczęli schodzić z trybun, rozczarowani i zszokowani.

– Będzie dobrze, Dorie, nnie załaaamuj się – wybełkotała Biz. – Może po prostu się zestresował.

– Nie wydaje mi się. Tak bardzo się co do niego myliłam.

Doreen ukryła twarz w dłoniach.

– Przecież to tylko futbol. Jakie to ma znaczenie? – spytała Heidi.

– Jak to jakie? Ogromne! Bez futbolu Simon to tylko nudny dzieciak z publicznej szkoły. Tak zwyczajny. Tak zupełnie niewyjątkowy. Och, co za katastrofa. Tak mi przykro. Zmarnowałyście przeze mnie tyle czasu. Może już idźcie? Tak. – Doreen otarła łzy. – Tak, nie ma co tu siedzieć i zamarzać na śmierć tylko po to, żeby patrzeć na tę żenadę.

– W innych okolicznościach pewnie upierałabym się, żebyśmy zostały – powiedziała Heidi – ale obawiam się, że Biz odrobinę przesadziła z tą piersiówką.

Biz właśnie wymachiwała czapką nad głową i kręciła biodrami.

– Macho, macho man. La, la, la, la, la, macho man! – śpiewała.

Heidi położyła Doreen dłoń na ramieniu.

– Simon jest bardzo przystojny. To na pewno. Być może to ci wystarczy.

Ostatecznie na jesiennym balu nie będzie przecież futbolu.

– Nie będzie też Simona Vale’a.

– Naprawdę? – Heidi miała nadzieję, że Doreen nie wychwyci radości w jej głosie.

– Nie rozumiesz? Teraz wzbudza we mnie już tylko obrzydzenie! To okropne. Nie zniosłabym, gdyby chciał mnie wziąć w ramiona. Wolałabym umrzeć. Idźcie, idźcie. Dajcie mi przeżyć w samotności to upokorzenie. Proszę was. Zostanę do końca gry, a jutro do was przyjdę. Proszę.

– Biedna Dorie – powiedziała Biz.

Wyjęła aparat z rąk Heidi i wycelowała obiektyw w zrozpaczoną twarz kuzynki, ale Doreen natychmiast go chwyciła i odepchnęła.

– Jeśli jeszcze raz pstrykniesz mi fotkę, Elizabeth, to cię strzelę. Mówię poważnie. I roztrzaskam twój ukochany aparat na tysiąc kawałków.

– Przepraszam – wybąkała Biz. – Doreen...

– Nie dotykaj mnie! – Odskoczyła. – Po prostu zostawcie mnie w spokoju! No już, idźcie sobie! Nie widzicie, że mam złamane serce?!

Wcisnęła ręce do kieszeni i zamknęła oczy. Nie otworzyła ich, póki przyjaciółki sobie nie poszły.

*

I tak było po kłopotcie, nim się nawet zaczęła. Wspaniałe rozstanie!

Gdy Heidi ciągnęła Biz do domu i pakowała ją do łóżka, myślała o Gordonie Lichterze. Wystarczy odpowiednia błys-kotka i powinno mu się jednak udać pójść z Doreen na bal. Coś ładnego, ale bez ekstrawagancji, coś, co rozbudzałoby ochotę na więcej. I oczywiście sukienka. Obietnica sukienki może uczynić cuda.

– Halo, Gordon? Słuchaj, wiem, że Doreen była ostatnio bardzo zajęta... Nie, skąd! Wcale cię nie unika. Ale była trochę chora i... A, nie, nic poważnego. Jakies... coś tam, już wszystko dobrze. Słuchaj, tak sobie pomyślałam, że powinniśmy obgadać bal jesienny, dobra?... Wiem, ale nie powinieneś się tak łatwo poddawać. Jestem pewna, że dałoby się ją, hm... przekonać. Tylko musiałbyś działać szybko, bo zaraz zamykają sklep.

*

Tymczasem druga połowa meczu ciągnęła się tak jak pierwsza. Nawet drużyna gości zdawała się już znudzona tak łatwym zwycięstwem. Tłum wykruszał się z każdą minutą, aż w końcu, gdy zegar obwieścił koniec gry, trybuny były

niemal zupełnie puste. Ci nieliczni kibice, którzy się ostali, słowa „-Simon Vale” wymawiali niczym przekleństwo. Doreen kuliła się pod ich okrutnym brzmieniem. Upadły bohater. Co za wstyd, myślała. Obrzydliwość. Już lepiej być zwyczajnym całe życie, niż tak lekkomyślnie trwonić geniusz. Zachowanie Simona obrażało wszystkich, którzy dotąd darzyli go uwielbieniem, nie wykluczając Doreen.

Och, z jakim namaszczeniem traktowała kiedyś każdy krok, który zbliżał ich do siebie. Jak podskakując z radości, pędziła przez jego pustą szkołę, bo nie mogła się już opanować. Żeby go już zobaczyć, żeby on ją zobaczył; żeby go już przytulić, żeby przytulił ją sam Simon Vale – jeszcze niedawno tylko to się liczyło.

Tego wieczoru jednak nie podskakiwała ani nie pędziła. Gdyby miała buty odlane z ołowiu, raczej nie byłyby cięższe niż jej własne, kiedy tak powłóczyła nogami, idąc przez opuszczone korytarze Hamilton High z sercem ciężkim od upokorzenia.

Gdy dotarła do drzwi szatni, nikogo już nie było. Został tylko Simon, czysty i pachnący w swojej bluzie i džinsach, z twarzą zamyśloną i – czy to możliwe? – radosną.

– Doreen! – zawołał, przyciągając do siebie jej sztywne ciało. – Byłem okropny, prawda?

– Straszny – zgodziła się.

Nie mogła się zmusić, by spojrzeć mu w twarz. Ujął jej dłoń i chciał wyjść z szatni za rękę, ale mu się wyrwała.

– Złóścisz się na mnie? A, jeszcze nie rozumiesz. Nie szkodzi. Zaraz ci wszystko wytłumaczę, moja mała Dorie. Ale najpierw chodź tu do mnie. No, już nie rób takiej poważnej miny. Daj buziaka.

Ale Doreen nie pozwoliła mu się zbliżyć.

– Nie rozumiem? A co tu rozumieć? Przyniosłeś mi wstyd, Simonie. Moje koleżanki się nudziły. Ja się nudziłam. A kibice? Jesteś chory czy co? Masz gorączkę? Może tym razem trzeba było zostać na ławce rezerwowych. Nigdy w życiu nie widziałam czegoś tak upokarzającego.

– Chory? – Simon roześmiał się głośno, zamykając dłonią mijane szafki. – Doreen! Nigdy w życiu nie czułem się lepiej. Słuchaj...

Przystanął i chwycił ją za nadgarstki.

– Puszczaj, Simonie!

– Kochanie, czy ty naprawdę nie rozumiesz? Futbol... – Wykrzywił się, jakby to słowo go obrzydzało. – Futbol to było wszystko, co miałem. Był moją ucieczką przed tym żalonym życiem. Leaving Place, pamiętasz? Co to w ogóle za nazwa dla ulicy? – Zaśmiał się. – Ale odkąd mam ciebie, odkąd powiedziałaś mi, że mnie kochasz... Och, Dorie! Po co mi futbol? Po co mam biegać, skakać i rzucać? Na co mi to? Żeby zdobywać podziw ludzi? A na co mi oni? Najważniejsze, że podziwia mnie ktoś o wiele ważniejszy od nich! Doreen. –

Chwycił ją za ramiona. – Po co miałbym teraz uciekać przed życiem, skoro mam wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem?

Pochylił się, żeby ją pocałować, ale wykręciła się z jego uścisku.

– Nie! Nie dotykaj mnie!

– Kochanie, nie wściekaj się. Chodzi o twoje koleżanki? No. – Pokiwał głową. – Rozumiem, że mogło ci być głupio przed nimi. Ale przecież spotkam je na balu, nie? Wszystko im wtedy wytłumaczę. Doreen, kochanie, dlaczego na mnie nie patrzysz?

Doreen przylgnęła do ściany i skryła twarz w dłoniach.

– Zniszczyłeś wszystko – szepnęła z wyrzutem.

– Co mówisz, kochanie? Nie słyszę.

Simon położył swoją wielką łapę na ramieniu Doreen. Sam dotyk doprowadzał ją do szału. Wyrwała mu się i odepchnęła go.

– Zniszczyłeś wszystko! – wrzasnęła. – Zabiłeś moją miłość!

Mimo swoich gabarytów Simon poleciał do tyłu. Gdy wstał, mrugał chwilę, nie rozumiejąc, jakby mówiła do niego w jakimś obcym języku. W końcu się uśmiechnął.

– To niemożliwe – powiedział, najwyraźniej doszedłszy do jakiegoś miłego wniosku. – Nie. Wykluczone.

– Nie dociera do ciebie, ty kretynie? Kochałam cię, bo byłeś wyjątkowy. Bo było w tobie coś genialnego, coś wybitnego. Ale to, jak snułeś się dziś bez celu po boisku... Brrr! Nie mogę znieść myśli, że w ogóle pozwalałam ci się do siebie zbliżyć! Jesteś po prostu łamagą z publicznej szkoły! Zwykłym chłopakiem!

Te ostatnie słowa miały w sobie tyle pogardy, jej skrzeczący głos był pełen takiej nienawiści i takiego okrucieństwa, że Simon wyglądał, jakby dostał obuchem w głowę.

– Chyba nie chcesz powiedzieć...

– Nie chcę cię nigdy więcej widzieć! Robi mi się niedobrze na sam twój widok. Słyszysz mnie? Nie dzwoń. Nie przychodź. Wolałabym, żebyś umarł! Bo wtedy miałabym przynajmniej pewność, że już nigdy cię nie zobaczę!

Simon osunął się na ziemię. Ten potężny sportowiec trząśł się teraz, skulony jak dziecko.

– Nie, to nieprawda. To nie może być prawda – jęczał. – Kocham cię, Doreen. Potrzebuję cię. Proszę! Nie rozumiesz? Bez ciebie nie dam rady!

Podczołgał się do niej i chwycił ją za nogi, ale to nie wzbudziło w Doreen Gray żadnego współczucia. Miłość, która ogarniała ją jeszcze dziś rano, zniknęła bez śladu. Nie czuła już do niego nic, a jego histeria nie była w stanie skruszyć jej serca. Przepęłniało ją tylko jedno pragnienie – by być jak najdalej stąd.

– Nic mnie to nie obchodzi – syknęła i odepchnąwszy go nogą, wyszła raz na zawsze z Hamilton High School.

Zatrzasnęła za sobą drzwi, by nie słyszeć tego żalosego łkania. Z ulgą poczuła na twarzy zimne jesienne powietrze.

– Żegnaj, świecie Simona! – powiedziała, mocniej otuliła się pięknym płaszczem Biz i spieszonym krokiem wróciła do Chandlera.

Doreen czuła, że pozbyła się zbędnego balastu. Odzyskała animusz i dobry humor. Kampus był już oświetlony jak co wieczór i co jakiś czas mijała pary i grupki uczniów krążących między biblioteką, stołówką a internatami. Śmiali się tak, jak Doreen też już potrafiła się śmiać – z tą radosną pewnością, że przyszłość niesie ze sobą niezliczone możliwości.

I czyż nie tak właśnie było? Jeszcze dziś rano wszystkie jej myśli zaprzętał Simon, wszystkie swoje plany na przyszłość wiązała z nim. I jakim kosztem? Opuściła się w nauce i spędzała tyle czasu poza kampusem – fizycznie i mentalnie – że wcale nie integrowała się z popularnymi uczniami, czym rozczarowywała i Heidi, i siebie samą. Pozwoliła, by coś rozproszyło jej uwagę. Przestała doceniać tę wspaniałą szansę. Teraz jednak trzeba znów zabrać się do pracy. Musi maksymalnie wykorzystać te dwa krótkie lata w Chandlerze, zapracować na to wspaniałe życie, o którym tyle mówi Heidi – życie, które jej się słusznie należy.

W pokoju czekał na nią stos książek.

– Czas zacząć wkuwać – powiedziała sobie. Może i nie jest tak dobrą uczennicą jak Biz, ale na pewno jest dość bystra, by poprawić oceny i mieć szansę na dobry uniwersytet. – Tak – dodała. – Nic mnie już nie oderwie od pracy.

Choć przyjemnie chodziło się z głową w chmurach i wspominało pocałunki Simona, jeszcze lepiej było znów czuć się sobą. To trochę jak wrócić z magicznej podróży do tropikalnego rajku i odkryć, że w domu jest jeszcze cudowniej. W każdym razie Doreen wyobrażała sobie, że tak to musi wyglądać – nigdy nie wyjechała na zagraniczne wakacje.

Usiadła na łóżku i położyła dłoń na kołdrze, miękkiej, białej i wyszywanej. Miała ją od dziecka i teraz te supelki pod palcami przywracały jej poczucie realności, jakby wreszcie wiedziała, kim jest po tych wszystkich zmianach. I oto przeszła dziś kolejną przemianę. Naprawdę czuła, że nastąpił jakiś przełom. Konfrontacja z Simonem ją zmieniła. Gdy jednak spojrzała w lustro na szafie, zobaczyła tę samą dziewczynę o porcelanowej cerze i czarnych lokach, do której już się przyzwyczaiła.

– Tylko zerknę – powiedziała do swojego pluszowego słonia Mopeya, który spoglądał na nią z poduszki karcącym wzrokiem, gdy sięgała do szuflady nocnego stolika. – A potem od razu siadam do nauki, obiecuję.

Wcześniej, gdy dopiero uczyła się wykorzystywać zalety nowej twarzy i ciała, patrzyła na to zdjęcie niemal codziennie. Ale odkąd zobaczyła, jak Simon Vale gra na pozycji rozgrywającego w Hamilton High, zupełnie o nim zapomniała. Teraz z niecierpliwością sięgnęła do szuflady po kawałek papieru.

– Chodź, Mopey, zobaczmy, jak się prezentowała twoja mamusia, dobrze? – powiedziała i zaśmiała się upiornie.

W pierwszej chwili wydało jej się, że zdjęcie wygląda dokładnie tak, jak je zapamiętała. Jej ciało wylewało się z czerwonej sukienki. Minę miała potulną i speszoną. Jednak potem... dziwne, ale chyba dostrzegła jakąś różnicę, jakąś ledwie zauważalną zmianę. Wzięła zdjęcie, siadła przy biurku i zaczęła przyglądać mu się pod lampą.

Tak. To coś w oczach. Pojawił się w nich niepokojący blask, jakby czaiła się w niej jakaś podła siła. I usta. One też się zmieniły, choć tylko odrobinę. Kąciki opadły, zmieniając uśmiech w drwiący grymas. Co to mogło oznaczać? Doreen znów spojrzała na swoje odbicie. Potem z powrotem na zdjęcie. Jej własna twarz nie zmieniła się ani trochę, ale różnica na zdjęciu była ewidentna.

Coś zastukało w okno i Doreen wrzasnęła. Przyłożyła dłoń do serca, próbując uspokoić oddech.

– To tylko gałąź – powiedziała sobie. – Jest wiatr. Nie panikuj, dziewczyno.

Ale stukanie się powtórzyło. Słyszała też swoje imię, jakby ktoś wołał ją przez małą szparę w oknie.

– Doreen – szepnął głos. – Doreen Gray. Podejdź do okna.

Czy powinna pobiec po pomoc? Może zadzwonić po ochronę kampusu? Ale co by im powiedziała? Że drzewa wołają ją po imieniu?

– Doreen? – powtórzył coraz bardziej zniecierpliwiony głos.

Zamknęła oczy i wzięła kilka głębokich wdechów. Poczowała, że jej serce nieco się uspokaja. Znów rozległo się pukanie.

– Doree – powiedział głos. – No chodź! Chcesz, żebym całkiem odmroził sobie tyłek?

Podbiegła do okna i w ciemnościach pod drzewem wypatrzyła Gordona Lichtera. Szukał czegoś w trawie, pewnie kolejnego kamyczka, żeby rzucić nim w szybę. Otworzyła okno i wystawiła głowę.

– Gordon! – syknęła tak karcąco, jak tylko się dało. – Co ty tu robisz?

– Doreen! Jesteś wreszcie! Zejdź do mnie, dobrze? Musimy pogadać.

– Nie mogę, Gordonie. Już zamknęli internat. Chcesz, żeby wyrzucili mnie ze szkoły? A swoją drogą nie powinieneś przypadkiem być już w swoim pokoju?

– Przecież jestem w ostatniej klasie. My musimy być w internacie dopiero o dziesiątej. – Rozejrzał się. – Dobra. W takim razie ja do ciebie przyjdę. – Wytarł dłonie o spodnie. – Chrzanić to. Tyle lat gimnastyki musi wreszcie na coś się przydać, co nie?

Skoczył, chwycił się rynny, a potem niczym po drabinie wspiał się po kracie na pierwsze piętro.

Doreen szybko schowała zdjęcie do górnej szuflady biurka i przykryła je zeszytem. Przyszedł zaprosić ją na bal. Unikała go wiele dni, ale teraz, gdy tu przylazł, co miała powiedzieć? Co miała zrobić? Musi odrzucić zaproszenie. To jedyne słuszne wyjście, prawda? Ani trochę jej się nie podobał, a ledwie godzinę

temu zerwała z Simonem.

Gordon wskoczył przez okno nogami do przodu i lekko wylądował. Wprawdzie nie był to Simon Vale, pomyślała, ale na pewno był zwinny.

– I co? – spytał, kłaniając się. – Jak ci się teraz podobam? Założę się, że nie znasz wielu facetów, którzy byliby gotowi wspiąć się po rynnie tylko po to, żeby z tobą pogadać, co?

– Nie. Rzeczywiście nie znam. Nie ruszaj się. – Doreen ze śmiechem wyjęła mu liść z włosów. – Jak ty wyglądasz?!

– Dzięki – szepnął, nadstawiając głowę i zamykając oczy, gdy próbowała otrzepać mu z liści włosy i ubranie.

Był niewiele wyższy od niej. Włosy miał wspaniałe, lśniące, tak jasne, że prawie białe – jak pięknie musiały wyglądać rozwiewane wiatrem, gdy stojąc na dziobie swojego jachtu, płynął po oceanie.

– Już. Chyba wszystkie.

Gordon uniósł powieki i spojrzał jej prosto w oczy. Ujrzała w nich ból i ten rodzaj głodu typowy dla mężczyzn.

Wyciągnął dłoń i chwycił jeden z jej loków.

– To niesprawiedliwe. Czy ja nie mogę cię teraz dotknąć?

Doreen się cofnęła.

– Jeśli kiedykolwiek będę miała coś we włosach, to jasne.

Podeszła do śmietnika przy biurku i wrzuciła do niego liście.

– Nie masz litości! Jak możesz być tak okrutna! – krzyknął Gordon i zakrył twarz dłońmi.

Gdy zobaczyła, jak ten zarozumiały Gordon Lichter chlipie jak dziecko, przemknęło jej przez myśl, że może ma rację. Czy to możliwe, że jest okrutna? Po całym tym okrucieństwie, jakiego sama zaznała w życiu? To sugerowałaby zmiana na zdjęciu. Ale co za bzdura! Musiało jej się przywidzieć. Oczywiście! To jakieś złudzenie, któremu uległa. Może z powodu podświadomych wyrzutów sumienia po rozstaniu z Simonem. Jest przecież miłą dziewczyną. Nie jej wina, że Simon chciał od niej czegoś, czego nie mogła mu dać. Gdyby została z nim, choć już go nie kocha – przecież to dopiero byłoby nie w porządku.

– Ja? Ja jestem okrutna? – spytała. – A ty?

– Ja? – zdziwił się Gordon. – Przecież zawsze byłem dla ciebie miły. Przecież cię ubóstwiam, Doreen. Zrobiłbym dla ciebie wszystko, i dobrze o tym wiesz!

– A co z Samantha Brooks? Przecież widzę, jak za tobą chodzi. A ty nie raczysz nawet powiedzieć jej „cześć”. Biedactwo, chciałyby tylko, żebyś zauważył, że w ogóle istnieje.

Już jakiś czas temu zwróciła uwagę na puszystą, niekochaną Samantha Brooks, która snuła się za Gordonem jak cień. Nie zamieniła z nią dotąd słowa, ale

zrobi to. Jutro! Od jutra będzie dobrym człowiekiem!

– Ale ona... Ja nie... – Gordon westchnął z rezygnacją. – Masz rację. Masz rację. – Usiadł na brzegu jej łóżka i się uśmiechnął. – To, co wycierpiałem przez ciebie, Doreen... Pewnie rzeczywiście wraca do mnie zła karma. Nieważne. Nieważne, jak bardzo mnie ranisz. A ranisz mnie, Doreen. Ale zniosę wszystko. Chcesz mnie łąać za inne dziewczyny? Proszę bardzo, karz mnie za nie od rana do nocy. Doreen Gray, ty wiesz, że cię kocham, prawda?

– Przestań, Gordonie – powiedziała, choć to wyznanie sprawiło jej wielką przyjemność.

– Nie, nie przestanę. Słuchaj, Doreen. Kupiłem ci coś. Siądź tu przy mnie, dobrze? Przecież nie gryzę. Proszę! Po tym wszystkim, co zrobiłem, żeby się tu do ciebie dostać...

Doreen usiadła na łóżku przy Gordonie. Sama się zdziwiła, jak zupełnie obojętna była dla niej jego bliskość. Przy Simonie całym ciałem czuła każdy centymetr znikający między nimi.

– Doreen? Czy ty mnie słuchasz?

– Tak, oczywiście, Gordonie. O co chodzi?

– O to. – Z kieszeni spodni wyjął czarne aksamitne pudełeczko. – Otwórz.

Doreen wzięła pudełeczko. Okazało się przyjemnie ciężkie. Cokolwiek zawierało (naszyjnik? kolczyki?), z pewnością było bardziej eleganckie niż wszystko, co miała w domu. Gordon był taki bogaty. I popularny. I wyraźnie bardzo mu zależało na Doreen. Może i jej uczucia do niego nie nadawały się specjalnie na temat piosenki rockowej, ale czy to aż takie ważne? Na pewno kupiłby jej sukienkę. I zapłacił za pokój w hotelu.

– Och! Och, Gordonie – wyszeptała, gdy ujrzała pierścionek z różowego złota z jedną, zupełnie idealną perłą umieszczoną pomiędzy dwoma małymi diamentami. – Jest taki piękny.

– Wiedziałem, że ci się spodoba. Słuchaj, Doreen, może jednak poszłabyś ze mną na ten bal?

– Mmm? – mruknęła Doreen.

Wpatrywała się w pierścionek jak zahipnotyzowana. Gdy patrzyła na to cudeńko na swojej dłoni, czuła, jak ogarnia ją spokój.

– Ziemia do Doreen! – powiedział Gordon ze śmiechem. Chwycił jej ozdobioną pierścionkiem dłoń i obrócił jej brodę tak, żeby na niego spojrzała. – Na bal, Doreen. Chciałbym, żebyś na bal poszła ze mną. Słuchaj, wystroimy cię pięknie. W co tylko zechcesz. I pójdiesz... pójdziemy razem. Co ty na to? Ty i ja, Dorie. Proszę. Byłbym przy tobie taki szczęśliwy.

Gordon spojrzał na nią żałośnie, błagalnie. Biedak naprawdę nie był przyzwyczajony do traktowania, jakie zafundowała mu przez te ostatnie miesiące. Póki jej nie spotkał, życie było dla niego ciągiem otwartych drzwi i zielonych

świateł, a teraz jej życie też takie będzie.

Wysunęła dłoń z jego uścisku i odgarnęła mu z oczu niesforny kosmyk.

– Oczywiście, Gordonie. Z wielką przyjemnością pójdę z tobą na jesienny bal.

– Och, Doreen! – Gordon pochylił się, żeby ją pocałować, a ona mu na to pozwoliła.

„Jemu też należy się coś od życia”, pomyślała, kiedy wpijał się w jej usta z taką zachłannością, jakby zawierały jakiś niezbędny składnik odżywczy, którego od dawna mu brakowało.

– Kocham cię! O Boże, jak ja cię kocham!

Wcale nie było trudno. Skoncentrować się na tym, co ważne: na pracy, na wizji, na urzeczywistnieniu idei. Młodość miała dla Biz tylko tę wartość, że dawała jej czas i energię. Nie była taka jak jej matka – piękna, młoda tancerka, która dała się wciągnąć w wir towarzyskich obowiązków. Dla Biz istniał tylko jeden obowiązek – doskonalenia się w sztuce. Rodzina, nieliczni przyjaciele, nawet własne serce, wszystko to schodziło na dalszy plan. Najistotniejszy był codzienny trud poznawania tajników języka fotografii.

W ten sposób żyła w swoim zamkniętym świecie, bezpiecznie skryta przed bezmyślnymi nastoletnimi dramataми, które rozgrywały się wokół niej. Umiała o sobie zadbać i gdy praca szła dobrze, nic nie mogło jej zranić. Tylko że ostatnio praca nie szła dobrze. Jej zdjęcia, jej latający dywan, który zwyk-le pozwalał unosić się ponad banałami codziennego dnia, straciły swoją magię. W ten piątkowy wieczór pod koniec października siedziała samotnie w piwnicy Centrum Sztuki Carvera, gdzie mieściła się pracownia fotograficzna, i rozpaczliwie przeglądała zdjęcie za zdjęciem, ale żadna z jej ostatnich foto-grafii nie zwałała z nóg. Z twarzą niemal przylepioną do monitora maca klikała i klikała, i klikała, ale nic nie dawało jej dawnego poczucia, że potrafi stworzyć coś sensownego w tym bezsensownym świecie.

Wyłączyła monitor i odchyliła się w fotelu. W studiu piętro wyżej Gryphtersi ćwiczili *a capella* jakąś popową balladę. Zwykle Biz była zbyt pochłonięta pracą, by w ogóle cokolwiek słyszeć – raz nawet przegapiła alarm przeciwpożarowy. Ale teraz jej zdjęcia ją zawiodły, a ona zawiodła je. Już nic jej nie chroniło. Ani przed przesłodzoną muzyką, ani przed wyjącmi rurami, ani przed smutkiem, samotnością, wspomnieniami i nadzieją.

Zacisnęła powieki. Jej umysł także grał, i to głośno. Grał wspomnienia z dzieciństwa. Byli w domu w Connecticut, przygotowywali się do letniego wyjazdu nad morze. Biz stała w pokoju zabaw nad małą różowo-żółtą walizeczką i w zamyśleniu patrzyła na regał z książkami. Maria obiecała jej pomóc wybrać lektury na lato. Będą tam tak długo, ponad miesiąc, Biz musi się więc poważnie zastanowić, co chce czytać, i to nie tylko teraz, ale i później. Próbowała wyobrazić sobie tę Biz z przyszłości. Czego będzie pragnęła o miesiąc starsza Biz? Jak tu mieć pewność, że dzisiejsza Biz jej nie zawiedzie? Pakowała książkę za książką do walizki, ale potem wszystkie je wyciągnęła. Nie mogła się zdecydować.

Potrzebowała Marii. Maria zawsze wiedziała, które książki należy zabrać. Przejrzą je wspólnie, książka po książce, i razem się spakują. Tylko Maria umiała powiedzieć coś, żeby zniknęło to okropne uczucie, że jest się o krok od podjęcia złej decyzji. Ale Maria nie przychodziła. Biz czekała i czekała. W końcu zeszała na dół po kuchennych schodach, tych obitych niebieską wykładziną. W kuchni zastała

matkę i jej asystenta Fredericka. Matka miała w ręku notatnik oprawiony w czerwoną skórę i okulary do czytania na nosie. Frederick z przejęciem zapisywał każde jej słowo i kiwał głową.

– ... i upewnij się, że mój mąż zdąży w sobotę na poranny pociąg. Będzie chciał jechać autem, ale proszę, spróbuj mu to wybić z głowy. W Amagansett mamy mnóstwo samochodów, a naprawdę nie mam ochoty, by pojawił się od razu w złym humorze po całym dniu w korkach... A, jesteś, Elizabeth. Gotowa wreszcie? Addison czeka w samochodzie. Idź, proszę, do niego, a ja zaraz do was dołączę.

– Ale gdzie jest Maria? Powiedziała, że pomoże mi się pakować.

– Maria? A, obawiam się, że nie przyjdzie, kochanie. Sprawy rodzinne. Jej syn...

– Córka – poprawił ją Frederick.

– Jesteś pewien? Byłam przekonana, że ma syna. No cóż, bez różnicy. Jej dziecko, moja droga, miało jakieś... hm... problemy zdrowotne. Musiała jechać. Zresztą i tak jesteś już zbyt duża na nianię, nie sądzisz? – Machnęła ręką i wróciła do swojego notatnika.

– Ale obiecała... – wybąkała Biz, usiłując pojąć sens słów matki.

Maria ma córkę? Ile ona ma lat? Gdzie mieszka? Przecież Maria mieszkała w ich domu. Miała pokój na górze, w którym trzymała swoje rzeczy takie jak Biblia i krem, pachnący jak brzoskwiniowe lody. Nigdy nawet nie wspomniała o córce. Powiedziała Biz, że urodziła się w Hondurasie, że była najmłodsza z siedmiorga dzieci, że jedna z jej sióstr umarła. Czy córka Marii też umrze? Oczywiście Biz wypełniły się łzami.

– Obiecała, że pomoże mi się spakować. – Jej głos zabrzmiał płaczliwie.

– Kochanie – powiedziała Mamcia, przesuwając okulary na czubek głowy – nie musisz się pakować. Frederick na pewno wziął wszystko, czego możesz potrzebować. Dobrze? Wszystko już jest w walizce, która czeka na nas w samochodzie.

– Ale moje książki. Maria miała mi pomóc spakować książki.

– Elizabeth!

Biz czuła, że matce kończy się cierpliwość, co zresztą zdarzało się dość często. Dlatego właśnie lepiej w ogóle nie zawracać jej głowy. Lepiej ze wszystkimi problemami zgłaszać się do Marii. Ale Marii już nie było. Miała umierającą córkę i musiała odejść.

– Wybierz parę książek i jedźmy już, dobrze? W Hamptons też są księgarnie. A nawet biblioteka. Jeśli czegoś zapomnisz, to ci to kupimy. Poza tym zawsze możemy powiedzieć tatusiowi, żeby to przywiózł w weekend. Co ty na to? Wybieramy się na Long Island, a nie na wojnę, kochanie. Nie musimy pakować prowiantu.

Frederick zachichotał. Mamcia przykucnęła przed Biz i ujęła jej dłonie w swoje.

– Przykro mi z powodu Marii. Wiem, że ją lubiłaś.

– Nawet się nie pożegnała.

– Nie bądź samolubna, Elizabeth. Nie możesz przecież żądać, by przedkładała cię nad własną córkę, prawda? To by było nie w porządku. Maria nie jest twoją matką. Ja jestem twoją matką. A ja nigdzie się stąd nie ruszam, chyba że do sanatorium, kiedy już całkiem przez was zwariuję. A teraz biegnij na górę spakować książki. Za dziesięć minut masz być w samochodzie, rozumiano?

Gryphtersi przeszli do jakiejś bardziej tanecznej piosenki. Przez otwory wentylacyjne w podłodze Biz słyszała, jak sekcja rytmiczna imituje dźwięki perkusji, a biała dziewczyna sili się na melizmat. Odkąd pojawiła się Doreen, Biz zaczęły nawiedzać takie bezsensowne wspomnienia, rzeczy, o których nie myślała od lat.

Tamto zdjęcie kuzynki w czerwonej sukience było ostatnim dziełem, które napawało Biz dumą. Tymczasem nawet nie mogła sobie na nie popatrzeć dla pocieszenia. Zgodnie z obietnicą zniszczyła wszystkie jego cyfrowe wersje. Wielka szkoda. Gdy tylko o tym myślała, wracało to okropne uczucie. Żalu, straty, rozstania bez pożegnania – to samo, które pojawiło się wtedy, gdy odeszła Maria. Czy to właśnie tamtego lata Doreen przyjechała do nich na plażę? W każdym razie na pewno tego lata matka oświadczyła ojcu, że Elizabeth spędza za dużo czasu, włócząc się smętnie po domu.

Dlatego ojciec przywiózł jej aparat.

– Wyjdź z domu – powiedział – popstrykaj trochę. Zobaczymy, co ci się uda znaleźć, mała Bizzy.

Na suficie pracowni zamrugały lampy fluorescencyjne. Biz aż podskoczyła.

– Oślepniesz od tego, wiesz o tym? – powiedział Seth Greenbaum.

Był filmowcem. I jak na filmowca przystało, miał zarost, nosił okulary i czarne dzinsy. Też przesiadywał długie godziny w pracowni, tu montował. Kręcił krótkie filmy o życiu kampusu, takie jak *Powierzchność przestępcy* i *Co ludzie mówią o Hester*.

– Chwileczkę, nawet nie masz włączonego monitora. Co ty tu robisz, Biz Gibs? Myślisz?

– Coś w tym stylu.

Seth działał jej czasem na nerwy, gdy była pogrążona w pracy, ale teraz ucieszyła się na jego widok. Straciła swoją pasję i nagle zapragnęła czyjś towarzystwa. Jak dziwnie było potrzebować ludzi.

– Nad czym teraz pracujesz? – spytała. – Nowe genialne dzieło?

– A, no, to będzie naprawdę niesamowite. To historia miłosna młodego chłopaka i jego nauczycielki. Łączy ich szalone seksualne pożądanie, ale ona jest

osobą z zasadami i kocha swoją pracę. Więc on musi ją uwieść. Zatytułowałem ten film *Kolejny poranek końca*. Kręcimy w czasie przerwy jesiennej. Może będziesz wtedy na kampusie? Kurczę, ale by było super, gdybyś została moim operatorem. Sam będę grał, rozumiesz, więc najlepiej by było, gdybym miał kogoś z dobrym okiem.

– Operatorem czego?

– No, kamery. Znaczy, żebyś kręciła. Ja ci mówię, co masz kręcić, a ty tylko wciskasz przycisk. Coś w tym stylu. Zupełnie jakbyś robiła zdjęcia, tylko wiesz, filmujesz. – Seth włączył komputer naprzeciwko Biz. – No bo muszę też grać, więc wolałbym mieć kogoś, komu mogę ufać, rozumiesz? Wiem, że jesteś raczej samotnym wilkiem, ale może dobrze by ci zrobiła taka artystyczna współpraca. Tak dla odmiany.

– Sama nie wiem.

Urzeczywistnianie czyjejs wizji zamiast męczenia się nad własną wydało jej się pociągającą perspektywą, ale co mogła zaoferować Sethowi? Wszystko, co robiła, wydawało się jej teraz zupełnie bezwartościowe.

– Pomyśl o tym. Super by było mieć cię w zespole – nalegał z uśmiechem.

– Seth! O Boże! Tu jesteś.

Do pracowni wpadła Miyuki Moto i zupełnie ignorując Biz, ruszyła prosto na Seta. Przerzuciła obutą w kozaka na obcasie nogę przez jego kolana i siadła na nim bezceremonialnie. Zamachała fioletową grzywą i pocałowała go długo, głęboko, wręcz pornograficznie. Kiedy wreszcie się od niego odkleiła, chłopak z trudem łapał oddech.

– Czekałam na ciebie – powiedziała głosem obrażonej dziewczynki. – Nie lubię czekać. Nawet na geniuszy.

Jej palce tańczyły na jego torsie.

– Przepraszam, Miyuki. Mówiłem ci, że muszę jeszcze popracować nad scenariuszem. Coś mi nie pasuje w drugim akcie i...

– Se-eth – powiedziała tylko.

Pochyliła się, żeby szepnąć mu coś do ucha. Jej palce zsunęły się niżej.

Biz odwróciła wzrok.

– Dobrze, dobrze. Daj mi minutkę.

Ale Miyuki zeskoczyła mu z kolan, wybiegła z pokoju i zniknęła w korytarzu.

– Miyuki! Miyuki, nie wściekaj się! Cholera. Dobra. Niech to diabli. Okej. Wyłączysz mój komputer, Biz? Wiesz, to moja gwiazda. Poza tym jest taka seksowna. Ale to wszystko dla filmu i w ogóle. No wiesz, wszystko to robię dla dobra filmu. – I Seth wypadł z sali za Miyuki, krzycząc tylko na pożegnanie: – Przemyśl moją propozycję, Biz Gibs.

Biz wyłączyła swój komputer, a potem również komputer Seta. Zgasła

światło. Gryphtersi także już skończyli. Nic się nie działo, więc uznała, że też sobie odpuści. Ponieważ właściwie nie miała dokąd pójść, ruszyła okrężną drogą do internatu.

Czuła się zażenowana zachowaniem Setha, a jednocześnie wściekła w jego imieniu. Miyuki w ogóle na nim nie zależało. To było zupełnie oczywiste. Wykorzystywała go, żeby zagrać w jego filmie. Biz nie potrafiła pojąć, dlaczego miałoby to być aż takie ważne. Ale męczyło ją to, że Seth potrafił rzucić robotę z powodu kaprysu ładnej dziewczyny.

Choć właściwie i ona by to zrobiła. Z wielką chęcią. Dla tej właściwej osoby rzuciłaby wszystko. Była tego pewna, choć zdecydowanie łatwiej myślało się o tym teraz, gdy nie było czego rzucać. Biz zaczęła się poważnie zastanawiać, czy nie warto poświęcić jesiennych ferii na kręcenie Setha i Miyuki. Mieliby coś, swój film, ale także coś więcej, swój sekret, seks, intymność. A Biz skryłaby się za kamerą, byłaby świadkiem cudzych przeżyć. Co by z tego miała? Dokument. Tyle że cudzego życia. A jej życie? Kiedy nadejdzie jej czas?

Może już przyszła pora, by wyjść z aparatu i zacząć żyć własnym życiem. Czy nie to jej zawsze radzono? Tak bezpiecznie się tam czuła, skryta za obiektywem w roli niemego świadka. Ale już nie chciała stać obok. Chciała coś poczuć. Żyć.

Taka Doreen na przykład. Pojawiła się w szkole jako skrzywdzona ofiara. Ale się zakochała. Nie przejmując się żadnymi bzdurami o społecznej hierarchii, którymi tak się zamartwiała Heidi, wyszła do świata żywych i odnalazła tam kogoś, kto był dla niej ważny.

„Tak – postanowiła Biz – chcę żyć. Pytanie tylko: jak?”

*

Gdy Biz wróciła do pokoju, zastała w nim Doreen. Kuzynka siedziała sobie wygodnie na kanapie i czytała magazyn.

– Co tam u ciebie? – spytała. – Cała jesteś zarumieniona. Wracasz z randki z muzą?

– Nie przyszła – mruknęła Biz z uśmiechem. – Głupia krowa.

Nie zaskoczył jej widok kuzynki rozgoszczonej u nich w pokoju. Doreen miała swoje klucze i często wpadała, gdy ich nie było. Biz nawet się to podobało. Choć wiedziała, że Doreen zależy na towarzystwie Heidi, a nie jej, i tak miło było ją tu zobaczyć. Dzięki temu czuła się, jakby była częścią plemienia – być może po raz pierwszy w życiu.

– O, tak mi przykro, Bizzy. – Doreen spojrzała na nią współczująco. – Wciąż ta niemoc twórcza? To musi być okropne. Wiem, jakie to dla ciebie ważne.

Biz poczuła, że ogarnia ją spokój. Doreen miała taką moc jak kiedyś Maria. Potrafiła ją uspokoić i natchnąć nadzieją.

– Sama nie wiem. Mam wrażenie, że coś się zmienia. W mojej pracy. Nie wiem, jak ci to wytłumaczyć. – Usiadła przy biurku, a kolaż zdjęć zawirował jej przed oczami. – Może to wszystko prowadzi do czegoś. Może nawet do czegoś wielkiego, ale trochę przerażającego.

– Jesteś tym bardzo przejęta. – Doreen przechyliła głowę i przyjrzała się uważnie Biz. – Tak, widzę to. Widzę tę zmianę.

– Serio?

Biz spojrzała w duże lustro na drzwiach sypialni.

– Przecież nie zobaczysz tego w lustrze, głuptasie. – Doreen odłożyła magazyn na stolik i podeszła do kuzynki. Położyła ręce na jej ramionach i zaczęła łagodnie kołysać jej ciałem. – W tym roku stanie się z tobą coś niesamowitego, Elizabeth.

– Naprawdę tak myślisz? Niby co?

– Kto to wie? – Doreen wróciła na kanapę i pstryknęła palcami. – Może się zakochasz!

– Jak ty i Simon.

Doreen wzięła do ręki magazyn.

– Simon Vale? A, obawiam się, że to już przeszłość. Było, minęło.

– Ale byłam pewna, że...

– Po tym żalonym meczu? – Doreen aż się wzdrygnęła. – Nie mogłabym. Naprawdę. Nie mogłam na niego patrzeć. Z pewnością mnie rozumiesz, Biz. Jesteś przecież estetką, prawda? Był taki niezdarny. Brr! Nie. Postanowiłam, że na bal pójde z Gordonem. Wiem, że szybko się to wszystko potoczyło, i nawet zastanawiałam się, czy mu nie odmówić, ale tak strasznie się ucieszył. Zresztą to tylko bal. Nie zaręczyłam się z nim przecież.

Doreen wyciągnęła dłoń i utkwiała wzrok w perłowym pierścionku.

– Nowy?

– Hm? – Opuściła rękę. – Dlatego tu jestem. Wybieramy się z Heidi na Manhattan. Muszę sobie kupić sukienkę. Może do nas dołączysz? Wiem, że nie przepadasz za zakupami, ale skoro wkraczasz w nową fazę życia i w ogóle...

– Yyy... sama nie wiem.

Czy to właśnie takim rzeczom powinna się poświęcić Biz, żeby poczuć, że żyje? Ale to wszystko jakoś ją odrzucało. Jak Doreen mogła tak po prostu rzucić Simona? I po co? Żeby dostać sukienkę i pierścionek. Nie tego Biz chciała od życia.

I jeszcze to: *Wybieramy się z Heidi na Manhattan. Muszę sobie kupić sukienkę.* Dokładnie tak by powiedziała Mamcia.

– Chyba jednak zostanę – mruknęła Biz. – Może muza się pojawi. Następnym razem z wami pojedę.

– Jak tam chcesz.

Doreen znów zagłębiła się w lekturze magazynu.

Valentino. Dior. Versace. Armani. McQueen. W przymierzalniach najlepszych domów towarowych Nowego Jorku wszystkie te marki kusily Doreen niczym dojrzałe owoce, które można zależnie od kaprysu zrywać lub odrzucać bez zastanowienia. Troskliwi sprzedawcy krzatali się wokół niej, nadskakiwali, podawali towary i radzili. Choć jedynym biletem Doreen do tych jedwabiów i cekinów, do tej służalczosci pracowników sklepów były pieniądze Gordona, nie uszło uwagi Heidi, że dziewczyna zadziwiająco szybko przyzwyczaila się do uwielbienia. Gdzie się podziała ta zastraszona niezdara, która do niedawna nie miała pojęcia, jak smakują kaczką i dobre wino? Doreen marszczyła brwi i wydawała rozkazy, jakby od dziecka nie robiła nic innego.

W Saksie – a był to już ich trzeci dom towarowy – wyłoniła się z przymierzalni w nowej sukience. Ostrożnie weszła na podwyższenie i z wdziękiem okręciła się przed trzyskrzydłowym lustrem, chłonać ochy i achy patrzących. Karta Gordona działała mniej więcej tak jak pożyczona podróba torby Chloé – dodawała jej blasku. „Tak – myślała Heidi z dumą. – Idealnie odnajduje się w tej roli”.

Suknia była lawendowa, koronkowe smugi ciasno, wręcz zaborczo, owijały jej piersi, talię i biodra. Doreen obracała się i przyglądała sobie z każdej strony. Kolor materiału podkreślał fiolet jej oczu. Wyglądała zjawiskowo.

– I co? – spytała z kokieterijnym wyrazem twarzy.

– Pasuje idealnie – zapewniła ją pospiesznie sprzedawczyni. – A kolor...

– Nie mówiłam do pani – syknęła Doreen. – Heidi? Podoba ci się? Myślisz, że Gordonowi się spodoba?

Ręce oparła na biodrach, stała tyłem do lustra. Diamenciki w jej nowym pierścionku pięknie zaśniły. Heidi pogratulowała sobie w duchu idealnego wyboru.

– Doreen, przecież ten dzieciak zupełnie straci dla ciebie głowę.

– Wezmę ją – powiedziała Doreen do sprzedawczyni, nie odrywając oczu od swojego cudnego odbicia. – Tylko bardzo proszę starannie ją zapakować. Mamy przed sobą daleką -podróż.

Tym razem dziewczyny nie musiały oczywiście wracać autobusem. Miały jeszcze sporo do załatwienia: manicure, depilacja, jakaś gustownie skąpa bielizna. Wszędzie woził je szofer Gordona. Wyjechali z korka na West Side Highway i skręcili w Saw Mill. Samochód przedzierał się środkiem Yonkers, by zaraz pomknąć w kierunku Connecticut.

Gdy Doreen relacjonowała Gordonowi przez telefon ich babski wypad, Heidi spoglądała przez ciemne okna na ulice swojego dzieciństwa. Wiedziała, że za jakieś dziesięć minut będą mijać dom jej rodziców. Mogłyby na chwilę się

zatrzymać i zobaczyć z matką. Poczęstowałyby je musem z wątróbek i crudités, upajając się własnym wyrafinowaniem. Być może nawet zagrałyby im coś na starym pianinie. Potem ojciec wróciłby do domu, śmierzdzący śmieciami, ale przejęty tym, że wreszcie może poznać jakąś koleżankę Heidi. Co by pomyślała o nich Doreen? Czy byłaby nimi oczarowana? Zażenowana? Heidi wiedziała aż za dobrze, co o jej rodzicach pomyślałby ojciec Doreen. Roland byłby po prostu zde gustowany. Nie widziałby w nich nic poza brudem i przeciętnością.

Ale Doreen to nie Roland. Sama była znikąd. Może śmiałyby się z dykteryjek ojca Heidi. Może rozczuliłby ją śpiew jej matki. Może dzięki temu Heidi mogłaby spojrzeć na nich inaczej, wreszcie bez pogardy. Może byłaby znów wolna. Może znów mogłaby ich kochać. Gdyby tylko umiała dojrzeć w ich brzydocie całe to piękno, którego nawet nie próbował dostrzec Roland Gibbons. Bo sama jakoś nie potrafiła tego zrobić. Nie potrafiła zapomnieć.

Jakiś tydzień po tym, jak wyrzucono ją z Montauk Inn, gdy siedziała w nocy przed telewizorem rodziców i skakała po kanałach, trafiła na *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. W pierwszej chwili chciała przełączyć na inny kanał. Odkąd wróciła do Yonkers, wszystko, co kiedyś kochała, wydawało jej się okropne. Tubalny śmiech ojca, niepojęty upór matki, by zachowywać się bardziej oficjalnie, niż właściwie trzeba, ignorancja pyzatej siostry. Dom był brzydki! Cała ulica była brzydka! Wszystkie koleżanki i koledzy – sami idioci i bufony. Nawet ta miła bibliotekarka, którą znała od dziecka, ta, która zawsze odkładała dla niej książki, teraz wydawała jej się bezguściem o ograniczonych horyzontach. Heidi wszystko widziała oczami Rolanda i wszystko wydawało jej się takie żałosne. To było chyba najokrutniejsze ze wszystkich rzeczy, jakie jej zrobił – sprawił, że zobaczyła, jak marne i bezsensowne jest jej życie.

Chciała ocalić choć Dorotkę, Stracha na Wróble i Złą Czarownicę. Czuła, że nie znieśie jeszcze jednej ofiary złożonej na ołtarzu dobrego gustu. Ale w telewizji nie było nic innego, więc oglądała dalej. Mimo późnej pory obejrzała film do końca i z radością odkryła, że wciąż jest nim zachwycona. Dorotka miała takie szczęście! Udało jej się uciec z nudnego, starego Kansas i przejść na drugą stronę tęczy. Heidi podobały się wszystkie sceny w Oz, Dobra Czarownica, Manczkinowie, przemiana. Ale potem na samym końcu, gdy Dorotka stuknęła obcasami trzy razy i obudziła się w Kansas, Heidi po raz pierwszy zrozumiała, że tak naprawdę zrobiono biedną Dorotkę w konia. Oczywiście odegrała dobrą siostrzenicę, przeschęśliwą z powodu powrotu do Kansas, cioci Em i przyjaciół. Ale przecież w głębi duszy nie mogła się z tego cieszyć. Jej oczy przyzwyczyły się do świata barwniejszego niż jakikolwiek inny, więc jak miałyby z radością wracać teraz do starej czarno-białej nudy? Jak mogłaby znów być szczęśliwa? Heidi też znalazła się raz po drugiej stronie tęczy. A Kansas? Było do bani.

Nie potrafiła już być szczęśliwa. Jedyne, co mogła zrobić, to odnaleźć drogę

powrotną do własnego Oz, tego luksusowego, rozpustnego świata w technicolorze, który mogła widzieć tylko przez chwilę. Na starej kanapie, którą jej matka własnoręcznie obiała ohydny łośosiovym płótnem, Heidi postanowiła sobie, że zrobi wszystko, co w jej mocy, by znów przeskoczyć na drugą stronę tęczy. Jeśli będzie musiała w tym celu rozpętać małe tornado – trudno.

Tak też zrobiła. Nie przebijając w środkach, znalazła sposób, żeby dostać się do Chandlera, do elitarnego świata bogatych i uprzywilejowanych. Oto po mieście obwoził ją właśnie szofer jednej z najbogatszych rodzin w całej Ameryce. Postarała się też, by Roland zapłacił jej za to wszystko. Choć nie zapłacił jeszcze dość. Nie w tej walucie, co trzeba. Pieniądzy miał bowiem pod dostatkiem. A ona chciała, żeby stracił coś droższego niż pieniądze, coś bezcennego.

– Jesteś taka nieobecna. O czym myślisz? – spytała Doreen, gdy tylko rozłączyła się z Gordonem.

– Hm? – Heidi milczała od kilku dobrych kilometrów. Yonkers było już daleko za nimi. – O niczym. A właściwie to o twoim ojcu.

– O moim ojcu? A co on ma niby do rzeczy?

– Nic. Wszystko. – Kątem oka czujnie obserwowała reakcję przyjaciółki. Będzie musiała bardzo ostrożnie ją podejść. – Tak sobie myślałam, że może cały ten romans z Simonem Vale'em był z twojej strony rodzajem zemsty.

– Na tacie? No coś ty. To nie ma sensu – mruknęła Doreen, pisząc coś na telefonie.

– Czyżby? – Heidi odwróciła się, by na nią spojrzeć. – Sama to przecież powiedziałaś, kiedy jarałyśmy w szopie. Jak z przyjemnością myślisz o tym, że przy Simonie twój ojciec wyglądałby na wykastrowanego.

– Na pewno nie użyłam słowa „wykastrowany”. Zresztą byłam wtedy na haju. Czy tobie podoba się ten kolor paznokci?

– Okej. Więc może „na zniewieściałego”. Męskość Simona pociągała cię, dlatego że stanowiła antytezę twojego ojca.

– Możesz sobie odpuścić tę zabawę w psychologa? Już raz podobno zdiagnozowałaś u Biz autyzm.

– Łagodną formę zespołu Aspergera. I nadal uważam, że coś jest na rzeczy, ale słuchaj, jeśli chodzi o twojego ojca...

– Nie chcę o nim myśleć, rozumiesz? Świetnie się bawimy. Wolę po prostu cieszyć się tym dniem. – Doreen niecierpliwym ruchem wrzuciła telefon do torebki. – Nawet go nie znasz. Ja zresztą też nie. To tylko facet, który wypisuje czeki na czesne. I tyle. Możemy zamknąć temat?

– Jasne. Nie chciałam cię zdenerwować.

Doreen skrzyżowała ręce na piersi i skuliła się na swoim fotelu. Przez chwilę jechały w milczeniu. Heidi wiedziała, że powinna odpuścić, ale jakoś nie potrafiła.

– Doreen, nie złość się. Pierwszego wieczoru, gdy się poznałyśmy,

mówiliśmy o wolności. O tym, żeby uwolnić się od tego, co stoi nam na przeszkodzie do lepszego życia. Pamiętasz?

– Tak – mruknęła posępnie Doreen. – Pamiętam.

– I o tym właśnie mówię. Jeśli masz się podnieść, to zrób to w wielkim stylu. Chandler to tylko początek. Twój ojciec w ciebie nie wierzy, prawda? Ale ja w ciebie wierzę, Doreen. Jesteś na dobrej drodze. Chciałam tylko powiedzieć, że Simon Vale nie zdołałby pokonać kogoś takiego jak twój ojciec, dla którego liczy się jedynie ten świat, świat limuzyn, czarnych kart American Express, nieoznaczonych drzwi tylko dla członków. – Heidi chwyciła przyjaciółkę za dłoń. – Jeśli uda ci się dotrzeć na szczyt tego świata, to zatrząsie jego małym królestwem. Wtedy mu naprawdę pokażesz.

– Pokażę mu, że co? – Doreen wbiła w Heidi błagalne spojrzenie.

Biedactwo, wciąż była tylko zagubionym we mgle dzieckiem.

– Pokażesz mu, że nie jest nikiem wyjątkowym. Że jest zwykły. Nieważny. To ty będziesz piękną, młodą dziewczyną w centrum zainteresowania całej wyższej sfery. I to nie dzięki niemu. A kim on wtedy będzie? Tylko starym, zapitym, nic niewartym playboyem. I ta świadomość go zabije, Doreen. Jestem tego pewna.

Doreen odwróciła się do okna. Heidi przestraszyła się, że może zdradziła zbyt wiele. Skąd niby miałyby wiedzieć aż tyle o Rolandzie, którego jakoby w ogóle nie znała? Ale Doreen tylko siedziała zamyślona i gapiła się na autostradę.

– Chciałabym tego – szepnęła w końcu. Robił się coraz większy korek, ale jakie to miało znaczenie? Nigdzie się nie spieszyły. Miały siebie. – Bardzo bym tego chciała.

Heidi prześlizgiwała się wzrokiem po nudnym krajobrazie. Zaskoczyły ją własne słowa. Wprowadziła do ich przyjaźni sprawę Rolanda i zrobiła to celowo. Teraz już nie dało się z tego wycofać. Bajeczka, którą sama sobie wcisnęła jakiś czas temu – że jej przyjaźń z Biz i Doreen nie ma nic wspólnego z Rolandem – okazała się kłamstwem. Teraz to zrozumiała. Tak, była znudzona, szukała jakiegoś szlachetnego projektu, ale twierdzić, że jej intencje względem Doreen były zupełnie czyste? Śmiechu warte. Prawda była taka, że Heidi miała obsesję na punkcie Rolanda. Chciała, żeby cierpiał. A Doreen dawała jej do ręki broń.

Pewnego popołudnia w Montauk Inn Roland uczył ją o winie. Siedzieli na tarasie z dala od recepcji. Przed nimi stało pięć czy sześć różnych gatunków z hotelowej piwniczki. Uniosła kieliszek, powąchała i zakręciła tak, jak ją tego nauczył. Ale ciągle jej nie wychodziło. Jej oceny były jak kulą w płot, smak niewyrobyony. Śmiał się z niej i nawet skomplementował jej imponujący talent do ściemniania.

A potem rozległ się sygnał telefonu. Oczywiście dzwonił Benedict Ruehl, jego marszand. Odkąd Roland zaczął te sesje z Heidi, niemal codziennie przerywał je Benedict – nigdy żona Rolanda, co wydało się Heidi nieco dziwne. Jej rodzice

potrafili relacjonować sobie przez telefon, co jedli na lunch. Tym razem marszand dzwonił z dobrą wiadomością. Jakiś obraz udało się sprzedać za bajeczną sumę. Roland przywołał kelnera, kazał zabrać wino i przynieść martini. Pili za sztukę. Procenty dodały Heidi odwagi i spytała go o rodzinę. Czy za nim nie tęsknią? Czy on nie tęskni za nimi? Czy dają mu znać, gdzie są i tak dalej?

Roland odchrząknął. Tego dnia miał na sobie biały lniany garnitur i koszulę bez krawata. Wszyscy w Hamptons nosili się na biało, ale nikt nie prezentował się w bieli tak jak on.

– Constantina żyje własnym życiem, moja droga, a ja żyję własnym. Jesteśmy ludźmi niezależnymi. Podobnie nasze dzieci. Mają swoje nianie i przyjaciół. Są zajęte. Ceniemy sobie przestrzeń osobistą. Domyślam się, że tobie trudno to pojąć. Nigdy nie widziałem, hm, domu twoich rodziców, ale wyobrażam sobie, że jest nieco mniejszy niż nasza posiadłość. Z tego też względu jesteście zmuszeni mieć ze sobą więcej do czynienia. My wolimy więcej oddechu.

– Ale i tak się kochacie, prawda? – spytała Heidi. – Bo jakoś to tak nie wygląda, kiedy o nich mówisz. Znaczący nie tak rozumiem miłość.

Usta Rolanda zacisnęły się niepokojąco. W jego oczach błysnęła wściekłość.

– Powinnaś przestać wypowiadać się o rzeczach, o których nie masz pojęcia. Choć zdaję sobie sprawę, że to nie pozostawia ci wielu tematów do rozmowy. Ale sądziłem, że nawet ty wiesz, kiedy lepiej zachować swoje opinie dla siebie.

– Przepraszam, nie chciałam...

– Wybaczam ci ten jeden raz, moja droga. Ale bardzo proszę, myśl czasem. Nie życzę sobie, żebyś naruszała moją prywatność.

Heidi wzdrygnęła się na to wspomnienie. Do tamtego momentu Roland zdawał się oceanem cierpliwości, i to mimo wszystkich jej błędów. Ale spytać go o to, czy kocha żonę? Nawet córka śmieciarza powinna wiedzieć, że to tabu. Miał pełne prawo się na nią wściec. Na szczęście do czasu ich następnego spotkania chyba zapomniał o tym incydencie i nigdy już nie poruszali spraw rodzinnych.

Chodziło jednak o coś więcej. W tamtej chwili Heidi dostrzegła w nim ból. Jakiegokolwiek uczucia łączyły Rolanda z żoną i dziećmi, nie dawały mu radości. Tego była pewna. Oto człowiek, który wie wszystko – poza tym, jak to jest być kochanym.

Heidi spojrzała na Doreen, która oparła głowę o okno i zamknęła oczy. Na jej ustach malował się lekki uśmiech. Była idealna, doskonała, piękniejsza niż jakiegokolwiek dzieło sztuki czy najlepszy samochód. Roland będzie chciał ją mieć dla siebie, móc się nią chwalić, kochać ją. Heidi nie miała co do tego żadnych wątpliwości.

W sercu tego człowieka była jakaś wyrwa. W innym razie dlaczego w ogóle by się nią zainteresował tamtego lata? Sa-motny, z dala od rodziny, z żoną, która odeszła od niego ledwie kilka miesięcy później, Roland wyciągnął Heidi z za

repcji w Montauk Inn, bo chciał, by ktoś go podziwiał.

Kiedy znajomość z Heidi przestała mu być na rękę, próbował sprawić, by zniknęła. Myślał, że to będzie łatwe i tanie. Tymczasem nie było ani takie, ani takie, już Heidi się o to postarała. Ale była tylko obcą osobą, w zasadzie czymś w rodzaju służącej. Nikim.

Doreen natomiast była jego córką. Nową szansą na coś wspaniałego. Jeśli dobrze to rozegrają, mogą sprawić, by naprawdę zaczęło mu zależeć. Dzięki Doreen Roland może znów poczuć, że ma wszystko, czego zawsze pragnął. A wtedy – z pomocą Heidi – Doreen wszystko to mu odbierze. Tak po prostu. Bez żadnego ostrzeżenia.

Doreen będzie dla ojca jego własnym Oz, jego rajem. Pozwolą mu na niego spojrzeć, a potem odbiorą mu go i wyślą Rolanda z powrotem do Kansas – samotnego i niekochanego. Wtedy wreszcie się dowie, jak to jest żyć bez kolorów, w czarno--białym świecie. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni.

Kiedy Gordon ujrzał ją, gdy wyszła z internatu wieczorem przed jesiennym balem, Doreen przestraszyła się, że chłopak się popłacze.

– Powiedziałam mu, żeby nie gadał od rzeczy. Ale w zasadzie było to całkiem przyjemne – wyznała potem. – Kiedy całował mnie w limuzynie po drodze, chyba nawet coś do niego poczułam.

– Lepsze coś niż nic. Rzeczywiście wyglądasz odlotowo – powiedziała Heidi, przedrzeźniając koleżanki z Nowej Anglii, które zawsze nawijały o „odlotowej zabawie”, a nawet „odlotowym czadzie”.

– Ty też wyglądasz niesamowicie. Naprawdę podoba mi się twoja sukienka – skomplementowała ją Doreen.

– Coś ty? Ta stara szmata? – Heidi obróciła się zgrabnie.

Wybrała czarną obcisłą sukienkę od Versace z odważnymi zdobieniami ze strusich piór. Do tego założyła jaskrawożółte szpilki od Louboutina. Jej usta były lśniące, soczyste i czerwone, a włosy, ułożone w artystycznym nieładzie, miały sprawiać wrażenie, że cały efekt nie kosztował jej ani odrobiny wysiłku.

– Serio – zapewniła ją Doreen. – Chyba nigdy w życiu nie widziałam nikogo, kto wyglądałby równie *cool*.

Heidi poczuła, że się rumieni. Komplementy Doreen – tak ostatnio rzadkie – stały się tym cenniejsze. Aż się zdziwiła, jak bardzo jej na nich zależało. „Ostrożnie, mała – powiedział głos w jej głowie. – Nie ufaj nikomu”.

– A, tu jesteście! Szukałam was w autobusie, ale powinnam była się domyślić, że znajdziecie sobie inne środki transportu! – krzyknęła Biz na ich widok.

Heidi od razu rozpoznała czerwoną sukienkę bez ramiączek od Caroliny Herrery, w której zrobiły sesję Doreen tamtego dnia, gdy się poznały.

– Proszę, proszę! Czyżby to Elizabeth Gibbons-Brown zaszczyliła nas swoją obecnością na szkolnym balu? Myślałam, że nie dożyję tego dnia.

Biz poprawiła sobie sukienkę pod pachami.

– Postanowiłam, że muszę zaliczyć choć jedną taką imprezę, nim skończymy szkołę. Obrzęd przejścia i takie tam. Wspomnienia i w ogóle.

– Wystroiłaś się jak prawdziwa dama! I rzuca się w oczy, że zapomniałaś ulubionej ozdoby. Biz, czy to możliwe, że przyszedłaś tu dziś bez aparatu?!

Biz się uśmiechnęła.

– Pomyślałam, że tym razem poprzestanę na zapamiętywaniu obrazów. No wiesz, chciałabym choć raz być uczestnikiem, a nie obserwatorem.

– Mamcia oszaleje ze szczęścia.

– Jeszcze jedno słowo, Heidi Whelan, i stracisz licencję na moje torebki. I to raz na zawsze.

– Wyluzuj.

Heidi nie potrafiła powstrzymać szerokiego uśmiechu. Cieszyła się, że widzi Biz na balu. Tak, jej strój wyglądał na nieco pospiesznie założony, za całe dodatki musiały starczyć smętne druciane oprawki, a na twarzy nie miała śladu makijażu, ale przynajmniej upięła jako tako włosy, a nawet zrezygnowała ze swoich ukochanych converse'ów na rzecz pary pięknych balerinek. I naprawdę przyszła tu bez aparatu. Co też się dzieje z małą Bizzy? Heidi będzie musiała zbadać tę sprawę. Później.

– Czeka! Własnym oczom nie wierzę! Czy ty masz w uszach kolczyki, Elizabeth? Nie przypuszczałam, że w ogóle masz je przekłute. Jezu, gdzieś ty ukrywała te cudeńka. Wow!

– Szpony precz, sępie – syknęła Biz, odpychając dłoń Hei-di. – Mam je po *grand-mère* Kiki. Nie dla ciebie. A tak w ogóle to ładnie wyglądasz. Ty też, Doreen. Hej, Doreen? Coś nie tak?

Twarz Doreen była upiornie blada. Wydawała się przestraszona. Jakby to nie Biz do nich podeszła, ale jakiś stwór z zaświatów, demon czy duch.

– Ta sukienka – wyszeptała.

Biz spojrzała na swoją sukienkę za trzy tysiące dolarów, jakby to było prześcieradło.

– To ta, którą włożyłaś, kiedy robiłam ci zdjęcie do profilu na GryphPage'u.

– Wiem, co to za sukienka. Nie wiem tylko, dlaczego masz ją na sobie. Dlaczego w niej dziś przyszłaś? Próbujesz mnie ośmieszyć?

– Że co? Nie! Oczywiście, że nie! Po prostu musiałam coś na siebie włożyć. A ta, no wiesz, przypomniałam sobie tamten dzień, gdy zobaczyłyśmy się po tylu latach, i pomyślałam, że może się ucieszysz...

Doreen zacisnęła pięści, jakby była gotowa strzelić Biz w twarz.

– Wyglądasz w niej okropnie. Paskudnie.

– Doreen!

– Co, Heidi? Dobrze wiesz, że to prawda. Wyglądasz żałośnie, Elizabeth. Jakbyś przebrała się za kogoś innego. Za mnie? Czy tak? Próbujesz mnie naśladować?

– Nie! Nie, ja tylko... Nie chciałam... – Biz drżał głos, a jej oczy zasły łzami. – Nie wiedziałam, że...

– Dorie, przestań! – Heidi położyła ręce na skulonych ramionach Biz. – Wcale nie wyglądasz żałośnie, Biz. Wyglądasz bardzo ładnie. Słodko, dziewczęco. Sukienka leży na tobie jak ulał. Pojęcia nie mam, co wstąpiło w Dorie. Może to nerwy? Mam rację, Doreen? Stresujesz się? Co cię opętało?

– Co? Ja... – Doreen zadrzała, jakby budziła się ze złego snu.

– Jad zachowujemy dla ludzi z zewnątrz – syknęła na nią Heidi.

Nawet nie próbowała ukryć rozczarowania zachowaniem przyjaciółki.

Doreen patrzyła to na Heidi, to na Biz.

– Och, Bizy, tak strasznie cię przepraszam! – Zarzuciła jej ramiona na szyję. – Zapomnij o tym, co powiedziałam. To wszystko chyba mnie trochę przerasta. Wyglądasz bosko. Może zwyczajnie jestem trochę zazdrosna.

– Zazdrosna? O co?

– W tej sukience wyglądasz sto razy lepiej niż ja. Spójrz tylko na siebie! Gdzieś ty dotąd ukrywała taką idealną figurę?

Doreen żartobliwie trąciła ją w biodra, a Biz się zaczerwieniła.

Heidi poczuła, jak napięcie opada. Świat znów był taki, jak powinien.

– Wybaczysz mi? – spytała Doreen.

– Nie ma o czym mówić – wybąkała Biz.

– Świetnie. A skoro nie masz aparatu, tym razem ja będę musiała robić za fotografa. Przecież trzeba cię uwiecznić w tej boskiej sukience!

Heidi i Biz stanęły razem, a Doreen pstryknęła zdjęcie komórką. Biz nawet lekko się uśmiechnęła.

– Jestem na zdjęciu – stwierdziła, spoglądając na fotografię w telefonie Doreen.

– Teraz wiesz, jakie to uczucie – powiedziała Doreen.

– Naprawdę wyglądasz pięknie, Biz – dodała Heidi.

Beznadziejna fryzura, zero makijażu, zero kobiecych kształtów, a jednak to była prawda. Biz dosłownie promieniała.

– Dzięki! No więc... tak wygląda szkolny bal?

Trzy przyjaciółki odwróciły się i rozejrzały wkoło. Sala balowa w starym hotelu Hamilton Colonial prezentowała się niezwykle elegancko. Oświetlenie i dekoracje były równie monumentalne i gustowne jak samo wnętrze. Nawet muzycy byli zaskakująco dobrzy. Przyjęcie dla synów i córek elity Wschodniego Wybrzeża, dzieciaków, które widziały już wszystko. Wystrojona w najlepsze ciuchy młodzież z Chand-lera tańczyła, opychała się specjałami i oddawała przedziwnym rytuałom nastoletniego uwodzenia. W głębi duszy, w tej części, której nie pokazywała nikomu, Heidi była naprawdę pod wrażeniem.

– O, proszę, oto nadciągają nasi olśniewający kawalerowie – zauważyła Heidi, wdzięcznie machając dłonią.

Gordon Lichter i Peter Standish podeszli do nich ze szklaneczkami ponczu w dłoniach i z tymi charakterystycznymi uśmiechami narajanych osób. Bez krawata, w idealnie skrojonym wełnianym garniturze Peter zachowywał się na balu licealnym równie swobodnie, jak wtedy, w Ritzu. Heidi poczuła motylki w żołądku.

– Witamy z powrotem. – Wzięła poncz, który przyniósł jej Peter.

Oczywiście dołał do niego czegoś mocniejszego. Co to było? Chyba whisky. Szkocka single malt. Wolałaby ją bez ponczu, ale należało zachowywać pozory.

- Jak tam wasz wypad na parking?
- Bardzo, hm, odświeżający – odparł Gordon.

Peter wyszczerzył zęby w uśmiechu i przyciągnął Heidi do siebie. Pachniał cudownie.

– Wymykanie się na parking przy szkole na skręta, dolewanie alkoholu do ponczu. Znów czuję się młody.

– Odezwał się stary ramol – odparowała Heidi.

– Stary ramol śliniący się do nastolatek – zakpił Peter.

Pocałował Heidi namiętnie, ale o wiele za krótko. O dobrą godzinę za krótko.

– Biz, znasz Gordona, prawda? – powiedziała Doreen.

– Ha! Znam Gordona właściwie od kołyski.

– Nasze matki grają razem w brydża – wyjaśnił Gordon.

– Oczywiście – powiedziała Doreen. – A to jest Peter Standish. Peter, to moja kuzynka Elizabeth.

– Czołem, Biz – przywitał się Peter.

– Cześć, kopę lat.

– Wy też się znacie? – spytała Doreen.

– Ad-rock – wyjaśniła Biz. – Harvard. Byłeś u nas kiedyś, no nie? Chyba na Memorial Day?

– Coś w tym stylu. – Peter otulił Heidi ramieniem. – Biz dała mi łupnia w szachy.

– Taki mam zwyczaj.

Heidi nie mogła uwierzyć własnym oczom. Biz udzielała się towarzysko, brylowała. Heidi nie byłaby chyba bardziej dumna z własnej córki.

– Wszyscy się tu znają – szepnęła Doreen do Heidi.

Wyglądała na zawstydzoną.

– Witaj wśród arystokracji – odszepnęła dziewczyna, puszczając do niej oko.

– Ich domy są wielkie, a świat mały.

Gordon położył dłoń na plecach Doreen, wsuwając palec za krawędź koronki.

– Zatańczmy, Doreen.

– Nie teraz, Gordonie.

– Proszę cię! Zatańcz ze mną.

– Dobrze już, dobrze! Przepraszamy bardzo, ale Gordon dostał jakiejś tanecznej gorączki.

Na parkiecie chłopak nie mógł się powstrzymać od spojrzeń, dotykania, ciągłych uścisków, szeptania jej do ucha. Jeśli w ogóle odrywał od niej wzrok, to tylko po to, żeby zobaczyć, czy wszyscy go widzą, dumny ze swojej zdobyczy. Heidi zastanawiała się, czy ktokolwiek kiedykolwiek czuł do niej coś tak

intensywnego.

Peter wyciągnął z kieszeni piersiówkę i dolał jej jeszcze whisky do ponczu. Gestem wskazał Gordona i Doreen.

– Kiedy Coburn usłyszał, że wybieram się na tę imprezkę, chyba też zaczął mieć nadzieję, że zostanie zaproszony. Biedak dość się napalił na twoją przyjaciółkę.

– No cóż, będzie musiał się ustawić w kolejce. Tylko się rozejrzyj. Wszyscy na nią patrzą.

– Nie ulega wątpliwości, że jest niezła – przyznał Peter.

– Słucham?

– Ale nie ma twojego stylu.

– Tak lepiej. To co? Tańczymy?

Peter się uśmiechnął. Miał urocze zmarszczki w kącikach oczu.

– W końcu to się nazywa szkolny bal, a nie szkolne stanie, prawda?

Wyciągnął do niej rękę. „Miły facet – pomyślała Heidi. – Bystry. Bogaty. I dorosły”. Pozwoliła mu ująć się za dłoń. Miał ciepłą skórę.

Nim jednak zdążyli się ruszyć, przy wejściu zrobiło się jakieś zamieszanie.

– Łapy precz! Dostałem zaproszenie, tak? Odwal się albo ci strzelę! – rozległ się w tłumie niski, męski głos. – Z drogi! Zaprosiła mnie. Mówiłem przecież.

Heidi nigdy przedtem nie słyszała tego głosu, ale gdy tylko dotarł do jej uszu, od razu wiedziała, do kogo należy. Kiedy wychyliła się na swoich wysokich obcasach, by spojrzeć ponad tłumem, nie miała wątpliwości, kogo zobaczy.

Doreen też ich nie miała. Nim zdążyła otworzyć oczy i oderwać głowę od ramienia Gordona, wiedziała, kim jest ten szalenciec przepychający się w stronę orkiestry. I czego szuka.

Nawet Biz przerwała dziwną rozmowę z koleżanką z francuskiego i obejrzała się pewna, że ujrzy Simona Vale'a, bo to właśnie on wtargnął na bal. Biedny, zapomniany Simon Vale przybył ratować ukochaną z białych jak śnieg łap klasy rządzącej. Było jednak za późno. Nieszczęsny rozgrywający będzie musiał wyjść z pustymi rękami. Heidi to wiedziała, Doreen to wiedziała, Biz to wiedziała. Jediną osobą tego nieświadomą był sam Simon.

– Doreen! – ryknął. – Dorie!

– Cholera – zaklęła Heidi.

– A to kto? – spytał Peter, ale nim Heidi zdołała cokolwiek wyjaśnić, Simon przepchał się koło nich i już szturmował parkiet.

Z tą samą siłą i gracją, które jeszcze niedawno przyprawiały Doreen o drżenie serca, oderwał ją od partnera, wziął w ramiona i zaczął nieść w stronę wyjścia. Mamrocząc jej imię, całował ją po szyi i policzkach. Ale kiedy spróbował pocałować ją w usta, Doreen odepchnęła go dłonią.

– Simonie! Puść mnie! Jak ty się w ogóle zachowujesz? Ludzie patrzą.

– Ha! A co mnie obchodzi, co myśli ta banda snobów?

Simon prezentował się strasznie. Wyglądał niechlujnie, jego włosy błagały o fryzjera. Ale miał przynajmniej na tyle przytomności umysłu, żeby wypożyczyć smoking. Heidi przepchała się przez tłum gapiów. Co on sobie w ogóle wyobraża? Że może tak po prostu przyjść i znów zostać chłopakiem Doreen? Doreen stała sztywno w swoich fioletowych koronkach. Z obrzydzeniem skrzywiła usta. Mimo całego zamieszania zachowała idealny spokój. Jej oczy patrzyły zimno i bez litości. Simon chciał ukryć twarz w jej włosach.

– Nie, Doreen. Nas nic nie obchodzi, co myślą inni. Dla nas liczymy się tylko my dwoje!

– Jacy „my”, Simonie? Jeśli rozumiesz przez to „ty i ja”, to pozwól, że ci przypomnę, że żadne „my” już dawno nie istnieje. Nie masz do mnie żadnych praw i nic ci do tego, co robię i co jest dla mnie ważne. Ty to ty, a ja to ja, a ponieważ to moja szkoła, mam nadzieję, że udasz się teraz do wyjścia, nim będę musiała poprosić kogoś, by cię stąd usunęto.

W sali panowała upiorna cisza. Doreen dała muzykom znak, by znów zaczęli grać.

– Och, Doreen, mnie nie zmylisz. – Simon siłą przycisnął jej rękę do swojego policzka. – Znam cię, Doreen Gray. Wiem, kim jesteś.

Heidi dotarła do Gordona Lichtera, który stał na skraju parkietu. W milczeniu obserwował całe zajście. Był wściekły.

– Hej – zagadnęła.

– Hej – odpowiedział, nie odrywając wzroku od Doreen. – Właśnie się zastanawiam, czy przypadkiem nie powinienem mu strzelić. Jak myślisz?

Simon był dwa razy wyższy od Gordona i szeroki niczym drwal. Choć z pewnością było to upokarzające dać sobie tak na oczach wszystkich porwać dziewczynę, jeszcze większym upokorzeniem byłoby dać się na dodatek zbić na kwaśne jabłko.

– Hmm... Mogłoby się z tego zrobić zamieszanie – odpowiedziała ostrożnie Heidi.

Gordon pokiwał głową. Oczywiście nie zamierzał nic robić. Po swoich przodkach odziedziczył nie tylko delikatną budowę ciała, ale także pełne pogardy dla maluczkich poczucie wyższości. Gdy Simon Vale prosił, błagał, przekonywał Doreen, Gordon odwołał się do wielowiekowej rodzinnej tradycji dominacji nad motłochem. Z niezachwianą pewnością siebie, bez cienia paniki stał po prostu ze skrzyżowanymi ramionami. I uśmiechał się drwiąco.

Tymczasem Simon był już zupełnie zdesperowany. Padł na kolana i przycisnął sobie dłonie Doreen do czoła, jakby modlił się do jakiegoś guru. Żal było na to patrzeć.

– Co to za typ? Skąd Doreen go zna?

– Może to ktoś z jej starej szkoły.
– Wygląda mi na psychopatę.
– Może i jest psychopatą, ale nie wyrzuciłabym go z łóżka.
– Tylko spójrz na te bicepsy!
– Jest żaloszny!
– Jezu, czy tak kończą ci, którzy sypiają z Doreen Gray?
– Nie bądź wulgarna, Wes.
– Nie bądź taką świętoszką, Claire.
– Heidi, kto to? Znasz tego gościa?
– Yyy... nie, ale... Zamknijcie się, dobrze?
– Heidi pewnie go zna.
– Pewnie też z nim spała.
– Ten smoking jest wypożyczony. Głowę daję, że Heidi Whelan nie tknęłaby go nawet kijem.

Heidi zatkała sobie uszy. Usilnie próbowała wymyślić, co ma robić. Z pewnością znalezienie się w centrum uwagi całej szkoły jest dobrą rzeczą, prawda? Tylko czy aby ta scena się już zbytnio nie przeciąga?

– Tu jesteś – szepnęła zasapana Biz. – Może powinniśmy jakoś zainterweniować?

– Szczerze? Pojęcia nie mam – przyznała Heidi.

Komentarze wokół nie ustawały.

– Może Doreen rzuciła na niego jakieś zaklęcie.

– No, normalnie jak wiedźma czy coś. Piękna czarodziejka.

– Gordon Lichter to ma, cholera, szczęście.

– Znasz tego typka?! – spytał Peter, przekrzykując gwar.

– Jest rozgrywającym – odpowiedziała Heidi. – Była miłość.

– Chyba nie dotarło do niego, że była.

– Nie, raczej nie dotarło.

Biz nerwowo podrygiwała na palcach.

– Nie możemy jej jakoś pomóc? Jakoś przecież musimy zadziałać. Boję się, że on może jej coś zrobić.

– E, chyba nie. Spójrz tylko na biedaka.

Simon uczepił się rąbka sukni Doreen, a ona usiłowała się mu wyrwać.

– Żenada – szepnął Peter.

– Ale jazda! – krzyknął Frankie Cavalieri. Przepchał się przez tłum gapiów i stanął z przodu z telefonem przy twarzy.

Heidi wytrąciła mu go z ręki, nim zdążył zrobić zdjęcie.

– Odbiło ci, Heidi?!

– Trochę szacunku – syknęła. – Dobrze, koniec przedstawienia.

– A ty dokąd?

– Żadnych zdjęć, rozumiano? – Zmrużyła oczy i potoczyła wzrokiem po tłumie, co skutecznie uciszyło komentarze. Potem, poprawiwszy suknię i włosy, podeszła prosto do leżącego na ziemi Simona. – Simonie Vale’u! – Wyciągnęła wyprostowaną dłoń, jakby ktoś właśnie oficjalnie ich sobie przedstawiał. – Jak miło cię w końcu poznać! Nazywam się Heidi Whelan, jestem przyjaciółką Doreen.

Simon podniósł głowę i spojrzał na nią zaczerwienionymi oczami. Przez chwilę patrzył na jej dłoń, jakby nie był pewien, co ma przed sobą, i Heidi zaczęła się trochę bać, czy nie będzie jej próbował odgryźć albo coś. Jakoś się jednak pozbierał i wstał.

– Miło mi – powiedział i nawet zmusił się do grzecznościowego uśmiechu, gdy ujmował jej dłoń.

– Heidi była ze mną na twoim ostatnim meczu. Zamierzałam was sobie później przedstawić, ale widząc twoje żalosne zachowanie, była na tyle uprzejma, że opuściła mnie w połowie meczu i nie przedłużała mojego upokorzenia. – W oczach Doreen nie było litości. Jej perfekcyjnie umalowana górna warga wygięła się z obrzydzeniem, gdy mówiła: – Oczywiście łudziłam się wtedy, że to ostatni raz, gdy stawiasz mnie w takiej sytuacji, Simonie Vale’u. Łudziłam się, że będę miała szczęście już nigdy więcej cię nie oglądać.

– Och, Dorie. Proszę, nie mów do mnie w ten sposób.

– Jakie mam wyjście, Simonie? Przecież cię nie kocham. Zostaw mnie w spokoju.

Heidi odchrząknęła.

– Tak, cóż. Wspaniale było wreszcie cię poznać, Simonie. Ale obawiam się, że czas się pożegnać.

Skulony pod ciężarem porażki nieszczęśnik zadarł głowę i spojrzał na Heidi, kiwając pokornie. Taki Adonis, wręcz Thor, a proszę, co z niego zostało po spotkaniu z małą Doreen Gray. Heidi wyciągnęła dłoń, a on przez chwilę dał się jej prowadzić w stronę drzwi jak dziecko.

– Precz! – krzyknął ktoś. – Spadaj stąd!

– Wracaj, skąd przyszedłeś!

Tłum zaczął wrzeszczeć i gwizdać. Heidi próbowała uciszyć ich spojrzeniem, ale było za późno.

Simon rozejrzał się wokół, jakby właśnie obudził się z transu.

– Czekaj! Dokąd ty mnie zabierasz? Próbujesz nas rozdzielić? Nie dopuszczę do tego, słyszysz? Nie zniszczysz naszej miłości. Doreen! Doreen!

Wyrwał się Heidi i ruszył z powrotem w stronę parkietu. Wyciągnął rękę i całym ciałem rzucił się w stronę Doreen. Zatrzymał go mocny, starannie wymierzony cios w twarz. Padł na ziemię.

– Au – powiedział Peter, rozmasowując sobie dłoń.

– Bogu dzięki! – zawołała Heidi. – Mój ty bohaterze!

Tłum zaczął klaskać i wiwatować. Peter uśmiechnął się i pomógł Simonowi wstać z ziemi.

– Nic ci nie jest? *Sorry*, chłopie.

Simon pokręcił głową. W końcu stracił nadzieję.

– Dobra, to idziemy – zarządziła Heidi. – Tym razem już naprawdę. Gotowy?

Położyła nieszczęśnikowi dłoń na ramieniu i wyprowadziła go z sali.

– Widziałeś to?

– Ale odlot. Ja cię kręcę.

– Ja nie mogę. Było jednak zrobić zdjęcie. Taki cyrk, byłby z tego *viral* miesiąca.

– Coś ty? Nie chciałbyś się chyba narazić Heidi Whelan? Pamiętasz, co zrobiła kiedyś Tatianie Wang? Laska musiała zmienić szkołę.

– No, stary. A myślałeś, że czemu jednak nie strzeliłem fotki?

Gdy Simon i Heidi wychodzili z sali, nikt już nie zwracał na nich uwagi.

*

W holu było cicho i duszno. Simon ciągnął nogę za nogą. Heidi niemal poczuła żal mimo tej niesmacznej sceny na balu.

– Po prostu o niej zapomnij – poradziła mu. – Mówię poważnie. Nie wróci do ciebie, więc czas wybić ją sobie z głowy. Tak będzie lepiej.

– Zniszczyła mnie – szepnął Simon Vale.

– Nic ci nie będzie. Jesteś przecież gwiazdą futbolu! Jest tyle innych dziewczyn.

Simon zatrzymał się i spojrzał na Heidi. Miał podbite, przekrwione oko.

– Nie dla mnie. – Zmusił się do uśmiechu, ale wypadło to tak żałośnie, że Heidi pomyślała, że żaden krzyk ani łkanie nie mogłyby wyglądać smutniej. – Dziękuję. Wiem, że tylko próbowałaś pomóc.

– Uważaj na siebie – powiedziała Heidi.

Chłopak zgarbił się w swoim smokingu i zniknął w mroku pustej jesiennej nocy.

Heidi ucieszyła się, gdy w końcu sobie poszedł. Chyba. W każdym razie przecież od samego początku chciała, by się rozstali. To nie ulegało wątpliwości. A jednak jakoś to wszystko wypadło dziwnie. To, jak Doreen go potraktowała. Czy musiała go aż tak upokorzyć? Musiała być aż tak okrutna? Choć swoją drogą niewątpliwie wpłynie to rewelacyjnie na jej reputację. Na balu nie będzie się mówiło o niczym innym.

Heidi skoczyła jeszcze do łazienki poprawić makijaż. Powiedziała sobie, że trzeba zapomnieć o zdruzgotanym rozgrywającym.

– Nic mu nie będzie – zapewniła swoje odbicie. – To przecież tylko szkolny

romans.

Ale czuło się, że tak naprawdę chodziło o coś więcej.

Heidi usłyszała, że zespół zaczął grać coś szybszego, ale gdy wróciła na salę, nikt nie tańczył. Oczy wszystkich zwróciły się na Doreen, która stała z Gordonem na parkiecie. Mówił coś, ale nim zdążył skończyć, Doreen wpiła się w jego usta wargami, zębami, językiem. Przyłgnęła do niego, całując go mocno i namiętnie. Ludzie wrzeszczeli z ekscytacji, gwizdali. Heidi nie miała wątpliwości, że Doreen gra pod publiczność, celowo robi przedstawienie. Gdy w końcu puściła Gordona, chłopak mało nie zemdlał. Szepnęła mu coś do ucha i wzięła go za rękę.

Wszyscy obecni na jesiennym balu patrzyli, jak Doreen Gray i Gordon Lichter wychodzą z sali, trzymając się za ręce. Heidi znalazła Biz i Petera przy misie z ponczem i razem obserwowali, jak Doreen spogląda triumfalnie, jak promienieje, prowadząc swojego zupełnie już ogłupiałego chłopaka ku spełnieniu jego fantazji. „Co za niesamowita laska”, pomyślała Heidi z podziwem.

– Wygląda tak pięknie. – Biz westchnęła. – Gdybym tylko...

Nerwowo wyłamywała palce.

– Gdybyś co? – spytała Heidi.

– Gdybym tak miała aparat.

– A, tu jesteś. Nie zimno ci?

Peter wyszedł do Heidi na taras ich apartamentu. Mimo mroku widziała altankę na hotelowym trawniku, małe, wypielegnowane jeziorko za nią i wzgórze w oddali. Pachniało świeżością, zmianą. Peter miał na sobie łososiowy szlafrok z inicjałami hotelu, ale ten kobiecy strój jeszcze podkreślał jego męskość. Podał Heidi kieliszek czerwonego wina.

– Skąd to wytrzasnąłeś? A zresztą nieważne. Dziękuję. Jak ręka?

– Jeszcze trochę obolała, ale już lepiej.

Heidi aż bała się myśleć, w jakim stanie jest twarz Simona.

– Zrobiłeś na mnie wrażenie. To było odważne.

– Nie jestem tego taki pewien. Właściwie strzeliłem go bez ostrzeżenia, ale cieszę się, jeśli mogłem się na coś przydać. Ten cały Gordon jakoś nie palił się do tego zadania.

– Racja, nie palił się.

Heidi oparła się o barierkę i wzięła głęboki wdech, wciągając do płuc rześkie nocne powietrze. Peter zrobił to samo.

– Jest cieplej, niż myślałem – powiedział.

– Cudnie, prawda? Wiesz, jestem z miasta.

– Nie, nie wiedziałem – przyznał Peter z uśmiechem. – Z którego? Czeka, nie musisz odpowiadać. Jeśli ktoś mówi, że jest „z miasta”, to na bank chodzi o Nowy Jork. Jakbyście myśleli, że to jedyne miasto na świecie.

– No tak. Natura zawsze mnie zaskakuje. Zawsze coś się tam dzieje, trochę tak jak w mieście, tylko takim dla roślin i zwierząt.

– Pewnie można tak na to spojrzeć.

Przez minutę stali w cudownej ciszy – intymnej, bezpiecznej.

– Heidi Whelan z Nowego Jorku – odezwał się w końcu Peter. – To by była już druga.

– Słucham? Jaka druga?

– Druga informacja o twoim życiu. – Peter odwrócił się plecami do krajobrazu i oparł łokciami o barierkę, z rozbawieniem patrząc na Heidi. – Poza tym, że masz zwyczaj spędzać czas w Montauk Inn, jesteś z Nowego Jorku. Bo oprócz tego wiem tylko, że chodzisz do Chandler Academy.

– To by były trzy.

– I że masz wrażliwe uszy. – Pochylił się i dla zobrazowania tej tezy musnął jej ucho ustami, a Heidi zachichotała. – A nie mówiłem?

– Chyba cenię sobie prywatność.

– Prywatność? Nie. Ten taras to własność prywatna. To jest prywatność. A ty jesteś strzeżona pilniej niż Fort Knox. Nie oceniam tego. Po prostu stwierdzam

fakt. Można by wręcz pomyśleć, że masz coś do ukrycia, ślicznotko.

Heidi poczuła, że jej twarz zalewa rumieniec. Dobrze, że było ciemno.

– Muszę przyznać, że moja małowówność jakoś nie rzuca się w oczy większości dżentelmenów.

– Bo odwracasz ich uwagę. Swoim seksapilem.

– I rozmawianiem tylko o nich. A swoją drogą: z wyjątkiem tego momentu, kiedy musiałeś przyłożyć wiadomo komu, dobrze się bawiłeś na balu? Pewnie dziwnie było znów odgrywać uczeniaka, będąc już dwudziestoparoletnim sta-ruszkciem.

– O, nie, nie tak szybko. Jeszcze nie skończyliśmy z tobą.

– Nie?

Heidi wzięła łyk wina.

– Więc jesteś z Nowego Jorku. East Side czy West Side? Skąd? Z Tribeki?

– Ja? Och. Dorastałam w Yonkers.

To było bardzo dziwne. To wyznanie wyrwało jej się z ust, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie. Dlaczego nie udało jej się zmienić tematu? Albo chociaż skłamać? Oto stał przy niej ten chłopak z dobrej rodziny – przystojny, ciekawy, inteligentny. Nigdy nikomu nie przyznawała się, skąd jest, więc dlaczego nagle jemu?

– Yonkers? To dużo wyjaśnia.

– Co wyjaśnia?

Serce Heidi waliło jak szalone.

– Wyjaśnia, dlaczego nikt, kogo pytałem, nigdy o tobie nie słyszał. I dlaczego jesteś o wiele bardziej zajmująca niż wszystkie te dziewczyny, które do znudzenia podsuwa mi matka. Yonkers, Yonkers. Jakoś nie kojarzę. Jak tam jest?

– Bardzo miło.

– No weź! Bardzo miło? Kim jesteś? Kim są twoi rodzice? Chcę wiedzieć o tobie wszystko! Niech zgadnę... Twoja rodzina zajmuje się nieruchomościami? Nie? Hmm. Lekarze albo prawnicy? Nie. Niech pomyślę.

Heidi westchnęła.

– Mój ojciec jest śmieciarzem. Wystarczy? Zatkano cię? To zrozumiałe. Daj znak, jak odzyskasz mowę.

– Mnie? Wcale nie! Znaczący nie tego się spodziewałem.

– Okej. Mam mówić dalej?

– Mów, proszę. Mów wszystko.

– Wszystko? Hm. Jesteśmy katolikami, z Irlandii. Szczególnie mama jest religijna. Naprawdę w to wszystko wierzy. Krzyż nad łóżkiem, zdrowaśki odmawiane w metrze, te sprawy. Mówi „story” zamiast „zasłony” i „sofa” zamiast „kanapa”, bo jej się wydaje, że tak jest bardziej elegancko. Uwielbia Francję. Kiedy mieliśmy wybierać język obcy, wzięłam hiszpański tylko po to, żeby ją

wkurzyć. I powiedziałam jej, że nie będę więcej grać na pianinie, ale po cichu gram sobie, kiedy nie ma jej w domu.

– Grasz na pianinie?

– Ojciec swoją wiedzę o świecie czerpie z „New York Post”. Nie głosuje, bo mówi, że wszyscy politycy są tacy sami i wygadują androny. Słowa „androny” używa zupełnie na serio. Mówi, że głosowałby tylko na Dereka Jetera i koniec.

Czy to wino tak rozwiązało jej język? I co się działo z jej akcentem? Gdzie się podziała staranna wymowa? Pięknie artykułowane „ę”?

– Jestem tu na pełnym stypendium. I mam już osiemnaście lat. Jak się przeniosłam ze swojej głównianej szkoły publicznej, dyrektor kazał mi powtarzać klasę, ale nikt o tym nie wie, nawet moja współlokatorka. Moja siostra Katie zajmuje się depilacją miejsc intymnych w Roberto’s International Hair Salon na South Broadway. Jej chłopak naprawia windy. W naszej dzielnicy to świetna fucha, bo mają silny związek zawodowy. Ma na imię Donald i jest niemal całkiem łysy.

Peter zachichotał.

– Wcale nie żartuję. I wiesz co jeszcze? – Heidi nagle poczuła przypływ energii. Skoczyła jej adrenalina. – Pamiętasz tamtą dziewczynę z Ritza? Nicole? Tę, która знаła mnie z Montauk Inn? Była moją koleżanką z pracy. Pewnego lata pracowałam tam na recepcji, ale mnie wylali. – Tu urwała. Prawda wypłynęła z niej nieotamowanym strumieniem, jakby jej ciało nie potrafiło dłużej jej skrywać. Ten chłopak pewnie nie będzie chciał jej znać. Nie odpisze już na żadnego mejla ani esemesa. A skoro tak, to właściwie może powiedzieć wszystko. – Za palenie trawy w kotłowni.

I gdy udało jej się zakryć tym jednym marnym kłamstwem niczym pospiesznie zbudowanym ostatnim murem, poczuła się zupełnie wykończona. Mogłaby teraz spać przez kilka lat. Opadła na białe drewniane krzesło ogrodowe. Zamknęła oczy. Przez chwilę żadne z nich nic nie mówiło.

– Wow. No naprawdę. Wow.

Heidi podniosła wzrok na Petera Standisha III. Stał w tym brzoskwiniowym szlafroku, trzymał ręce na biodrach, a na twarzy miał swój zwykły uśmiech. Czy to wszystko go śmieszyło? To, ona, całe jej życie? I dopiero wtedy Heidi uświadomiła sobie powagę tego wyznania.

– O Boże – szepnęła. – Przepraszam na chwilę.

Zeskoczyła z krzesła i uciekła przez szklane drzwi do ich apartamentu. Wyciągnęła torbę i zaczęła się pakować. Dlaczego? Dlaczego pozwoliła sobie na coś takiego, powiedziała tak dużo? Po tym wszystkim, co udało jej się osiągnąć – dzięki starannemu wprowadzaniu ludzi w błąd, tworzeniu delikatnych warstw wieloznaczności, wykreowaniu postaci zupełnie innej Heidi – dlaczego nagle wyznała całą prawdę temu chłopakowi z Harvardu? Nie wiedziała. Ale miało to jakiś związek z Doreen, tego była pewna. Gdy zobaczyła, jak jej przyjaciółka gra

przed całą szkołą na balu – Heidi poczuła się niezwykczona.

Wrzuciła do torby suknię, buty i bieliznę. Poszła do łazienki po suszarkę do włosów i kosmetyczkę.

– A ty dokąd? – spytał Peter, wciąż wyraźnie rozbawiony. Zamknął za sobą szklane drzwi. – Zaczekaj. Co się dzieje?

– Jest okej. Nie martw się o mnie.

– Czy mogłabyś przestać się pakować? Jest środek nocy! Nigdzie nie idziesz.

– Słuchaj, przecież wiem, jak to działa. – Przynajmniej odzyskała akcent. Wszystkie spółgłoski spływały z jej języka dokładnie tak, jak u każdej dziewczyny z wyższej klasy. – Mam świadomość, że właśnie wszystko przekreśliłam. Wprawdzie nie wiem, co we mnie, kur... co we mnie wstąpiło, ale jakoś tak wyszło, więc już sobie idę i o nic nie musisz się martwić. Byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś zachował wszystkie te informacje dla siebie, choć pewnie nie mam prawa o to prosić.

Zajrzała pod łóżko, czy czegoś tam nie zostawiła. Zobaczyła zegarek, cienki, złoty, delikatny, ten, który w innym hotelu dostała od Rolanda. O którym zawsze mówiła, że to prezent od ojca. Przyszło jej do głowy, że może nawet lepiej byłoby go tam zostawić, ale potem jednak go podniosła i założyła na rękę. Zapięła koszulę, którą zarzuciła prosto na peniuar, i wskoczyła w dzinsy.

– Poczekaj, dobrze? Przestań! Heidi! Stop! – Peter chwycił ją za ramię i lekko potrząsnął. – Tobie naprawdę się ubzdurało, że to ma dla mnie jakieś znaczenie? Pojęcia nie mam, za jakiego drania mnie uważasz, ale nie żyjemy w siedemnastym wieku. Wydaje ci się, że nic, tylko marzę o jakiejś ciumci z najbogatszego domu w Connecticut? O jakiejś nudnej, rozpieszczonej, spragnionej diamentów arystokratce? Dlaczego? Żeby chronić dumne imię rodu czy co? Nie, dzięki. Nie. O wiele bardziej wolę to, ciebie, nas. Wybieram bystrą, boską, cudną ciebie. Tak, przyznaję, zaskoczyłaś mnie tą opowieścią. Ale pewnie powinienem był się wcześniej domyślić. Powinienem był wiedzieć, że taka bystrzacha jak ty nie mogła dorastać z tymi wszystkimi idiotkami, które znam od dziecka.

Stali teraz bardzo blisko siebie. Chwycił jej rękę tuż nad łokciami. Heidi słyszała własny oddech.

– Ty. Ty jesteś naprawdę ekscytującą osobą, Heidi Whelan.

Przejechał palcem po jej szyi i pocałował ją – ją, prawdziwą, autentyczną Heidi Whelan. I to było coś zupełnie innego. Poczuła, że coś się w niej otwiera. Jak drzwi, które zbyt długo były zamknięte. Jakby nagle ktoś wpuścił przez nie światło. Po prostu Heidi. Po prostu Heidi i Peter. To było coś więcej niż pocałunek. To było objawienie.

– Mów do mnie. Mów do mnie, dziewczyno z Yonkers – szepnął Peter. – Mów do mnie, Heidi Whelan, jakbyśmy byli w publicznej szkole, schowani pod

trybunami.

– Pojęcia nie mam, o czym ty gadasz.

Heidi Whelan pędziła przez dziedziniec, ile sił w nogach, wymijając grupki uczniów stojące na zimnie, wciąż podekscytowane wczorajszym bale. Nie zwolniła, żeby posłuchać, co mówią, choć była pewna, że jej przyjaciółka stanowi główny temat rozmów. Jak ją nazywali? Łamaczka serc? *Femme fatale*? Spoko. Może nawet dobrze. Ale morderczyni? Heidi jeszcze bardziej przyspieszyła. Muszą koniecznie przejąć kontrolę nad tą historią. Miała tylko nadzieję, że nie jest za późno.

Wbiegała po dwa schodki i już była pod drzwiami Doreen, ale przyjaciółka nie otwierała. Heidi waliła w drzwi, szarpała klamką i rozpaczliwie wołała ją po imieniu. Gdzie ona mogła się podziać? Wyobraźnia podpowiadała jej najczarniejsze scenariusze. W końcu jednak po kilku minutach Doreen uchyliła drzwi.

– Bogu dzięki! – krzyknęła Heidi i wpadła do pokoju. – Już myślałam... Pojęcia nie masz, co sobie ubzdurałam. Nie odpowiadasz na wiadomości. Martwiłam się.

– Mówisz jak Biz – prychnęła kpiąco Doreen. – Nic mi nie jest. Po prostu się uczyłam.

– Uczyłaś? – Heidi była tak zdumiona, jakby nie знаła tego słowa. Spojrzała na stos książek na biurku Doreen. – Czego jak czego, ale tego na pewno się nie spodziewałam.

– Tak, uczę się. Więc bez urazy, ale...

– Słuchaj, Dorie, to oczywiście straszne. Po prostu okropne i chciałam się upewnić, że dzielnie to znosisz. Już się bałam, że zastanę cię, no nie wiem... że będziesz rwać włosy z głowy, łkać, walić się w pierś.

– O czym ty w ogóle mówisz?

– Kochanie! O Simonie! Simonie Vale'u!

Doreen wzdrygnęła się na dźwięk tego imienia.

– To oczywiście bardzo niefortunne.

Heidi poważnie pokiwała głową.

– Doreen, tak mi przykro, że wyszło, jak wyszło, ale to nie twoja wina.

– Wina? Wcale nie uważam, że to moja... Zresztą wiesz, już wszystko sobie poukładałam. Wszystko naprawię.

– Naprawdę? Jak?

– Muszę przyznać, że obudziłam się rano z pewnym niesmakiem. Nie dosłownie, oczywiście. Apartament, w którym nocowaliśmy z Gordonem w Hamilton Colonial, był bardzo luksusowy. Na śniadanie podano nam bułeczki i croissanty, a do tego cappuccino i te małe słodczki z francuskim dżemem. Ale coś w tej wczorajszej scenie nie dawało mi spokoju. Prawda jest taka, że kochałam

Simona, a nigdy nie kochałam Gordona. Nigdy go nie pokocham. Po prostu nie potrafię. Uwielbiam go za jego władzę i możliwości, ale to nie wszystko, co liczy się w życiu. Wiem, że są ważniejsze rzeczy. Postanowiłam, że chcę zostać lepszym człowiekiem. Dotarło do mnie, że zupełnie przestałam być tamtą dziewczyną z Indiany. A chciałabym odzyskać dawną Doreen, zadbać o wewnętrzne piękno, Heidi, a tu wszystko zaczyna się od Simona...

– Ale, Doreen...

– Słuchaj, daruj sobie komentarze. Nie zamierzam tego słuchać. Spróbowałam twoich metod i jak skończyłam? Tak, mam piękną sukienkę i nocowałam w pięknym apartamencie, ale za jaką cenę? Simon to dobry człowiek. Ma dobrą duszę. Nie powinnam była go tak potraktować. Postanowiłam, że do niego wrócę.

– Wrócisz do niego?

– Tak, Heidi. I odpuść sobie tyradę pod tytułem: „Dlaczego Simon Vale jest nieodpowiednią i żenującą partią”. Nic mnie to nie obchodzi. Zamierzam iść prosto na Leaving Place i błagać tego chłopaka o wybaczenie. Jeśli będzie trzeba, na kolanach.

– Na Leaving Place? Ale, Doreen, czy ty nie dostałaś żadnego z moich esemesów? Mejl? Nic nie wiesz? Na GryphPage’u ludzie nie piszą o niczym innym!

– Przecież nie mam profilu. A telefon wyłączyłam. Co się dzieje?

Heidi odsunęła przyjaciółkę i zalogowała się na swoje konto na jej starym laptopie. Kliknęła na link do strony „Chandler Timesa”.

– Dobijam się do ciebie od rana – powiedziała, gdy Doreen opadła na krzesło przy biurku.

Nieudana próba samobójcza gwiazdy futbolu

Simon Vale (lat 17) rzucił się w niedzielę rano z mostu na Peabody Street. Według świadków chłopak skoczył z mostu kilka godzin po tym, jak wtargnął na jesienny bal uczniów Chandlera odbywający się w sobotę wieczorem w hotelu Hamilton Colonial. Nieznany jest jeszcze stopień odniesionych obrażeń, świadkowie twierdzą jednak, że jego stan jest stabilny, choć niedoszły samobójca wyraźnie zmagał się z dużym bólem, gdy na miejsce zdarzenia przyjechały służby medyczne, które zabrały go z dna jaru. Do niedawna Vale był główną gwiazdą drużyny futbolowej Hamilton High School. Po serii przedziwnych zachowań podczas meczów jego trener był zmuszony posadzić go na ławce rezerwowych na czas ostatniej rozgrywki drużyny z Manchester Wild Cats. – Od jakiegoś czasu dzieciak zachowuje się jak wariat – mówi trener McCullers. – Nie wiem, co w niego wstąpiło.

– Widzisz? Stan stabilny – powiedziała Heidi. – To znaczy, że nic mu nie

będzie. Most na Peabody Street jest dość nisko. Jestem przekonana, że to była tylko próba zwrócenia na siebie uwagi, krzyk o pomoc. Doreen? Dorie? Wszystko w porządku?

Ale Doreen nie odpowiadała. Dotarła do łóżka i usiadła ciężko.

– Zabiłam go. Zabiłam Simona Vale’a.

– Nie, Dorie. Mówię ci przecież, że jego stan jest stabilny. Przeżyje to. Nawet w nagłówku to napisali.

– Ale chciał umrzeć, Heidi, prawda? I to wszystko przeze mnie. Bo powiedziałam mu, że go nie kocham. Byłam dla niego taka okrutna. To ty wyprowadziłaś go z balu? To ty, prawda?

– Tak. – Heidi znów stanęła przed oczami zakrwawiona twarz Simona, gdy zdruzgotany wychodził z sali w swoim wypożyczonym smokingu.

– Jak się trzymał?

Heidi ze zdumieniem stwierdziła, że oczy przyjaciółki są zupełnie suche. Tak, była zszokowana, ale przy tym jakby zachwycona całym wydarzeniem. Heidi była tego niemal pewna.

– No, czuł się słabo. Chyba nie tak wyobrażał sobie ten wieczór.

– Nie. Nie, oczywiście, że nie. Chciał mnie odzyskać. Kochał mnie tak bardzo, a ja byłam tam z Gordonem Lichterem. Tylko pomyśleć! Wiesz, Heidi, gdybym zobaczyła to na filmie, na pewno płakałabym jak bóbr. Ale jakoś tak... ponieważ przydarzyło się to mnie, jestem chyba przede wszystkim zaskoczona. Jakie to dziwne. Simon Vale próbował się przeze mnie zabić. A tymczasem ja wciąż tu jestem. I ty jesteś. Ludzie jedzą. We wtorek mam sprawdzian z biologii. Nic się nie zmieniło. – Doreen zapatrzyła się gdzieś w dal, za okno, na pogrążony w ciemnościach kampus. – Jest w tym nawet jakieś piękno. W tym, że życie toczy się dalej. Z zupełną obojętnością.

– Tak. I uważam, że tak jest dobrze. Właśnie między innymi dlatego tu przybiegłam. Myślę, że powinniśmy zejść na dół do stołówki, pokazać się. Wcześniej nikt nie znał jego imienia, ale teraz, kiedy napisali w gazecie, że wtargnął na bal, ludzie bez trudu połączą fakty. Taki skandal... to jedna wielka niewiadoma, Doreen. Powiem ci szczerze, że nie mam pojęcia, jaki to będzie miało wpływ na twoją pozycję. Ale jeśli zostaniesz w pokoju, będzie to wyglądało tak, jakbyś miała wyrzuty sumienia.

– Ale ja ich nie mam. Może powinnam, ale nie czuję żadnych wyrzutów sumienia. Czy twoim zdaniem jestem bez serca?

– Chłopak miał jakieś zaburzenia. Oczekiwał od ciebie więcej, niż jakikolwiek chłopak może oczekiwać od dziewczyny. Że go uratujesz. Co ci mówiłam o wpływaniu na ludzi? Simon nie potrafił żyć bez ciebie, a w każdym razie tak mu się wydawało. Miał w sobie jakąś pustkę do wypełnienia, i to o nią naprawdę chodziło, a nie o ciebie. Co ty możesz poradzić, że jesteś piękna?

I dobra? – dodała Heidi, ale już mniej pewnym głosem.

– Tylko że byłam dla niego taka podła po tamtym meczu. Nie opowiadałam ci o tym, Heidi, ale nagle wydał mi się taki odrażający. Czy zdarzyło ci się kiedykolwiek coś takiego? Taka byłam zakochana, a potem nagle fizycznie nie mogłam znieść jego obecności.

– To był dość żaloszny mecz.

– Wiesz, myślę, że masz rację. Powiedział wtedy, że zrobił to dla mnie. Że grał tak, że tak się skompromitował, bo futbol już nic dla niego nie znaczy. Przesadził. To było takie słabe. A ja nie chciałam dzieciaka. Chciałam mężczyzny. Myślisz, że jestem potworem? Błagam, powiedz, że tak nie myślisz.

Heidi usiadła przy niej i Doreen położyła jej głowę na ramieniu.

– Nie, Doreen. Oczywiście, że nie uważam cię za potwora. Trudno się nie martwić o Simona, ale tylko on jest odpowiedzialny za własne czyny.

– I pomyśleć, że chciałam do niego wrócić! Sama już nie wiem, czy to by było lepsze, czy gorsze.

Ta chwila intymności była jak ciepły koc łączący je mimo tej trudnej sytuacji. Heidi poczuła przyływ ulgi. Zależało jej, żeby Doreen jakoś przetrwała ten skandal, z bardzo wielu powodów – jej własna reputacja była zagrożona, do tego dochodziła kwestia Rolanda i strach przed poczuciem klęski, gdyby teraz Doreen została odtrącona przez innych uczniów. Ale przede wszystkim po prostu martwiła się o nią. Heidi otrzymała nieoczekiwany dar prawdziwej przyjaźni i teraz była gotowa zrobić wszystko, co w jej mocy, żeby ją uratować.

– Słuchaj, Dorie, może się ubierzesz i zjedziemy na stołówkę, dobra? Podzióbiesz jakieś kanapki czy coś, pokażesz się ludziom. Co ty na to?

– Jeśli uważasz, że to będzie najlepsze, Heidi, to jasne, że tak. – Doreen spojrzała na biurko. – Tylko jeszcze jedna rzecz, jeśli nie masz nic przeciwko temu.

– Czego ci trzeba, Doreen? Mów.

– Potrzebuję chwili samotności. Żeby się trochę pozbierać. Sama rozumiesz.

Heidi się uśmiechnęła.

– Jasne. Oczywiście. Poczekam na zewnątrz. I tak powinnam zadzwonić do Petera.

– Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła, Heidi. Nigdy nie miałam takiej przyjaciółki jak ty. Nigdy.

Heidi zatrzymała się w drzwiach i puściła do niej oko.

– To dopiero początek, młoda.

I zarzucając sobie na ramię kasztanową torebkę od Ferragamo, własność Biz, wyszła z pokoju.

*

Gdy tylko drzwi się zatrzasnęły, Doreen rzuciła się do biurka. Nie mogła

dłużej czekać. Musiała się przekonać na własne oczy. Prawda była taka, że myślała o zdjęciu cały dzień. Tamta upiorna zmiana, którą poprzednio zauważyła, musiała być tylko złudzeniem. Tak sobie bez końca powtarzała. A jednak wbiła sobie do głowy, że zdjęcie jakimś cudem śledzi każdy jej ruch. I po tym, jak wczoraj potraktowała Simona na balu, ciągle zastanawiała się, czy fotografia stała się jeszcze brzydsza. Szaleństwo, czyste szaleństwo! Ale bała się sprawdzić. Zamiast tego postanowiła wrócić do Simona, zabrać się do nauki, znów być tamtą grzeczną dziewczynką.

Jednak po tym, jak dowiedziała się od Heidi o próbie samo-bójczej Simona, nie potrafiła dłużej zwlekać. Musiała się przekonać, czy poprzednia zmiana na zdjęciu była tylko złudzeniem, czy ostatnie wydarzenia też jakoś na nie wpłynęły. Lepiej wiedzieć, z czym ma się do czynienia – co jeszcze skrywa przed nią fotografia. Drżącymi dłońmi wysunęła górną szufladę biurka i wyjęła zdjęcie.

Tym razem już nie było wątpliwości. To się naprawdę działo! Tamta zmiana, którą widziała wcześniej, jednak nie była złudzeniem. Widziała ją teraz wyraźnie. Tylko że było jeszcze gorzej, straszniej. Oczy dziewczyny na zdjęciu patrzyły bez litości, usta stały się czerwone jak krew. Na skórze pojawiły się jakieś koszmarnie czyraki. Wyrwał jej się krzyk zgrozy.

– Doreen! Nic ci nie jest?! – zawołała Heidi z korytarza.

– Yyy? Co? Nie, nic, ja tylko... nadepnęłam na kolczyk.

– A, okej. Gotowa? Za godzinę zamykają stołówkę.

– Daj mi jeszcze minutkę!

Doreen krążyła po pokoju. Co powinna zrobić? Jak to naprawić? Pragnęła stać się lepszym człowiekiem, zadośćuczynić za krzywdy, które wyrządziła, ale nie miała pojęcia, jak się do tego zabrać. Ani czy to w ogóle zadziała. Musiałaby chyba zostać zakonnica. Albo gorzej niż zakonnica – drugą Biz! Żadnych chłopców. Żadnych rozrywek. Żadnego manipulowania ludźmi. Żadnego materializmu. Żadnego życia.

– Żadnego życia – wyszeptała. Zadrżała. Co za poświęcenie. Spojrzała na swoje odbicie w wielkim lustrze. Ta dziewczyna o cerze lalki i twarzy modelki, o włosach tak miękkich i gęstych... Czy będzie musiała zrezygnować ze wszystkich tych przyjemności, jakie zapewnia jej uroda, tylko po to, by być dobra? Co za marnotrawstwo.

Nałożyła błyszczący na usta, związała swoje boskie włosy. Obserwowała dziewczynę z lustro – wszystko robiła z taką gracją. Jak ktoś tak idealny mógłby być zły? I wtedy doznała olśnienia. Oczywiście! Dlaczego wcześniej nie przyszło jej to do głowy? Nic nie musiała zmieniać. Doreen Gray mogła robić, co chciała. Uśmiechnęła się. Tak, fotografia będzie się stawała coraz brzydsza. I co z tego? Sama Doreen była piękna jak nigdy. Spójrz! Spójrz na tę dziewczynę w lustrze. Liczy się tylko to, jak wygląda, a wygląda idealnie. Wsunęła fotografię z powrotem

do szuflady. Zatrzyma ją sobie, niech przejmuje całą brzydotę, a ona będzie wolna. Będzie mogła żyć, jak jej się będzie podobało. Bez żadnych wyrzutów sumienia. Będzie mogła bezkarnie obżerać się na tym bankiecie zwanym życiem.

Wybiegła do przyjaciółki, niemal podskakując z radości.

*

Po dziedzińcu hulał wiatr. Zbliżała się zima i nie zapowiadała się lekko.

– Brr! – Doreen wzięła Heidi pod ramię. – Czyż stołówka nie wygląda stąd na ciepłą i przytulną? Mam nadzieję, że serwują dziś zupę.

– Doreen, słuchaj, nie przejmuj się. Po prostu bądź sobą, okej? Jestem pewna, że wszystko się jakoś ułoży. Racja jest po twojej stronie.

Ale Doreen nawet jej nie słuchała.

– Jak cudownie, cudownie. Być młodym! Heidi, żyć bez żadnych wątpliwości. Wszyscy powinni mieć takie szczęście!

Co za fascynująca dziewczyna. Ta Doreen Gray.

Granatowe marynarki i kaszmirowe swetry łączyły się między lekcjami w zwarte grupki. Dzień był szary, pochmurny, ale Biz bez trudu dojrzała w tłumie Doreen. W czerwonym płaszczu, wielkich okularach przeciwsłonecznych i spektakularnym czarnym szalu wyglądała niczym ukrywająca się gwiazda filmowa.

– Doreen! Doreen! – zawołała Biz z okna pracowni astronomicznej, ale jej kuzynka szła dalej na skos przez kampus.

Biz zbiegła po schodach budynku nauk ścisłych i popędziła przez trawnik, żeby ją dogonić. Odkąd usłyszała o tragedii Simona Vale’a, zostawiła Doreen chyba sto wiadomości na poczcie głosowej, do tego mejle i esemesy. Dziś rano czekała nawet na nią przed klasą od historii sztuki, ale kuzynka nie pojawiła się na zajęciach. Biz ścisnęło się serce na myśl o jej rozpaczach. Znowu zawołała, ale Doreen zauważyła ją, dopiero gdy Biz dobiegła do niej i położyła rękę na jej ramieniu.

– Jezu, Elizabeth. Ty to masz ciężką łapę.

– Próbowałam... Zobaczyłam cię... Zbiegłam... – Biz sapnęła i uwiesiwszy się na płaszczu Doreen, usiłowała złapać oddech. – Czy ty...? Jak? Jak wszystko? Ja... Tak okropnie mi przykro. – Zarzuciła jej ręce na szyję. – Mogę sobie tylko wyobrazić, jak ci ciężko.

Doreen wyrwała się z objęć kuzynki.

– Pojęcia nie mam, o czym ty w ogóle mówisz, ale puść mnie, proszę. Nie czuję się najlepiej. – Ruszyła dalej szybkim krokiem, a Biz biegła obok.

– Oczywiście, to taka poważna sprawa. Biedny chłopak! Rozmawiałaś już z jego matką? Wiesz, jak on się czuje? Kiedy nie przyszłaś na historię sztuki, od razu się domyśliłam, że pewnie poszłaś go odwiedzić.

– Odwiedzić? A kogo miałabym odwiedzać o dziewiątej rano?

Biz próbowała spojrzeć jej w oczy, ale w ciemnych szklach okularów Miu Miu zobaczyła tylko swoją zdumioną minę.

– Jak to kogo? Simona Vale’a, oczywiście. Chyba słyszałaś, że... potknął się na moście po naszym balu?

– A, ty jeszcze o tym? Przecież to było całe wieki temu.

– Wieki temu? Doreen, to się stało wczoraj! Simon na pewno jest jeszcze w szpitalu, prawda? Jak się czuje? Wypuszczą go czy będą chcieli zatrzymać go na obserwację? Twoim zdaniem naprawdę chciał się zabić czy to było takie wołanie o pomoc? Tak sobie myślę, że może chciał tylko zwrócić twoją uwagę, choć to oczywiście nie twoja wina ani nic. Przecież nikt nie wini Jodie Foster za zamach na Reagana.

– Biz! Proszę cię!

Zatrzymały się przed internatem Doreen. Dziewczyna przesunęła okulary na

czubek głowy, odsłaniając czerwone, nieprzytomne oczy. Potarła czoło.

– Okropnie boli mnie głowa. Nad ranem wpadł do mnie Gordon, poszliśmy na całość, z szampanem i w ogóle.

Na kampusie ściśle przestrzegano zakazu opuszczania internatów po dwudziestej drugiej i jego złamanie groziło wyrzuceniem ze szkoły. Ale cisza nocna kończyła się oficjalnie o piątej, a o tej godzinie ochroniarze nie obchodzili już kampusu w poszukiwaniu uciekinierów, toteż wielu wykorzystywało ten poranny czas, by przemknąć się do łóżka kochanka. Wizyta poza godzinami odwiedzin była przestępstwem o wiele mniejszym niż nieprzestrzeganie ciszy nocnej, choć Biz zawsze uważała, że nastawianie sobie budzika, żeby zdążyć z odrobiną seksu przed lekcjami, to wyjątkowo żaloszny sposób na randkowanie.

– Gordon? Szampan? Ale jak to? Przecież biedny Simon jest jeszcze w szpitalu!

– Odpuść sobie ten oburzony ton, Elizabeth, dobrze? Sama powiedziałaś, że to, co się przydarzyło Simonowi Vale'owi, nie ma nic wspólnego ze mną.

– Czekaj, nie, powiedziałam tylko, że to nie twoja wina. Oczywiście, że to miało coś wspólnego z tobą. Doreen, przecież on cię kochał, prawda? Wydaje mi się, że on cię naprawdę bardzo kochał.

– To jego problem. – Doreen westchnęła. – Przepraszam, Biz, ale ja tu naprawdę śpię na stojąco. Muszę iść na górę i się położyć.

– A więc to właśnie robiłaś, zamiast iść na historię sztuki? Odsypiałaś? Gdy tymczasem Simon Vale walczy o życie w szpitalu?

Doreen znów westchnęła.

– Na razie, Biz – powiedziała i szybkim krokiem weszła do internatu.

– Doreen, zaczekaj! – Biz wbiegła za nią do West Hall. – Przepraszam. Słuchaj, chciałam pogadać o czymś jeszcze.

Miała wspaniałe wieści. Tydzień po tamtej chwili olśnienia w pracowni fotograficznej był najbardziej produktywnym czasem w jej życiu. Nagle coś zaskoczyło. Niemoc twórcza, w której była pogrążona jeszcze parę dni temu, minęła bez śladu. Praca szła świetnie. Lepiej niż świetnie. W najlepszych momentach, spoglądając na swoje dzieła, Biz zaczynała mieć nadzieję, że zbliża się do stworzenia czegoś pięknego.

Zresztą nie ona jedna to zauważyła. Kiedy pan Cameron zobaczył, nad czym Biz pracuje, zupełnie oniemiał. Z miejsca zaproponował jej pierwszą indywidualną wystawę fotografii. Odbędzie się w Douglas Hall podczas Tygodnia dla Rodziców. W galerii będzie w tym czasie wystawa zbiorowa, ale nauczyciel postanowił dać Biz własną przestrzeń. Powiedział, że jej prace są na zupełnie innym poziomie i że nawet lepiej dla jej koleżanek i kolegów z klasy, żeby ich zdjęcia nie wisiały obok jej fotografii.

– Niby to tylko szkolna wystawa, ale w Chandlerze nigdy się nie wie, kto

przyjedzie na Tydzień dla Rodziców. Może zrobi się z tego coś większego. Coś naprawdę mojego. – Biz szła za Doreen po schodach. – Szkoda, że nie słyszałaś, co powiedział o moim portfolio, Dorie. Naprawdę mu się podobało. Był przejęty. Powiedział, wiesz, nie chcę się chwalić, ale powiedział, że to genialne prace. Tylko że ja czuję, że w moim portfolio jest dziura. Wiem, masz mieszane uczucia co do tamtego zdjęcia, ale teraz, gdy minęło tyle czasu, pewnie już widzisz, jakie jest mocne. Pod względem kompozycji. A że pokasowałam wszystkie pliki na komputerze, tak jak ci to obiecałam, pomyślałam, że może masz jeszcze tamten wydruk.

W pokoju Doreen bez sił opadła na łóżko.

– Masz je, prawda? – spytała Biz, rozglądając się wokół.

– Co mam? O czym ty w ogóle mówisz?

– Kurczę, Dorie, ty naprawdę jesteś dzisiaj nieprzytomna. Mówię o tym zdjęciu, które ci wydrukowałam. Tym w czerwonej sukience. Chcę je pokazać na wystawie. Jest może tam?

Biz wysunęła górną szufladę biurka.

– Nie! – Doreen rzuciła się do biurka, zatrzasnęła szufladę.

Biz w ostatniej chwili odsunęła dłoń, by ocalić palce.

– Jezu, co w ciebie wstąpiło, Doreen?

– Nie mam tego zdjęcia, jasne? Podarłam je. Zniszczyłam. Spaliłam. Jednym słowem, przepadło, więc przykro mi, nie mogę ci pomóc.

– Przecież powiedziałaś, że tego nie zrobisz. Pamiętasz? Powiedziałaś, że zachowasz je sobie na pamiątkę.

– To było bardzo dawno temu, Biz. Po co miałabym trzymać jakieś głupie zdjęcie, które dałaś mi całe miesiące temu? Przykro mi, nie mogę pomóc, i naprawdę muszę się położyć. Nie czuję się najlepiej.

– Wydajesz się nieco... hm... rozdrażniona. – Biz uważnie obserwowała kuzynkę.

Doreen próbowała się zmusić do uśmiechu, ale zdobyła się jedynie na krzywy grymas.

– Jestem. Serio. Może jestem chora. To pewnie grypa. Jessica Feinberg, która mieszka na tym samym piętrze, ma już właściwie coś w rodzaju gruźlicy. Albo zapalenie płuc, więc wiesz, powinnam odpoczywać. Miło było pogadać. Pa, pa.

– Tak. Może lepiej odpocznij. Dużo przeszłaś przez te ostatnie dni. Pewnie ma to na ciebie większy wpływ, niż ci się zdaje. Pójdę do dyrektora i powiem mu, że nie będzie cię na popołudniowych zajęciach. Przyznam, że w sumie nawet mi ulżyło. Szczerze, to przestraszyłaś mnie, kiedy mówiłaś o tym tak, jakby w ogóle cię to nie ruszyło.

– Nie, nie. Po prostu duszę w sobie to wszystko. Wiesz, żeby jakoś przetrwać

ten koszmar. Ale prawda jest taka, że masz rację, Bizzy. Oczywiście, że bardzo to wszystko przeżywam. – I tak jak stała, w ubraniu zapakowała się do łóżka. – Tak, biedny Simon. Biedny, biedny Simon Vale.

*

Gdy tylko Doreen zobaczyła, że Biz wyszła na dziedziniec, wyskoczyła z łóżka i zaczęła krążyć po pokoju. To oczywiste, że nie może trzymać tego zdjęcia w szufladzie. Za dużo wścibskich ludzi wokół, wciąż ktoś wpadał z nienacką i szperał w nie swoich rzeczach. Katastrofy z Biz uniknęła przecież o włos. A jeśli Gordon będzie tu szukał prezerwatywy? Albo Heidi długopisu? Nie, nie. Biurko zupełnie się nie nadawało.

Otworzyła szafę. Może pudełko po butach? A może wetknąć zdjęcie do łyżwy czy coś? Nie, to zbyt blisko. Wciąż będzie czuła pokusę, żeby je wyciągnąć i patrzeć, co się dzieje z jej duszą, a to źle wpłynie na jej samopoczucie, nie mówiąc o tym, że może się skończyć katastrofą, jeśli ktoś ją na tym przyłapie. Pokój wydał się jej nagle nieznośnie mały, zupełnie odsłonięty – jakby każdy kąt i każda szuflada tylko czekały, żeby zdradzić jej tajemnicę.

„Dobra – pomyślała – czas działać”. Wyciągnęła skoroszyt z notatkami z literatury amerykańskiej i wysypała całą zawartość na łóżko. Nie patrząc na zdjęcie, wyjęła je z szuflady biurka i wpakowała do skoroszytu. Potem znalazła wielką kopertę z rodzinnymi zdjęciami. Wysypała je na łóżko i wsadziła skoroszyt do koperty, po czym porządnie zalepiła całość taśmą. Paczka wyglądała nieszkodliwie, ale Doreen i tak czuła bicie serca znajdującej się w środku fotografii. W koszu na papiery wciąż tkwiła czarna torba, w której Gordon przemycił dziś rano butelki szampana. Wyciągnęła ją, do środka wrzuciła kopertę i oblepiła wszystko resztką taśmy. Obmacała paczkę. Prezentowała się zupełnie niewinnie. Jak nic ważnego, jakiś śmieć. Samo ukrycie dowodu zdradzającego jej wstydlivy sekret dało jej poczucie siły i kontroli.

Następny krok – znaleźć jakąś skrytkę.

Na każdym piętrze internatu znajdowała się kłapa do zsypu. A skoro był zsyp, musiał być jakiś śmietnik – jakaś głęboka, śmierdząca dziura w piwnicy, gdzie mało kto schodził, a już na pewno nikt na dłużej.

Doreen wzięła paczkę pod pachę i ruszyła na schody. Zbiegła do piwnicy, pchnęła drzwi przeciwpożarowe i weszła do ciemnego betonowego pomieszczenia, gdzie piętrzyły się stosy śmieci. Śmierdziało tu wilgocią i zgnilizną, co wywołało wspomnienie weekendu, który spędziła z matką pod Dubuque w Iowa nad rzeką Missisipi. Przyjechały tam krótko po powodzi i w drodze do pensjonatu Doreen widziała wzdłuż pobocza potrzaskane meble, płyty gipsowe i wielkie sterty śmieci. Od tych zgniłych resztek śmierdziało grzybem i przez cały pobyt nie zdołały się uwolnić od tego smrodu – towarzyszył im wszędzie: w wymuskanym pensjonacie,

w restauracji, w kinie.

Doreen się otrząsnęła. Też pomyśl, żeby teraz myśleć o matce i jakiejś wycieczce sprzed lat! Musi się skupić, czas ucieka. Główne pomieszczenie nie nadawało się na kryjówkę, ale za nim były dwa mniejsze. Doreen zajrzała do tego na prawo. Znalazła na ścianie pstryczek i nad głową zamigotała świetlówka, ukazując jej oczom ciasne pomieszczenie pełne narzędzi, wiertarek i przedłużaczy. Smród zgnilizny łączył się z zapachem farby i oleju.

Ściany były nieotynkowane, spomiędzy drewnianych desek wystawała różowa izolacja. Ale to nie było bezpieczne miejsce, którego szukała. Coś zawsze się gdzieś psuje. Ktoś musi to coś naprawić, a wtedy ten ktoś schodzi tutaj. Wychodząc, Doreen wyłączyła górne światło.

Drugie pomieszczenie było mniejsze i ciemniejsze, oświetlone tylko pojedynczą słabą żarówką. Znalazła jakąś latarkę i dzięki niej mogła obejrzeć wnętrze. Był to chyba jakiś schowek na kable, plastikowe rury i inne śmieci. Pod ścianą leżały długie materace owinięte w folię. Doreen przepchała się między ramami łóżek na tyłach pomieszczenia. Na ścianie znalazła metalową drabinę, która zwisała z sufitu.

– Musi dokąś prowadzić – powiedziała, bo potrzebowała ludzkiego głosu, choćby własnego, by zebrać się na odwagę.

Nie dostrzegła żadnej klapy na suficie, ale mimo to zaczęła się wspinać z paczką pod pachą i latarką pod brodą. I rzeczywiście z bliska było widać, że w suficie znajduje się kwadratowy otwór zakryty tylko kawałkiem niepomalowanej dykty. Odsunęła ją bez trudu i weszła jeszcze o stopień wyżej, by móc poświecić latarką w mały schowek na górze. Leżały tam kilka bardzo zakurzonych koców i brudny szary papier, ale było oczywiste, że nikt tu nie zaglądał od bardzo dawna, może od lat. Doreen wyobraziła sobie, jak jej dusza tkwi w tej samotnej, wilgotnej ciemności, gdy tymczasem ona żyje pełnią życia, wykorzystując nowo zdobytą pozycję społeczną. Uśmiechnęła się do siebie. Idealne miejsce.

– By se można myśleć, że jak to są dziewczyny, to będą czyste i w ogóle – ryknął jakiś głos na dole.

Doreen szybko wczołgała się do schowka. Zasunęła dyktę i wyłączyła latarkę. Podkuliła kolana i skryła się za jakimiś starymi kocami. Powietrze było ciężkie od kurzu i smrodu gnijącej wełny. Wokół panowały nieprzeniknione ciemności.

– Ale te dzieciaki to są przyzwyczajone, że się za nie sprząta. A tylko coś im się zepsuje... na własne oczy widziałem... Buch! Do śmieci – ciągnął głos.

– No – odparł drugi, jeszcze bardziej opryskliwy. – Nawet mi nie gadaj.

– Gdybyś tylko widział, co oni tu wyrzucają. Komputer, bo im nawala jeden przycisk na klawiaturze. Ciuchy. Telewizory. Hej, ja nie jestem wybredny. Nie chcesz zabawek od tatusia, mała? Nie ma sprawy, chętnie je sobie zabiorę. Wezmę

na chatę albo gdzieś opylę. Sprzedałem raz gościowi z Radley skrzypce. Dał mi sto dolicz. Czysty zysk. Chwilunia, a czemu tu się pali światło?

Doreen usłyszała, że mężczyźni wchodzą do pomieszczenia pod nią. Usiłowała oddychać jak najciszej, ale w dusznym schowku wcale nie było to łatwe.

– Nieważne – ciągnął głos.

Doreen usłyszała zgrzytanie i huk kopanych i przesuwanych przedmiotów ledwie kilka metrów niżej.

– Zobaczmy. Aha, tu jest. Tego ci trzeba?

– Pokaż – powiedział ten bardziej opryskliwy. – Nic tu nie widać.

– Głowę bym dał, że miałem tu gdzieś latarkę – mruknął pierwszy.

Doreen zacisnęła dłoń na latarce.

– No słowo daję, że tu była.

– Chyba się nada. Pomóż mi go wytargać, dobra? – poprosił drugi.

Doreen usłyszała, jak sapią i pohukują na siebie nawzajem, wyciągając coś z pomieszczenia. Potem rozległ się dzwonek windy towarowej. A potem, niczym najpiękniejsza melodia – cisza.

Siedziała w milczeniu jeszcze dobre kilka minut, nim odważyła się poruszyć. Gdy w końcu była pewna, że jest bezpiecznie, włączyła latarkę. Ukryła paczkę pomiędzy zgniłymi kocami. Powietrze śmierdzące śmieciami i farbą wydało jej się rześkie i cudowne, gdy wreszcie odsunęła dyktę. Ostrożnie zasunęła ją za sobą i zbiegła po drabinie. Chciała zostawić latarkę tam, gdzie ją znalazła, ale potem pomyślała, że przecież mężczyzna jest przekonany, że ją zgubił.

Brzydząc się własnego brudnego ciała, popędziła w górę po schodach.

„A niech sobie tam zgnije na dobre – myślała, gdy zrywała z siebie śmierdzące ubrania i wskakiwała pod prysznic. – Niech się rozłoży i zupełnie zasmrodzi w tym okropnym schowku”.

Miała oczywiście na myśli swoją marną duszę.

Biz usiłowała ignorować paplaninę Heidi i skupić się na całkach, ale po prostu się nie dało. Rozwalona na kanapie Heidi nawijała bez przerwy już od kilku godzin. Wykonywała telefon za telefonem.

– Zlitowała się nad nim i zgodziła się z nim kilka razy wyjść. Wiesz, jaka kochana jest nasza Doreen. Wcale nie zadziera nosa ani nic, choć pochodzi z takiej rodziny. W każdym razie ledwie doszło do pierwszego pocałunku, a facetowi zupełnie odważyło. Zaczął do niej wydzwaniać, przychodzić na kampus, żeby na nią czatować. Nie miała wyjścia, musiała z nim zerwać. Czy go kochała? Przecież ona go ledwie знаła!

Z każdą opowieścią Simon stawał się coraz bardziej szalony, a Doreen wyrastała na bierną ofiarę.

– I jak on ją potraktował na balu?! To jednak była przemoc, można powiedzieć. W końcu jest sportowcem. Trenuje popychanie ludzi, na co dzień używa siły, żeby osiągnąć to, czego chce. Słucham? Nie, przecież nie mówię, że ją uderzył. W każdym razie ona nigdy nie wspomniała, że ją uderzył. Oczywiście ofiary przemocy domowej rzadko kiedy coś mówią.

– No już bez przesady – zawyła Biz.

Heidi posłała jej tylko miażdżące spojrzenie.

– Co? To kochane z twoje strony, Miyuki. Przekażę jej. Ach, wiesz, ona jest bardzo dzielna. I Gordon bardzo ją wspiera. Dobrze. Dobrze. Jasne, nawzajem. Pa!

– Rozłączyła się i ryknęła: – A ty jaki masz znowu problem?!

– Problem? Nie mam żadnego problemu. Mam tu problem matematyczny do rozwiązania, jeśli o to ci chodzi.

– Cały dzień wydajesz z siebie te krytyczne pomruki. Słuchaj, ja się tylko staram pomóc twojej kuzynce. Jeśli nie chcesz mnie w tym wesprzeć, to chociaż...

– Pomóc? Jak to niby pomaga? Kłamiesz! To, co o niej naokoło opowiadasz, to stek kłamstw.

– Wcale nie!

– Heidi, wmawiasz ludziom rzeczy o Doreen, które nie są prawdą. Taka jest definicja kłamstwa. I nie rozumiem, po co w ogóle to robisz, skoro przecież nie zrobiła nic złego.

– Ja nie kłamię. Ja zarządzam informacjami. Jeśli przestaniemy kontrolować tę historię, obróci się przeciwko niej. Mówię ci, wszyscy uwielbiają skandale z piękną dziewczyną w roli głównej. A najlepiej, jeśli ta dziewczyna się kompromituje. Ja tylko się upewniam, że ludzie dojdą do odpowiednich wniosków. Doreen nie miała obowiązku zapraszać Simona na bal, tak samo jak nie miała obowiązku pokazywać mu swojej bielizny. Ale ludzie nie mają litości, Biz. Czy naprawdę musimy poświęcić jej reputację tylko po to, żeby uratować twoje

poczucie ucziwości? Czy nie dość się już nacierpiała?

– Nie. Znaczy tak. Znaczy... grr! Od kiedy to walczysz o tytuł publicystki roku?

– Słuchaj. – Heidi dokładnie wiedziała, co jej powiedzieć, bo powiedziano jej to wtedy, gdy jeszcze była nikim. Odsunęła zasłonę i wyjrzała przez okno na dziedziniec. Pamiętała słowo w słowo wykład, który Roland strzelił jej trzy lata temu, gdy pędzili porsche na przyjęcie do Bridgehampton. – Najważniejsze na tym świecie – powiedział jej wtedy, a teraz ona powtarzała to wiernie jego siostrzenicy – jest to, jak postrzegają cię ludzie, którzy się liczą. Percepcja to rzeczywistość. Panuj nad własną historią, dbaj o swój wizerunek, o to, jak widzą cię inni, a potem już tylko zbieraj plony. Gdy stracisz kontrolę nad swoją historią, stracisz wszystko.

– Naprawdę w to wierzysz? – Biz się zdumiała.

– Mmm?

– Percepcja to rzeczywistość. Naprawdę w to wierzysz? Bo jeśli tak, to bardzo mi ciebie żal.

*

Kampania PR Heidi zadziałała jak marzenie. Po incydencie z Simonem Doreen stała się najbardziej uwielbianą dziewczyną na kampusie. Królową. Jej dworem była stołówka. Siedziała na samym środku, między swoimi najbardziej entuzjastycznymi fankami Mishą i Miyuki (Heidi i Doreen nadały im po cichu wspólny przydomek Mi-Mi's), a motłoch podchodził, pokornie czekając na swoją kolej, by usłyszeć, co Doreen ma do powiedzenia. Każde jej słowo było na wagę złota. Tym razem na przykład na lunchu podeszła do niej Chastity Thibo-deaux. Jej chłopak pojechał bez niej na rodzinny ślub. Doreen oświadczyła, że to zniewaga nie do wybaczenia.

– Słuchaj, Chastity, to oczywiście twoja sprawa, co z tym zrobisz, ale chcesz wiedzieć, co ja na ten temat uważam? Mogła-byś znaleźć lepszą partię. Graham Weaver naprawdę nie jest ciebie wart.

– Serio tak myślisz, Doreen?

– Mogę prosić sól? – odezwała się Heidi.

Dużo by dała, żeby wiedzieć, co właściwie knuje Doreen. Graham Weaver pochodził z jednej z najstarszych i najbogatszych rodzin. Jego ojciec był senatorem. Jeśli on nie był wart Chastity, to niby kto był?

– Oczywiście. Gra niewarta świeczki. Zresztą czy to aby nie pachnie rasizmem? Zerwij z nim i tyle. Ty... jesteś przecież naprawdę niesamowita! Wiesz, wystarczy kilka drobnych zmian... Może spróbowałaś przefarbować się na blond? Platyna! Co myślisz, Miyuki?

– Genialny pomysł.

– Przecież jestem czarna – wydukała zaskoczona Chastity.

– I właśnie o tym mówię, Chastity! Skąd ten pomysł, że skoro jesteś czarna, to już nie masz prawa poszaleć z kolorem? Spójrz tylko na Miyuki! Jest Japonką, a jej fioletowe przedłużenia to kompletny odlot. – Doreen przybiła piątkę z Miyuki.

– Się rozumie – powiedziała Miyuki i ostentacyjnie machnęła włosami.

– Ale, ja tylko... Nie widzę... – Chastity dotknęła swoich wyprostowanych włosów z zaniepokojoną miną.

– Powinnaś popracować nad swoją pewnością siebie, Chastity. Wyczuwam kompleksy.

– Sól – powtórzyła Heidi.

– Tylko że jak ostatnim razem próbowałam się farbować, to włosy mi powypadały. Wiesz, one są naprawdę ciemne.

– Hmm. Jak już mówiłam, to twoja decyzja. Tylko że jeśli szukasz chłopaka z górnej półki, to wiesz... – powiedziała Doreen i machnęła dłonią, jakby była już zbyt zmęczona, by dokończyć zdanie.

– Potrzebujesz włosów z górnej półki – dokończyła za nią Misha.

Heidi wstała i przeszła na drugą stronę stołu po sól. Kiedy wróciła, na jej krześle właśnie sadowiła się jakaś dziewczyna.

– Przepraszam bardzo! Znikaj stąd! – Doreen aż wstała. – To miejsce Heidi, Cynthio! Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? – Z wściekłości zrobiła się czerwona na twarzy i walnęła dłonią w blat.

– Przepraszam, Doreen.

– Nie przepraszaj mnie, ty idiotko. Przeprasz Heidi.

– Przepraszam, Heidi.

– E, nie ma sprawy. I tak mam spotkanie z wychowawcą. – Heidi wzięła jogurt ze swojej tacy.

– Super! – Cynthia się ucieszyła i znów siadła na jej -miejscu.

– Tobie się wydaje, że możesz sobie tu teraz usiąść? Po czymś takim? Wynocha, Cynthio. I to już! Znajdź sobie jakieś inne miejsce. A z tym rumieńcem wyglądasz jak klaun.

Cynthia odeszła potulnie niczym zbesztane dziecko, a kiedy Doreen znowu zwróciła się do Chastity, jej głos był kwint-esencją słodczy.

– Przepraszam na chwilę. Zaraz wrócę.

Odciągnęła Heidi na stronę.

– Strasznie cię przepraszam. Te zdziry w ogóle nie potrafią się zachować.

– Nie ma sprawy. – Kątem oka Heidi zauważyła Biz. Siedziała sama z książką i croissantem z indykiem.

– Na pewno? Wiesz, że wystarczy jedno twoje słowo, a powiem im wszystkim, żeby spadały. – Doreen spojrzała na nią współczująco, a potem rozejrzała się po sali.

– Y, nie. Spoko – zapewniła ją Heidi, ale nie mogła uwierzyć w to, co

ośmiela się sugerować przyjaciółka.

Że niby ona, Heidi, potrzebuje wstawiennictwa Doreen? To po prostu śmieszne!

– Chyba masz świadomość, że gdybym tylko chciała, mogłabym zgnieść Cynthię Stern jak szminkę, prawda?

– Nie no. Oczywiście! – przytaknęła Doreen. – Nie sugerowałam przecież...

– Po prostu mam to w nosie. Zresztą zdaje mi się, że jesteś zajęta. A tak swoją drogą: jeśli Chastity się utleni, będzie wyglądała żałośnie.

– Przecież wiem – powiedziała Doreen z szaleńczym uśmiechem na twarzy.

– Co ty knujesz?

– Wpadnę do ciebie po południu i wszystko ci opowiem. To przezabawne. Zresztą i tak musimy pogadać o feriach zimowych. Tylko czekaj, aż ci pokażę niesamowite bikini, które kazałam kupić Gordonowi. Kosztowało fortunę! Biedny kretyn nadal się ludzi, że leci z nami na Hawaje. – Przewróciła oczami i pocałowała Heidi w oba policzki na pożegnanie. – Na razie!

– Dobra. Na razie.

Heidi pomachała jeszcze do Biz i przepchała się między stolikami, żeby wyjść na dziedziniec.

Wszystko szło według jej planu. Doreen była supergwiazdą. Piękną, wyrachowaną mistrzynią manipulacji. Uosobieniem wszelkich nauk Rolanda. Oczywiście nie miała o tym pojęcia, ale stała się dokładnie taką dziewczyną, jaką Roland Gibbons by podziwiał. Wykorzystując wiedzę nabytą u ojca, Heidi zrobiła gwiazdę Chandlera z córki. Kółeczko się zamknęło i to dawało jej ogromne poczucie satysfakcji. I wcale nie tęskniła za swoją starą posadą. Po dwóch latach panowania nad całym kampusem Heidi z ulgą przekazała swoich poddanych nowej pani. Tym bardziej że była pewna, iż Doreen będzie ją na bieżąco informowała o wszystkich swoich małych intrygach.

Z nieba zniknęły resztki błękitu, zostawiając tylko bawełnianą biel, przez którą nawet południowe słońce nie dawało rady się przedrzeć. Heidi skręciła na ścieżkę za na wpół zamarzniętym stawem i skierowała się w stronę biur administracji szkoły. Gdy tylko weszła do środka, próbowała rozgrzać sobie uszy dłońmi. W budynku była winda, ale Heidi jak zawsze wolała wejść po schodach, by przy okazji spalić kilka kalorii. Gdy pięła się w górę, znów zaczęła sobie wyobrażać, co by się stało, gdyby Roland zobaczył teraz Doreen. Co by powiedział, gdyby ta maskara, którą porzucił przed bramą Chandlera, pojawiła się przed nim jako ideał piękna?

Heidi znalazła pokój swojego wychowawcy i zgodnie z poleceniem sekretarki siadła na plastikowym krześle pod drzwiami, żeby poczekać na swoją kolej. Zamknęła oczy i puściła wodze fantazji – lubiła wyobrażać sobie tę chwilę, gdy Doreen wreszcie powie swojemu ojcu, co o nim myśli. Jak cudownie będzie,

gdy go odtrąci, tak jak on odtrącił ją – i Heidi. Roland Gibbons zostanie sam, z żalną szklaneczką szkockiej na pocieszenie, bo Doreen powie mu bez ogródek, co może sobie zrobić ze swoją spóźnioną ojcowską miłością.

Po życiu pełnym rozczarowań Roland będzie musiał przyjąć do wiadomości, że piękno, którego szukał w żonach, dzieciach, obsesyjnym kupowaniu dzieł sztuki, stoi przed nim w postaci jego pierworodnej. A wtedy Doreen powie mu, nie przebierając w słowach, żeby spływał.

Heidi aż zachichotała. Sekretarka powiedziała, że może już wejść.

– Jestem pełen optymizmu – oświadczył wychowawca. – Uważam, że stać cię na wielkie rzeczy. Zacznijmy od najlepszego uniwersytetu. Nad którym się zastanawiałaś?

Na stole rozłożył kilka lśniących broszur: Harvard, Princeton, Stanford, Northwestern. „To jest to – pomyślała Heidi. – Dopiero teraz wszystko się zaczyna”. Miała ochotę piszczeć z radości! Zatańczyć! Podskakiwać! Gdy tylko wyszła od wychowawcy, zadzwoniła do Petera.

– Świetne wieści, mała. Byłoby super, gdybyś studiowała w Cambridge, choć już się boję, jakie będziesz miała spustoszenie wśród tych kochliwych facetów z Harvardu. Będę cię musiał trzymać za ogrodzeniem pod napięciem, najlepiej wysokim, żeby od razu skutecznie grillować każdego, kto się do ciebie zbliży.

– Są dziewczyny, które uznałyby cię za zaborczego, ale ja oczywiście uwielbiam, gdy traktuje się mnie jak psa.

– Nie traktuję cię jak psa. Traktuję ich jak psy. Ty jesteś raczej domem, którego muszę bronić.

– Ale jesteś romantyczny.

– Żebyś wiedziała. No nic, muszę lecieć. Mam dziś test z metafizyki.

– Na pewno? A może to jakaś tajemnicza istota razi twój mózg elektrodami, żebyś myślał, że idziesz na test z meta-fizyki? Nigdy nie wiadomo.

– Czy to był żart filozoficzny? Z ust licealistki? Jesteś boska.

– A może z ust bogopodobnego, uzbrojonego w elektrody potwora. Powodzenia na teście.

Heidi rozłączyła się z radością w sercu. Peter Standish wiedział o niej prawie wszystko, a mimo to chciał z nią być. Rozumiał ją. Śmiali się razem, snuli wspólne plany. Heidi Whelan, która nigdy wcześniej nigdzie nie czuła się naprawdę u siebie – ani w rodzinie, ani w starej szkole, ani w Chandlerze – nagle poczuła, że jest na swoim miejscu. Po raz pierwszy w życiu rozumiała, co znaczy szczęście.

*

Przez ostatnie tygodnie semestru Doreen rozkoszowała się zaletami swojego nowego statusu. Jej gardło przyzwyczało się do smaku zimnych, świeżych ostróg popijanych najlepszymi szampanami. Jej ramiona wtulały się w kaszmiry i ręcznie

szyte włoskie skóry. Jej piersi kryły się w genialnie zaprojektowanej bieliźnie i pachniały rzadkimi francuskimi perfumami. Czekano na nią, pochlebiano jej, wielbiono ją, rozpieszczano. W prywatnym samolocie z Nowego Jorku na Hawaje Coburn Everbock karmił ją świeżym sushi i zapewniał, że jest jego cudem.

Tamta biedna, zagubiona tłuścioszka, która kryła się w sali od chóru, żeby coś zjeść w spokoju, nie mogła być tą wspaniałą istotą rozłożoną na piasku w prywatnym tropikalnym raju. Ta samotna uczennica spędzająca wieczory z matką na pieczeniu pizzy z uśmiechami z pomidorów nie mogła mieć nic wspólnego z tą fioletowooką pięknoscią z burzą czarnych włosów, którą wożono limuzynami, zabawiano w apartamentach na Piątej Alei i tu, na wybrzeżu Pacyfiku. Synowie bogaczy padali u jej stóp i błagali, by została. Ale zawsze odchodziła. Rozumiała, jak potężną moc zyskuje, pozostając nieosiągalną, zostawiając swoich wielbicieli z niezaspokojonym apetytem. Heidi była dobrą nauczycielką.

Idealna, krystalicznie czysta woda obmywała pomalowane paznokcie Doreen. Na urwisku nad nią wznosił się pałac z betonu i szkła. Należał do Standishów.

– Co to za wąż wyleguje się w słońcu? – zażartowała Heidi.

Zeszła na plażę kamiennymi schodami, które prowadziły tu wprost z domu. Było wcześniej rano. Peter i Coburn jeszcze spali. Kiedy wybierała się na poranną przebieżkę, myślała, że Doreen też śpi. Ucieszyła się, gdy zastała ją wyciągniętą na piasku w bikini Missoni. Właśnie dostała pewną wiadomość z New Hampshire i nie mogła się doczekać, kiedy podzieli się nią z przyjaciółką.

– Próbowalam spać, ale nie mogłam się oprzeć oceanowi – odparła zaspanym głosem Doreen. – Jest wspaniały, prawda? Ci, którzy mówią, że szczęścia nie da się kupić, pewnie nigdy nie mieli dostępu do prywatnej plaży w Kauai, nie?

– Prawda, Coney Island to to nie jest. – Heidi zsunęła tenisówki. Miała na sobie krótkie spodenki do biegania i sportowy stanik. Jej umięśniony brzuch lśnił od potu.

– Jak ty to robisz, Heidi. Wczoraj wychlałaś chyba z dziesięć mojito, a dziś wyglądasz świeżo i promiennie.

– To kwestia pozytywnego nastawienia. – Heidi siadła przy Doreen. – A może po prostu miłość. – Złapała dłońmi stopy, żeby rozciągnąć mięśnie ud.

– Co takiego? Miłość? Czyżbyś się zakochała, Heidi Whelan? Myślałam, że to niemożliwe!

– Dlaczego nie? Też jestem człowiekiem.

Gdy wieczorem pożegnali się z Coburnem i Doreen, Peter zaprowadził Heidi za rękę do głównej sypialni. Dom był niezwykle nowoczesny, wykwintnie umeblowany – surowe drewno, metal i plastik. Betonowa podłoga w sypialni była niczym nieosłonięta i zimna w dotyku. Okna zajmowały całą ścianę. Kochali się,

patrzając na ocean.

– Gratulacje, moja droga. Facet jest uroczy. I bogaty! Czy ty widziałas apartament pokojówki? A tę lodówkę na mięso? Trudno byłoby znaleźć chłopaka z większą kasą. Muszę przyznać, że nie czuję chyba za wiele do jego przygłupiego kolegi, ale ma przyjemną energię, nie sądzisz? – Doreen ziewnęła. – Czy my naprawdę musimy wracać do tego ponurego New Hampshire? Tam wciąż jest zima, prawda? To nie do pomyślenia.

– Tak, zima jest do bani. Ale bez niej nie byłoby grzańca. A czym byłoby życie bez grzańca po nartach?

– Mmm. Ale chce ci się wracać do Chandlera? I co my niby mamy tam robić? Uczyć się o cosinusach? To jakiś absurd.

– *À propos* Chandlera. – Heidi stanęła na jednej nodze, a drugą przyciągnęła sobie do tyłu głowy. – Dzwoniła dziś do mnie twoja kuzynka.

– Brr. Przepraszam. Po prostu, o matko, straszna z niej nudziara, no nie?

Ostatnio Doreen już w ogóle nie miała cierpliwości do Biz. Działo jej na nerwy każde jej słowo. Była dla niej dość oschła, żeby nie powiedzieć: niegrzeczna. To prawda, że Biz nie była może najbardziej prestiżowym towarzystwem, ale zachowanie Doreen wydawało się nieco przesadzone, szczególnie że Biz naprawdę ją uwielbiała, z czego zresztą wynikał cały problem. Biedna Biz. Oczywiście Heidi cieszyła się, że jest tą fajniejszą współlokatorką, miała jednak nadzieję, że ten brak cierpliwości do Biz jest u Doreen chwilowy. Biz była po jasnej stronie mocy.

– Trudno mi się wypowiadać na ten temat, słońce, ale miała do przekazania coś ciekawego. Siedzi w kampusie od świąt.

– Oczywiście.

– Przygotowuje się do wystawy, która będzie w marcu. W każdym razie jakiś tydzień temu pojechała do miasta, bo siadły jej baterie w jednej z tych jej zabawek.

– Proszę, powiedz, że to był wibrator – zażartowała Doreen z kpiącym uśmiechem. – Czy to by nie było wspaniałe? Dla nas wszystkich?

– Cokolwiek to było, wszystko pozamykano z powodu świąt, więc musiała pojechać aż do sklepu żelaznego w Hamilton. I zgadnij, kogo zobaczyła za ladą? – Heidi puściła stopę i stanęła na obu nogach, wbijając wzrok w Doreen.

Doreen westchnęła i założyła sobie ręce za głowę.

– Pojęcia nie mam, Heidi, i szczerze mówiąc, jest mi to zupełnie obojętne. Sklep żelazny w Hamilton w New Hamp-shire... To raczej dość banalny temat do poruszania w tak olśniewającej... Czeka! – Doreen aż usiadła. Podniosła okulary przeciwsłoneczne i spojrzała na Heidi.

– Simona Vale'a – potwierdziła Heidi. – Pracuje tam. Oczywiście nie wiedział, kim ona jest, ale Biz mówi, że od razu go rozpoznała. Twierdzi, że facet

cały napuchł od leków.

– Napuchł? Znaczący co? Jest gruby?

– No. Te prochy tak robią. Do tego batoniki z automatu, zero ćwiczeń, białe pieczywo. W każdym razie Biz mówi, że chłopak wygląda jak zombie. Sprzedaje żelastwo okolicznym złotym rączkom. Żalodne.

– Trudno mi to sobie wyobrazić. – Doreen wpatrywała się w morze.

– Spytała go nawet, czy chodzi do Hamilton High. Nasza mała Biz umie zdobywać informacje, jeśli zechce! Nie jesteś z niej dumna? Ale powiedział, że już nie chodzi do szkoły.

– Rzucił szkołę?

– Tak powiedziała. I jeszcze, że w tym stanie pewnie nie dałby rady się uczyć.

– Mogę być z tobą szczerą, Heidi?

– Jasne!

– Powinam coś poczuć na tę wiadomość, tak? Wiem, że powinam coś czuć. Ale tu? W tej scenerii... Może po prostu jestem zbyt daleko od tego wszystkiego. Siedzę tu i próbuję sobie wyobrazić Simona Vale'a, grubego i nafaszerowanego lekami, ale tak naprawdę potrafię myśleć tylko o tych przepysznych truskawkach i ananasach, które będziemy jeść na śniadanie.

– Trudno w tych warunkach nie stracić poczucia rzeczywistości.

– Ale sama powiedz. Co ja niby powinam czuć? Żal? Tęsknotę? Może powinam mieć wyrzuty sumienia? Wyrzuty sumienia tylko odbierają radość z życia. Tak, kochałam go, ale to schrzanił. Nie wiem, co to może mieć wspólnego ze mną teraz. Rozpamiętywanie przeszłości to okropna strata czasu. Tak czy siak, pora trochę się zanurzyć, straszny upał.

Doreen rozwiązała sarong i wbiegła do oceanu. Heidi patrzyła, jak głowa przyjaciółki pojawia się i znika między falami. Jak łatwo przeszła nad tą wiadomością do porządku dziennego. Ale czy nie miała racji? Co by to komu dało, gdyby Doreen zamartwiała się teraz czymś, na co nie ma wpływu? Tylko by dostała od tego zmarszczek. Po prostu zerwała z chłopakiem. Pewnie już przedtem był niestabilny emocjonalnie. Gdyby nie Doreen, trafiłoby na inną dziewczynę. A jednak coś w tym wszystkim coraz bardziej niepokoiło Heidi.

„Jaki ojciec, taka córka”, przebiegło jej przez głowę, ale zaraz zganiła się za tę myśl. Doreen była sto razy lepsza od Rolanda, tego Heidi była zupełnie pewna. Albo w każdym razie dość pewna. Albo może prawie pewna.

Słońce grzało tak przyjemnie.

– Jak woda?! – zawołała do Doreen.

Ściągnęła szorty.

– Idealna! – odkrzyknęła Doreen. – Po prostu idealna!

I miała rację.

Na odległej boliwijskiej wsi stara *camioneta* pędziła pełną zakrętów, koszmarną górską drogą prowadzącą do La Paz. Na pace, przycupnięta na wielkim worze z ziarnami, Jane Vale trzymała się mocno, gotowa na wyboje. Wpatrywała się prosto przed siebie, żeby nie spoglądać w śmiertelną otchłań rozpościerającą się między urwiskami.

Starala się nie bać. Czy to możliwe, że jeszcze dziś rano obudziła się w chacie rodziny, u której mieszkała, zjadła na śniadanie jajka i banany i szykowała się na kolejny dzień pracy we wsi? Czy to możliwe, że minęło zaledwie parę godzin, odkąd usłyszała słowa „*emergencia*” i „*hermano*”? Odkąd rzuciła wszystko, spakowała się, by wrócić do Simona? Zdawało jej się, że minęły wieki. Jakby ten poranek przydarzył się jakiejś innej, radośniejszej, beztroskiej dziewczynie.

Camioneta wzięła kolejny, jeszcze ostrzejszy zakręt. Jane przymknęła oczy.

To się zaraz skończy. Za kilka godzin będzie w samolocie do Miami, a stamtąd do Bostonu. Ta piękna okolica, którą zwą tu *campo* – rozległa, sucha, o małych drzewkach i pięknych niebieskich górach – czy jeszcze kiedyś ją ujrzy? Kiedy Jane zgłosiła się na ochotniczkę do Korpusu Pokoju, myślała, że to ją zmieni i że największy wpływ będą mieli na nią ludzie, którym pomoże. Ale choć była zadowolona z pracy, odkryła, że najbardziej wstrząsnął nią krajobraz. Po dzieciństwie w ciasnym domku, w ciasnej dzielnicy, w mieście o ciasnych horyzontach jej dusza odżyła w tej przestrzeni.

Gdyby tylko mogła zabrać tu ze sobą Simona. Gdyby i on mógł uciec z Leaving Place, zobaczyć, jak wielki jest świat – ale o tym nie było warto nawet myśleć. Otworzyła oczy. „Chłoń to, zapamiętaj na całe życie”. Jej serce przepełniał wielki smutek, jakby na zawsze żegnała się z bliskim przyjacielem.

Już było widać pojedyncze domy. Zbliżali się do La Paz. Do tyłu. Cofała się. Czowała w ustach smak porażki.

*

Lekarz Simona uznał, że szkoła może być zbyt dużym wysiłkiem, a o futbolu nawet mowy nie ma. Ale dobrze mu zrobi jasny harmonogram dnia, powiedział, więc Jane i matka postanowiły, że powinien stanąć za ladą. Wreszcie jakaś korzyść z tego, że sklep nie miał zbyt wielu klientów – dzięki temu praca nie przerastała nawet chorego.

Z początku zdawało się, że plan nie jest zły. Wprawdzie Simon nie odzyskał dawnej pogody ducha, ale wyglądało na to, że koncentracja na prostych zadaniach dobrze mu robi. Jane dopatrywała się małych kroków naprzód – jakiegoś pojedynczego uśmiechu, kaprysu. Pewnego wieczoru przed świętami, kiedy

przyszła po niego do sklepu, spytał: *Jak tam życie, Janey-Jane?* takim głosem, jakby znów był jej ukochanym bratem, i Jane mało się nie popłakała z powodu ulgi.

Ale takie przebliski nadziei były boleśnie rzadkie. Przez większość czasu snuł się w milczeniu, ciężki ciałem i duchem. Prawie nigdy się nie śmiał, nie żartował z nią. Uściski przyjmował tak jak wszystko teraz – zawsze bierny, niewzruszony. Jane łapała się na tym, że większość czasu spędzała na nieświadomej modlitwie. „Boże, spraw, żeby dziś się uśmiechnął – błagała. – Żeby dziś się zaśmiał”. Raz, gdy siedzieli na kanapie po kolacji, ujęła jego niegdyś tak piękną twarz w dłonie i spojrzała mu głęboko w oczy.

– Wiem, że tam jesteś, braciszku – szepnęła.

Zamrugął ze stoickim spokojem zza chemicznej mgły. Przysunęła jego twarz jeszcze bliżej swojej.

– Wiem, że mój Simon gdzieś tam jest i że wyjdzie, gdy będzie gotów. Silniejszy niż kiedykolwiek przedtem.

Kiedy go wreszcie puściła, poklepał ją lekko po kolanie i zmienił kanał.

Doreen Gray. Jane dobrze wiedziała, kto był odpowiedzialny za to, co się stało z jej bratem, i postanowiła sobie, że gdy tylko z Simonem będzie ciut lepiej, zaplanuje zemstę. Oczywiście wrzuciła jej nazwisko w Google'a, ale nie wyskoczyły żadne zdjęcia. Jak to możliwe, że nie ma jej nigdzie w internecie? Nie należała do żadnych klubów. Nie było o niej wzmianki w żadnej lokalnej gazecie. Nie miała profilu na żadnym portalu społecznościowym. Wraz z narastającą wokół Doreen Gray aurą tajemnicy, rosła także nienawiść Jane. Kim była ta dziewczyna, która tak skrzywdziła jej brata? Czy w ogóle istniała? Może Simon widział ducha?

Aż w końcu pewnego styczniowego dnia Jane podrzuciła Simona do sklepu w drodze do biblioteki, w której odrabiała pracę domową na kurs online. W południe jak zawsze wróciła do sklepu, żeby zjeść z bratem lunch i sprawdzić, jak poszła sprzedaż. Zobaczyła, że Simon obsługuje jakąś klientkę. W pierwszej chwili nie zwróciła na nią większej uwagi, poszła na zaplecze po kanapki z indykiem, które zapakowała rano. Kiedy wróciła, klientka wciąż stała przy ladzie, trzymając w dłoni jedną z papierowych torebek, w które pakowali śrubki i inne drobiazgi. Była to nastolatka, chyba z Chandlera, co Jane odgadła po fantazyjnym ubraniu i opasce na włosach.

– To powinno wystarczyć – powiedziała dziewczyna. – Dziękuję za pomoc, Simonie.

Jane odwinęła folię z kanapek i otworzyła torbę z chipsami. Rozległ się dzwonek przy drzwiach, bo dziewczyna wyszła ze sklepu.

– Chcesz coś do picia? – spytała Jane, ale Simon nie odpowiedział. – Hop, hop? Simon? – Spojrzała na brata i zobaczyła na jego twarzy coś, czego nie widziała nigdy przedtem. Jakby najgorszy ból i szaloną radość zarazem. – Simon?

– powtórzyła.

W dłoni kurczowo ścisnął dolarowy banknot, który dostał od klientki. Jane nie miała już wątpliwości, że był to tylko pretekst, by przyjść tu i pogapić się na jej biednego braciszka. Banknot drżał w jego dłoni, a on stał nieruchomo i patrzył gdzieś przed siebie.

Jane wyskoczyła zza lady i bez płaszcza wypadła na zimowy wiatr. Czarne kręcone włosy i czerwony płaszcz. Tyle zapamiętała. Och, dlaczego nie zwróciła na nią większej uwagi? Popędziła Main Street w stronę kampusu Chandlera, lecz dziewczyna – ta podła wiedźma, która zmieniła jej wspaniałego brata w bełkoczącego półgłówka – już zniknęła. W pierwszej chwili Jane chciała pędzić za nią aż na kampus, żeby wydrapać jej oczy i utopić ją w tym głupim stawie.

Ale wreszcie zobaczyła Doreen Gray. A skoro widziała ją raz, już ją znajdzie. Schowała dłonie w rękawy swetra. Był zrobiony z wełny alpaki, typowy andyjski wzór. Dostała go w prezencie od rodziny, u której mieszkała w Boliwii. Doreen Gray odebrała jej wszystko! Brata, przyszłość – wszystko, co Jane kochała, zostało zniszczone lub zniknęło na zawsze. Ale dziewczyna jeszcze jej za to zapłaci – co do tego Jane nie miała żadnych wątpliwości. Musi tylko uzbroić się w cierpliwość. Starannie wszystko zaplanować.

*

Jane zatrudniła się w bibliotece Chandlera do układania książek na półkach. Była tak drobna, że właściwie nie nadawała się do tej roboty – wciąż musiała targać drabinę nawet tam, gdzie każda inna osoba mogłaby sięgnąć bez trudu. To była kolejna rzecz, której jej brakowało. W Boliwii wszyscy wydawali się niscy, przez co nie czuła się taka mała. Lecz choć nie była to wymarzona praca pod względem fizycznym, Jane uważała, że to idealny sposób, by móc śledzić uczniów Chandlera i namierzyć tajemniczą Doreen Gray. Przemykając między regałami, zawsze miała oko na stoły do czytania i wygodne fotele. Nieustannie wypatrywała kruczowłosej, bladej dziewczyny, którą widziała przez moment w sklepie.

Jednak dziewczyna jeszcze ani razu nie pojawiła się w bibliotece.

Może Jane poddałaby się po kilku tygodniach, ale nazwisko Doreen Gray wciąż było na ustach wszystkich w Chandlerze – nawet w pozornie cichej bibliotece. Wciąż ktoś o niej mówił, jakby stała za wszystkim, co działo się na kampusie. *Doreen radziła mi, żebym zrobiła X. Doreen mówi, że powinnam zrobić X. Czy ty widziałaś, co Doreen miała dziś na sobie? Widziałaś Doreen?* Jane wiedziała więc, że to tylko kwestia czasu i w końcu ją zobaczy.

Pewnego popołudnia stała na drabinie i układała alfabetycznie książki z działu historii Anglii, kiedy usłyszała rozmowę przez telefon. Ktoś rozmawiał przez komórkę po drugiej stronie regału. Takie łamanie regulaminu było typowe dla zarozumiałych uczniów Chandlera, Jane już się do tego przyzwyczyła.

– Heidi – syknął głos szeptem. – Przestań wydzwaniać, dobrze? Jestem w bibliotece i... – Głos urwał. Dziewczyna słuchała. – Co?... Serio? Żartujesz? Wujek Roland? Oczywiście, że możesz wziąć z szafy, co ci tam pasuje. Doreen jest z tobą? Ale musi być przejęta.

Jane zamarła na dźwięk tego imienia. Czy to ta sama Doreen? Chyba mało prawdopodobne, by w szkole było więcej dziewczyn o tym imieniu. Odłożyła stos książek na górną półkę i zeszła po drabinie. Cicho obeszła regał i przykucnęła za rogiem, kątem oka obserwując dziewczynę rozmawiającą przez telefon.

– Lunch w Bostonie. Wow. Okej. Okej, zaraz wracam. Tylko... Dobra, dobra. Powiedz Doreen, że już lecę.

Jane знаła tę dziewczynę. Nawet wiedziała, jak się nazywa: Elizabeth Gibbons-Brown. Najwierniejsza użytkowniczka biblioteki. Nieraz słyszała, jak obsługa o niej plotkuje. Bogata dziewczyna z jakiejś niezwykle ważnej, starej rodziny, która przedkłada książki nad towarzystwo innych uczniów. Czytała zachłannie, dłońmi podpierała policzki i przywierała wzrokiem do stron, jakby czerpała z nich życiodajną energię. Nigdy nie rozmawiała z innymi uczniami, choć przecież część musiała znać. I nigdy nie miała dość.

Fascynowała Jane. Kiedy ta nie planowała zemsty na Doreen Gray, czasem wyobrażała sobie, jak by to było zaprzyjaźnić się z Elizabeth Gibbons-Brown. Oczywiście gdyby taka bogaczka kiedykolwiek w ogóle zniżyła się do poziomu biednej dziewczyny z miasta takiej jak ona.

Teraz Elizabeth rozłączyła się i rzuciła z powrotem do stołu, przy którym siedziała od wczesnego ranka. Jane obserwowała zza regału, jak pakuje papierzyska i zeszyty do plecaka, zakłada zbyt duży wełniany płaszcz i mknie do drzwi. Jane pobiegła do biura biblioteki, chwyciła andyjski sweter i czapeczkę z alpaki.

– Przepraszam... yyy... pilne sprawy rodzinne... – rzuciła do pani Turner, grubej, zezowatej szefowej, która siedziała przy biurku, pałaszowała karmelowy popcorn i układała pasjansa. – Wracam za pół godzinki, dobra?

Pani Turner coś odburknęła, ale Jane już nie było w bibliotece. Zupełnie spanikowała, że straci Elizabeth z oczu, tak jak wcześniej zgubiła Doreen. Ale gdy tylko wybiegła na dziedziniec, od razu ją zobaczyła, więc zachowując bezpieczną odległość, podążyła za nią przez kampus. Zamarznięta trawa chrzęściła pod ciężkimi butami, a z jej ust wydobywały się obłoczki pary. Nie zwracała jednak uwagi na zimno. Wzrok skupiła na celu.

Dotarły do internatu i Elizabeth otworzyła sobie drzwi wejściowe. Jane przystanęła za dużym dębem. Oczywiście nie miała karty uprawniającej do wejścia do budynku, ale to nie miało znaczenia.

Będzie po prostu trwała na stanowisku. Opierała się o pień drzewa. Słabe zimowe słońce skryło się za gęstymi chmurami. Na dziedzińcu zapaliły się światła.

Jane Vale skuliła się w swoim swetrze. Czekwała na Doreen Gray.

– Tego się zupełnie nie spodziewałam! Nigdy w życiu... Znaczą skąd miałam... Och, Biz! Jesteś nareszcie! Czy Heidi już ci powiedziała? Czy to nie wspaniale?

Doreen stała półnaga w sypialni Biz i Heidi. Rzuciła się w ramiona kuzynki z nietypową dla siebie serdecznością.

– Tak, słyszałam – odparła wesoło Biz. – Idziesz na lunch? Z wujkiem Rolandem?

– Tak! Tak! Jadę do Bostonu. Mam pociąg rano o 9.18. Hei-di, a może tak? – Doreen zakręciła się w czarnej spódnicy z wysokim stanem i jedwabnej bluzce z szafy Biz. – Heidi, halo? Jesteś tam?

– Hmm? A. – Heidi wpatrywała się w Doreen. – Ja... Jasne! Znaczą od czegoś trzeba zacząć. Ale do tego pasek. I buty. – Wskazała szafę Biz. – Może te czerwone mary janes?

Heidi próbowała zachować spokój i udawać, że skupia się na pomaganiu Doreen w znalezieniu odpowiedniego stroju, ale tak naprawdę zupełnie spanikowała. Oto nadeszła chwila, o której tak często marzyła. Doreen miała w końcu pokazać Rolandowi, kim się stała. Tylko że ku rozpaczy Heidi Doreen była zupełnie zachwycona wizją spotkania. Już nie mogła się doczekać! Najwyraźniej kompletnie zapomniała o tamtej rozmowie w limuzynie Gordona. Wszystko, co zrobił jej ojciec, te milion razy, gdy się od niej odwrócił – nagle zupełnie nie miało znaczenia. Doreen była przeszczęśliwa, że ojciec chce się z nią zobaczyć. Nie szukała zemsty. Szukała jego akceptacji! Trudno było o większą katastrofę.

Doreen zmarszczyła brwi, patrząc na swoje odbicie w lustrze.

– Czerwone? Czy to nie jest zbyt...? Sama nie wiem. Chcę wyglądać dziewczęco. No wiesz, skromnie.

– Oczywiście! Ale wszyscy lubią licealistki z poczuciem humoru – powiedziała Heidi i zmusiła się do uśmiechu.

Przecież miały plan, czy nie tak?

Tylko że szlag go trafił. Wystarczyło raz spojrzeć na rozanieloną twarz Doreen, by zrozumieć, że nie ma mowy o żadnej zemście. Doreen dobrze wiedziała, że Roland będzie ją teraz traktował zupełnie inaczej, bo jego córka wreszcie wygląda i zachowuje się jak ktoś, kto należy do jego klasy. Nie mogła się doczekać, by znaleźć się w centrum jego zainteresowania. Zresztą Heidi rozumiała to pragnienie aż za dobrze. Było tam wspaniale.

Opięła cienką talię Doreen złotym pasem. Czekwała, aż dziewczyna włoży szpilki, a sama ukradkiem połykała lzy. Teraz wszystko przypadnie Doreen. To ona dostanie wszystko to, co Roland obiecał Heidi. I więcej. Dostanie także jego. Ale

co z tego? Czego mogła chcieć Heidi od znudzonego, zadufanego w sobie sadysty?

Tylko że odpowiedź brzmiała oczywiście: „Wszystkiego”. Heidi zakryła usta dłonią. Musiała się uspokoić.

– Więc sam Crotchett cię do siebie wezwał? – wypytywała o szczegóły Biz ze swojego miejsca na łóżku.

– Tak! – potwierdziła Doreen, nie odrywając wzroku od odbicia. – Ale była jazda. Kiedy dostałam wezwanie do dyrektora, byłam pewna, że już po mnie. Nie patrz tak na mnie, Bizzy. Naprawdę próbowałam przysiąść do nauki. Ale tak trudno się skupić. W moim życiu tyle się dzieje, że nie mam pojęcia, skąd miałabym jeszcze wziąć czas na wkuwanie. Więc pomyślałam sobie: „No dobra, wywali mnie. Albo zawiesi w prawach ucznia. To jeszcze nie koniec świata. Dam sobie radę. Muszę tylko bardziej skupić się na nauce. Ale to nie wszystko!”.

Ten plan był z góry skazany na porażkę. Choćby nie wiem, jak zła na Rolanda była Doreen, był przecież jej ojcem. Jego okrucieństwo sprawiało tylko, że tym bardziej łaknęła jego czułości. A Heidi ubzdurzyła sobie, że Doreen ukaże mu się w pełnej glorii, a potem go odrzuci. Co za naiwność! Po prostu głupota!

No cóż, trudno. Ta obsesja na punkcie Rolanda Gibbonsa i tak jest zupełnie bez sensu. Doreen może pojechać do Bostonu i przeżyć wspaniałe spotkanie z ukochanym tatuśkiem, a Heidi będzie ją wspierać duchowo i życzyć jej wszystkiego dobrego. Czas sobie odpuścić.

Tylko że to niejedyny problem. Doreen i Rolandem – póki stanowili osobne jednostki – dało się dość sprawnie dyrygować. Ale w chwili, gdy połączy ich jakakolwiek więź, gdy wymkną się wpływowi Heidi, zupełnie straci kontrolę nad sytuacją. Roland może się wygadać. Może powiedzieć Doreen, że Heidi jest szantażystką i że miejsce w Chandlerze załatwiła sobie w niezbyt legalny sposób. A tak się składa, że osobą, którą szantażowała, był właśnie ojciec Doreen.

Heidi poczuła, jak na jej idealnie gładkie czoło wypływają kropelki potu. Roland znów miał nad nią władzę. Wystarczy kilka słów i będzie mógł odebrać jej Doreen. A Doreen? Z jej nową pozycją w Chandlerze z łatwością może załatwić resztę. Gdy dowie się, jak Heidi pokonała jej ojca, na pewno nie pozwoli, by uszło jej to na sucho. Heidi zacisnęła powieki. Musi się uspokoić. Odwróciła się od koleżanek. Próbowwała głębiej oddychać.

Była taką idiotką. Ślepą, głupią, nieuważną. Zadurzyła się, straciła czujność i oddała Doreen całą swoją armię. A teraz wystarczy, że Doreen skinie palcem, a Heidi stanie się wyrzutkiem bez przyjaciół.

– Nie! – wyrwało jej się.

– Co? – spytała Doreen. – O co chodzi? Pasek?

– Co?

– No, powiedziałaś, że nie – odezwała się Biz i spojrzała na współlokatorkę z niepokojem. – Co nie?

– Nie... gadaj! Znaczy w głowie się nie mieści... to, co mówisz o dyrektorze...

– Opowiadaj dalej, Dorie – poprosiła Biz. – Co powiedział?

– Tylko że dzwonił do niego mój ojciec. Że daje mi wolne, tak powiedział. Że kumplowali się z ojcem, kiedy jeszcze chodzili do Chandlera, wiesz, sto milionów lat temu.

Heidi musi temu zapobiec. Musi wybić Doreen z głowy całe to spotkanie z ojcem. Potrafi tego dokonać. Może i trochę zaniedbała ostatnio swoją działalność na polu inżynierii społecznej, ale przecież wciąż była Heidi Whelan. Doreen jest jedynie jej uczennicą.

– Powiedział, że zrobi dla mnie wyjątek i że pozwala mi spędzić noc z soboty na niedzielę w Bostonie. „Twój ojciec bardzo chce się z tobą zobaczyć”. Tak powiedział, wyobrażacie sobie? – Doreen promieniała.

Heidi wzięła głęboki wdech. Teraz jest właściwy moment.

– I myślisz, że to prawda? – spytała. – Myślisz, że naprawdę chce się z tobą zobaczyć?

– Oczywiście, że tak! Tak się cieszę, Doreen – powiedziała szybko Biz.

Ale Doreen spojrzała na Heidi z niepokojem.

– A co? – spytała. – Myślisz, że nie chce?

– Nie. Ale to podejrzenie nagła zmiana. Tylko tyle.

– Co w ciebie wstąpiło, Heidi? – syknęła Biz.

– Nic! Tylko dlaczego nagle miałby...? Wiecie, czy Doreen nie powinna trochę...? No bo co w końcu? Wystarczy, że on powie „skacz”, a ona już pyta, jak wysoko? Czy to nie jest trochę, hm... żalosne?

– To jej ojciec. Mogłabyś okazać więcej zrozumienia.

– Rozumiem, ale dlaczego nagle miałbyś chcieć się z nią zobaczyć? Znaczy tak ni z tego, ni z owego? Po prostu nie chciałabym, żeby znów cię zranił, Do-do. Prawdę powiedziawszy, nie był dotąd najlepszym ojcem na świecie. Przecież rozmawialiśmy o tym w drodze z Nowego Jorku, pamiętasz? W limuzynie Gordona Lichtera.

– Ale dlaczego dyrektor miałby mówić, że ojciec chce mnie zobaczyć, gdyby nie chciał? – Doreen zmarszczyła czoło, jej dłonie zatrzepotały w powietrzu, jakby niepewne, czy mogą gdziekolwiek bezpiecznie wylądować. – To jedna wielka pomyłka. Och, będzie się ze mnie naśmiewał. Poniżał mnie. – Zrzuciła buty i zaczęła rozpinąć bluzkę. – Nie jadę. Chrzańić dyrektora i jego głupie pozwolenie na wyjazd! Chrzańić -Boston!

Po jej twarzy już płynęły łzy. Heidi się uśmiechnęła.

– Wszystko będzie dobrze, Doreen. Masz rację, chrzańić go. Hej! Mam świetny pomysł. Może wyślę esemesa do znajomego z miasta, żeby kupił nam parę browarów? Możemy sobie zrobić własną imprezkę. Zaprosimy Claire i Mi-Mi's

i Lorda Voldemorta... chciałam powiedzieć: Chastity. – Próba utlenienia włosów skończyła się tym, że dziewczyna kompletnie wyłysiała. – Ona z pewnością nie ma zbyt napakowanego kalendarza.

– Chwileczkę – odezwała się Biz, delikatnie kładąc dłoń na ramieniu kuzynki. – Uspokój się. – Obróciła Doreen tak, żeby móc na nią spojrzeć, a potem zaczęła zapinać na niej z powrotem małe perełkowe guziczki własnej bluzki. Odgarnęła jej włosy z oczu, sięgnęła po czerwone buty i ułożyła je przed nią tak, że dziewczyna musiała jedynie wsunąć nogi. Potem przykucnęła u jej stóp i zapięła czerwone paseczki. – Wujek Roland rzeczywiście nie zasługuje na tytuł ojca roku, ale dlaczego miałby nagle zadać sobie tyle trudu, zadzwonić do Crotchetta, prosić go o przysługę, ustalić miejsce spotkania w Bostonie, tylko po to, by cię upokorzyć? Co niby mógłby takiego zrobić? Przyczaić się gdzieś pod oknem i patrzeć, jak siedzisz sama i na niego czekasz? No bez przesady. Czy nie jest po prostu tak, że chce sprawdzić, jak sobie radzisz? W końcu jesteś jego córką, prawda? I inwestycją, jeśli chodzi o ścisłość.

– Masz rację. Pewnie chce tylko sprawdzić, czy nie marnuję jego pieniędzy. Ale ja mogę mu pokazać, jak bardzo się zmieniłam. Ha! To się zdziwi.

– Moim zdaniem nie zmieniłaś się aż tak bardzo – powiedziała ciepło Biz. – Wciąż jesteś tą samą dziewczynką, którą pamiętam z Amagansett. Tą, która tak lubiła tańczyć.

– Och, Bizzy – szepnęła Doreen. – Jesteś kochana. Masz rację, wszystko będzie dobrze.

– Nadzieja matką głupich – mruknęła Heidi.

Biz posłała jej gniewne spojrzenie.

– No co? Wiesz, że to ja mam rację.

– Uspokój się, Heidi. Bez względu na to, przez co przeszli, Doreen jest córką wujka Rolanda i on ją kocha. Będzie z ciebie taki dumny, Doreen. Ale wydaje mi się, że czegoś ci brakuje.

Doreen znów spojrzała do lustra.

– Czego?

Biz otworzyła szufladę na bieliznę i wygrzebała z niej małe czarne aksamitne pudełeczko.

– Diamentów *grand-mère* Kiki! Będą pasowały idealnie.

Oczy Doreen rozblęły.

– Och, nie mogę przecież... Spójrz tylko na nie! Są boskie!

– Po prostu je włóż, Dorie – powiedziała Biz. – W końcu była też twoją babcią.

Doreen wpięła w uszy diamentowe kolczyki.

– Chwileczkę, czy *grand-mère* Kiki nie była przypadkiem matką twojego ojca? – spytała Heidi. Czowała, że zaraz pęknie jej jakaś żyła w mózgu albo coś. – To

by znaczyło, że w ogóle nie była spokrewniona z Doreen.

– No tak. – Biz oparła głowę na ramieniu Doreen i spojrzała w lustro na siebie i kuzynkę. – Mniejsza o szczegóły. Wyglądasz w nich przepięknie. Myślę, że wujkowi mowę odejmie.

– Och, dziękuję, Biz! Jesteś wspaniała! – Doreen znów zarzuciła kuzynce ręce na szyję. – Co o tym myślisz, Heidi?

Heidi patrzyła, jak Doreen kręci się radośnie, i już wiedziała, że zaraz wszystko runie. Doreen pojawi się w restauracji z tą swoją piękną buzią i pragnieniem akceptacji i nagle Roland odnajdzie swoją doskonałą małą córeczkę, idealne potwierdzenie własnej wspaniałości. Miałyby go upokorzyć? Nie, przemiana Doreen stanie się tylko kolejnym trofeum w jego i tak już stanowczo zbyt bogatej kolekcji. Będzie ją kochał i jej pomagał, a Heidi wyląduje tam, gdzie zawsze była – znów zostanie sama. Sama będzie musiała sobie, cholera, poradzić. Póki Doreen nie wypowie jej imienia przy tatusiu. Bo wtedy będzie po niej.

– Wyglądasz olśniewająco, Doreen – powiedziała Heidi. – Ta sukienka pasuje jak ulał.

Co jej pozostało? Mogła jeszcze próbować popracować nad brakiem pewności Doreen i upewnić się, że dziewczyna nigdy więcej nie ujrzy Rolanda. Albo mogła pojechać za nią do Bostonu i w jakiś sposób w ogóle nie dopuścić do spotkania. Tylko że już nie miała na to siły. Wyszła z wprawy, to raz, a poza tym miała naprawdę dość. Chciała w końcu odpuścić. Przestać się martwić na zapas. Może Doreen o niej nie wspomni. Będą mieli przecież mnóstwo innych tematów do omówienia. A nawet jeśli, to czy Roland powie jej prawdę? Nie wypadnie przed córką najlepiej, jeśli się przyzna, że przechytrzyła go byle nastolatka. A jeżeli już dojdzie do konfrontacji, przecież nie będzie bezbronna. Heidi potrafi walczyć. Być może jednak wystarczy tu odrobina wiary i będzie dobrze. Otarła twarz, żeby skryć łzę, nim nawet wypłynie na policzek.

– Po prostu uważaj na siebie, dobrze? Nie żebym go osobiście znała.

Ale Doreen już jej nie słyszała. Była zbyt pochłonięta patrzeniem, jak diamenty odbijają światło, gdy przechyliła głowę z boku na bok.

*

Doreen powiedziała, że jest za bardzo przejęta, żeby jeść. Heidi trochę ulżyło, bo naprawdę bała się, że dłużej nie zniesie tego entuzjazmu przyjaciółki. Gdy ruszyły tylko we dwie z Biz w stronę stołówek, mało nie potarła ich jakaś niska dziewczyna w andyjskim swetrze.

– Hej! Patrz, gdzie leziesz, kretynko! – wydarła się na nią Heidi, odpychając ją z taką siłą, że przewróciła nieznajomą na ziemię.

– Heidi! – syknęła na nią Biz.

– Przepraszam! – zawołała Jane Vale.

– Nie masz za co przepraszać. – Biz pomogła Jane wstać. – Hej, my się znamy. Pracujesz w bibliotece, prawda? Chodzisz tu do szkoły? Jestem Biz. Od dawna chciałam, znaczy... zawsze wydajesz się taka, no wiesz, zajęta.

– Możemy już iść? – warknęła Heidi.

– Słuchaj, jak ci na imię? Jestem Biz. Oj, chyba się powtarzam, prawda? – Znów się roześmiała.

Ale dziewczyna nawet nie słuchała. Z niepokojącą intensywnością przyglądała się Heidi, potem spojrzała na internat, jakby czegoś szukała.

– Co żeś się tak do nas przyczepiła? – napadła na nią Heidi. – Spadaj stąd! Już cię tu nie ma!

– Nie! – zawołała Biz. Posłała Heidi ostre spojrzenie. – To znaczy nie musisz nigdzie iść. Może chciałabyś zjeść z nami kolację?

Lecz nim zdołała powiedzieć cokolwiek więcej, dziewczyna uciekła z dziedzińca.

– Co to niby miało znaczyć, do licha? – warknęła Heidi, gdy znów ruszyły w stronę stołówki.

– Byłaś strasznie niemiła. I to zupełnie bez powodu.

– Ja? To chuchro walnęło prosto we mnie! I co ona w ogóle miała na sobie? Poncho? Spieszyła się na zebranie Towarzystwa Przyjaciół Indian czy co?

– To w ogóle nie jest miłe. Przestań mówić przy mnie takie rzeczy, dobrze? Nie lubię tego.

– Co jej tak bronisz? Dobrze, już dobrze. Nie wiedziałam, że aż tak ją lubisz. Daj znać, kiedy ślub, wpadnę ze swoją lamą. – Heidi uniosła ręce. Nie potrafiłaby powiedzieć, dlaczego aż tak wkurzyła ją ta dziewczyna ani tym bardziej dlaczego teraz wyżywa się na Biz, ale słowa płynęły bez kontroli.

– Wiesz, lepiej będzie, jak zjesz tę kolację sama – stwierdziła Biz, zatrzymując się i wbijając wzrok w ziemię.

Nawet po ciemku Heidi widziała, że przyjaciółka poczuła się dotknięta.

– Co? Dlaczego? – wybąkała.

Co takiego powiedziała, że ją uraziła? Przecież nabijała się z jakiejś obcej dziewczyny, nie z Biz. Ale potem, patrząc na wyraźnie zawstydzoną przyjaciółkę, nagle coś zrozumiała. Oczywiście. Przecież nie jest tak, że tylko ona, Heidi, ma życie wewnętrzne. Biz ma swoją duszę i swoje sekrety. A Heidi była teraz tak skupiona na własnym pokręconym życiu, że nawet nie pomyślała, że może wyśmiała coś dla Biz ważnego.

– Och, Bizy, przepraszam. Zupełnie nie wiem, co wygaduję. Jestem trochę zestresowana. Proszę, nie gniewaj się. Ja tylko... Naprawdę... – Była podłą osobą. Próbowwała być dobra, ale nie potrafiła. Była paskudna nawet dla tych kilku osób w życiu, które stały się jej bliskie. Z trudem opanowała łzy. – Jeśli chcesz jeść sama, zrozumieć to. Nie musisz jeść ze mną. Spoko.

Twarz Biz złagodniała.

– Zapomnijmy o całej sprawie, Heidi.

– Nie powinnam była tego mówić. Co mnie obchodzi, z kim ty... Znaczy lubię cię bez względu na wszystko. Naprawdę. Tylko akurat mam słaby dzień.

– Słuchaj, nie musisz się tłumaczyć. Chodzi o Doreen, prawda? O Doreen i wujka Rolanda?

– Hę? Co z nimi? Nie, nie.

– Nie przejmuj się, Heidi. Chyba rozumiem. – Znów ruszyły, a Biz mówiła dalej: – Domyślam się, że to musi być dla ciebie trudne, że nagle pojawia się mój wuj, sam wielki Roland Winthrop Gibbons IV, ze wszystkimi swoimi znajomościami, rodowodem i Bóg wie czym jeszcze. Wiem, że w dużej mierze to, co łączyło cię z Doreen, to ta idea, że obie jesteście outsiderkami, że we dwie podbijacie naszą prywatną szkołę niczym arystokratyczne salony. Ale mimo że dotąd za wiele się nią nie zajmował, a może właśnie dlatego, Doreen będzie zależało na jego akceptacji. A dzięki swojej niedawnej przemianie teraz ma szansę ją zdobyć.

Heidi była pod wrażeniem. Biz naprawdę zauważała więcej, niż Heidi się zdawało. Oczywiście to nie była cała historia – zdecydowanie nie. Ale było w tym wiele prawdy. Oczami wyobraźni ujrzała, jak Doreen wkroczy do świata wyższych sfer: pod ramię z Rolandem, przedstawiana na kolejnych balach najważniejszym ludziom, ich zdjęcia razem w kolorowych magazynach. *Gość Rolanda Gibbonsa*. Zrobiło jej się słabo.

– Nadal będzie cię potrzebowała, Heidi. Myślę, że masz do zaoferowania więcej, niż myślisz.

Teraz już nie udało jej się powstrzymać łez. Przecież nie powinna sobie pozwalać na takie sceny. „Opanuj się, kobieto – powiedziała sobie. – Heidi Whelan nie płacze przy ludziach”.

– Dzięki, Biz. Oczywiście chcę, żeby Doreen miała lepsze relacje z ojcem.

– Nie musisz się tłumaczyć. Jesteś dobrą przyjaciółką, Hei-di. I dobrym człowiekiem. Lepszym, niż ci się wydaje.

– Naprawdę tak uważasz? Nawet po tym, jak okropnie się zachowałam w stosunku do ciebie i tamtej dziewczyny?

– Tak. Tak uważam. Masz w sobie coś wielkiego, Heidi Whelan.

– Może mogłabym mieć. Może będę miała. Dzięki.

Chwilę szły w milczeniu.

– Może po prostu czuję, że coś się kończy. Że zamykam jakiś piękny rozdział. – Heidi przystanęła i pociągnęła Biz za rękaw. Już widziały przed sobą stołówkę. – Wspomniałaś o przemianie Doreen. To chyba pierwszy raz, kiedy w ogóle któraś z nas powiedziała o tym choć słowo.

– Niesamowite, co?

- Przyszła do nas ta beznadziejna licealistka.
- A potem czary-mary! Czysta magia, nie? Bardzo dziwne.
- Nie mogę przestać myśleć o tamtym portrecie. Tym, który jej zrobiłaś do profilu na GryphPage’u. Jak poprawiłaś go w Photoshopie, a ona tak strasznie się tym przejęła.
- Ja też! Nawet pytałam ją o to zdjęcie jakiś czas temu. Powiedziała, że je zniszczyła.
- To naprawdę przedziwna sprawa... – Heidi była pewna, że Biz ją wyśmiej, gdy to powie. I chciała tego. Chciała usłyszeć, że to tylko jej szalona wyobraźnia. Że to na pewno niemożliwe. – Zupełnie, jakby stała się tamtą dziewczyną ze zdjęcia!
- Prawda? Miałam dokładnie to samo wrażenie.
- Popatrzyły po sobie.
- Ale to wszystko działo się tak szybko, że czasami myślę sobie, że wymyśliłam tamtą dziewczynę, tamtą nieśmiałą grubaskę z szopą na głowie i mnóstwem pryszczu. Czy ja ją po prostu wymyśliłam?
- Wiem, co masz na myśli. Gdyby cię tam wtedy nie było, stwierdziłabym, że tamta dziewczyna to tylko moja halucynacja.
- Ale ona istniała naprawdę, tak? A ta obecna Doreen? Też istnieje naprawdę?
- Chyba tak. Znaczą tak. Istnieje naprawdę. Oczywiście, że tak. – Mimo ciemnej nocy Heidi dostrzegła w oczach Biz paniczny strach. – Bo niby jak to inaczej wytłumaczyć?

26 lutego. Godzina 9.14. Robię te notatki, siedząc na ławce na stacji Hamilton. Obserwowana – którą odtąd będę określać mianem „Słoń” – stoi przy oknie. Patrzy na tory. Kiedy przyszedłam dziesięć minut temu, już tu była. Od tego czasu raz poszła do ubikacji, ale poza tym po prostu stoi z biletem w dłoni.

11.20. Przyjazd na stację South. Podróż przebiegła bez zakłóceń poza tym, że Słoń zwróciła na siebie uwagę jakiegoś młodego mężczyzny, którego jednak od razu spławiła. Tego można się było spodziewać. W ubikacji w pociągu przebrałam się w spodnie i marynarkę, założyłam okulary, włosy spięłam w kok. Cel – wygląd biznesmenki. Uniknąć zdemaskowania.

12.40. Jakaś restauracja dla sztywniaków na Newbury Street. Szłam za Słoniem od stacji. Dotarliśmy pół godziny temu, ale Słoń cztery razy obeszła ulicę w kółko, zanim weszła do środka. Podała kelnerowi nazwisko, posadził ją przy stoliku z tyłu, przy kuchni. Siedzę sama przy barze, ale w zasięgu słuchu od stolika Słonia. Ceny horrendalne. Zamówiłam wodę gazowaną z sokiem żurawinowym. 3 dolary.

12.48. Elegancko ubrany mężczyzna (w skrócie EUM) wchodzi i siada przy Słoniem (ojciec?). Zaskoczony jej wyglądem. Zadowolony. Drze się na kelnera, żeby zabrał ich z „Syberii”. Zna jego imię. Musi tu często bywać. Słoń i EUM> się przesiadają. Proszę o miejsce przy oknie. Będę musiała coś zamówić. Zupa: 14 dolarów. Oburzające.

Rozmowa Słoń + EUM (spisana z nagrania na dyktafon schowany w kieszeni płaszcza wiszącego nieopodal stolika):

EUM: Muszę przyznać, że kiedy Crotchet powiedział, że zaskoczy mnie to, jak się zmieniłaś, założyłem, że nie będzie to zmiana na lepsze. Ale wyglądasz świetnie, Doreen, po prostu wspaniale. Wprost trudno uwierzyć, że to ty.

S: Dziękuję. Tak, Chandler dobrze mi zrobił.

EUM: Co do tego nie ma wątpliwości! Napijmy się. Na co masz ochotę? Może białe wino? Nie krępuj się. Jest co oblewać, prawda? Kelner! Kelner! Jeszcze kieliszek macallana dla mnie, i proszę, nie guzdraj się tym razem. A ty co byś chciała, moja droga?

S: Hm. Och, może kieliszek szampana. (Snobistyczna francuska marka), jeśli jest.

EUM: No, no. Ależ sobie wyrobiłaś gust. I to, co masz na sobie, też bardzo mi się podoba! Wyglądasz, jakbyś była gotowa wkroczyć w wyższe sfery. Co się stało z tą pokraką, którą odebrałem z lotniska?

S: Och. Cóż, Biz (tj. E.G.-B.) była tak kochana, że pożyczyła mi kilka rzeczy.

EUM: Biz? Chcesz powiedzieć, że musiałaś pożyczyć ubrania od kuzynki?

(E.G.-B. = kuzynka S? Szkoda). Och, nie, nie. To nie uchodzi. Słuchaj, zamawiajmy. Pani prosi sałatkę z gruszek i roqueforta, a na drugie danie... Lubisz ryby, prawda? Pani prosi solę. A dla mnie sałatka cesar i siekany stek. Średnio wysmażony. Tak. A potem pójdziemy na zakupy, co ty na to? Neiman's jest zaledwie kilka kroków stąd, a nie życzę sobie, żebyś pożyczala ubrania od Elizabeth, choć pewnie ma ich za dużo. Moja siostra wydaje fortunę, usiłując jakoś ubrać tę dziewczynę. Powtarzam jej, żeby przejrzała na oczy i pogodziła się z faktami. Mówię jej: „Glorio, czy to źle mieć w rodzinie choć jedną intelektualistkę? W końcu nie wszystkie panie muszą brylować na salonach i bawić się w działalność charytatywną”. Ale moja siostra ma zwyczaj łatwo się obrażać. Nie podoba jej się, że jej córka robi za brzydkie kaczątko. To jej zdaniem źle wygląda.

(Uwagi: S wydaje się zachwycona. Usiłuje się zachowywać normalnie, ale jest cała rozanielona. Chyba zaraz się poryczy. Udało się strzelić fotkę).

EUM: W każdym razie nie widzę powodu, dla którego nie miałybyś mieć własnych ubrań. Choć cieszę się, że była dla ciebie taka dobra. A zatem to Biz powinienem podziękować za twoją niesamowitą przemianę?

S: Tak, do pewnego stopnia. I jej współlokatorce, może już ją poznałeś u cioci Glorii? Nazywa się Heidi Whelan.

(EUM dostaje napadu kaszlu).

S: Tato, nic ci nie jest? Tato?

(EUM dalej kaszle. Macha na kelnera, żeby przyniósł coś do picia).

S: Choć oczywiście w większości to moja własna zasługa. Wiesz, podjęłam świadomą decyzję, że chcę się rozwijać. Dokonać zmian.

(Kelner przynosi nowe drinki).

EUM: Za młodość!

(Piją).

EUM: Kiedyś twoja matka właśnie tak upinała włosy.

S: Wiem. Znaczy tylko ze zdjąć. Teraz ma krótkie. I siwieje. Farbuje je. (Śmieje się).

EUM: Śmiej się, śmiej. To przywilej młodości.

S: Czyli ciocia Gloria wstydzi się Biz? Całkowicie ją rozumiem. Biz jest, sama nie wiem, dość beznadziejna. Znaczy pod pewnymi względami. Nic ci nie jest, tatusiu? Tatusiu? Wszystko w porządku?

15.20. Słoń + EUM skończyli lunch i przenieśli się do restauracyjnego baru. Musiałam wyjść, żeby nie wzbudzić podejrzeń. Przeniosłam się do kawiarni po drugiej stronie ulicy. W ubikacji zmieniłam przebranie na nr 3: džinsy, bluza z Harvardu, roztrzepany kucyk. Studentka. Tak bym wyglądała, gdyby nie pojawiła się w moim życiu Słoń i wszystkiego nie zniszczyła. Siedzę tu już od jakiegoś czasu, spisuję nagranie. W restauracji bez zmian. Nie wiem, co ja tu robię.

16.30. Nadal nic. Trzecia kawa. Trochę mnie trzęsie.

17.15. Z baru wychodzi Słoń. EUM niemal na niej wisi. Jest wyraźnie pod wpływem. Skręcają na wschód. Dam im trochę odejść, nim zacznę ich śledzić. Jest naprawdę pijany. Żalotne. Zrobię parę zdjęć.

18.25. Lobby w Mandarin Oriental Hotel. Szłam za S + EUM dość krętą drogą z przymusowym postojem na zwrócenie przez EUM całego lunchu za osiemdziesiąt dolarów (pięknie!). Mam wszystko na zdjęciach. EUM chciał dalej pić w hotelowym barze. S przekonała go, żeby poszedł odpocząć. Udali się na górę. To pewnie już koniec, choć może S jeszcze wróci. Zostanę chwilę, zobaczę.

19.38. Wraca S! Siada na sofie i dzwoni z komórki. Nie słyszę, z kim rozmawia. Rozłącza się. Chyba na kogoś czeka. Muszę się zbliżyć.

21.07. Wchodzi Chłopak w Różowej Koszuli (w skrócie CRK). S macha. Zatem wychodzimy. Dobrze, że zmieniłam przebranie na nr 4 (mini, obcasy, przezroczysty top). Jeszcze cię dorwę, ~~Doreen Gray~~ Słoniu.

„Oto prawdziwy mężczyzna”, pomyślała Doreen. Spał na brzuchu z rozrzuconymi na boki rękami i nogami. Mężczyzna, który zawsze bierze więcej, niż mu się należy, nawet jeśli chodzi tylko o miejsce na łóżku w akademiku. Przez okno wpadały jasne promienie słońca tak charakterystyczne dla tych zimowych dni, gdy właśnie spadł śnieg. Rzeka Charles jaśniała niczym podziwiana dziewczyna.

Doreen trochę ćmiło w głowie po wczorajszej rozpuście, ale poza tym czuła się świetnie. Wymknęła się z łóżka, wzięła jedną z wielu pomiętych koszul i zapięła ją na nagim ciele. Zdjęła stertę książek z krzesła przy oknie, usiadła i zapatrzyła się na rzekę. Wszystko skrzyło się od świeżego śniegu. Świat wydawał się pełen możliwości.

– Halo?

– Tatusiu! – To słowo smakowało jak lody. Chciała móc powtarzać je bez końca. – Dzień dobry, tatusiu!

– Bianca? Dlaczego do mnie dzwonisz? Myślałem, że jesteś w Sztokholmie.

– Nie, to nie Bianka. To ja, Doreen, twoja druga córka.

– A, Dorie! Strasznie cię przepraszam, kochanie. Cześć! Skąd dzwonisz? Jesteś tu, w hotelu? Która godzina?

– Około dziesiątej. Jestem u znajomego.

Wczoraj ojciec wspomniał, że załatwi jej pokój w Mandarin, ale zasnął, zanim zdążył to zrobić. Nieważne.

– Mniejsza z tym, tato. Kiedy mam przyjść do hotelu? Mogę tam być za jakieś pół godziny.

– Przyjść? Tu?

– Tak. Mieliśmy zjeść razem śniadanie, pamiętasz?

Po tym, jak barman odmówił dalszego sprzedawania mu alkoholu i stało się jasne, że ojciec zdecydowanie nie jest w stanie zabrać jej do żadnego sklepu, obiecał, że zaczną następnego dnia z samego rana. Śniadanie, powiedział, a potem wybieramy się na zakupy. Kupi jej, co tylko będzie chciała. Tak obiecał.

– Tak powiedziałem? Ach, tak. Oczywiście, tylko... Która godzina?

– Dziesiąta.

– Dziesiąta. Nie, cóż, niestety nic z tego. Muszę wracać do Nowego Jorku. Cholera, już jestem spóźniony. Widzisz, usiłuję sprzedać ten obraz, nie będę cię zanudzać szczegółami, ale powinienem był wyjść dobrą godzinę temu. Wybacz, moja droga. Przełożmy to na kiedy indziej, dobrze? I nie, nie zapomniałem o zakupach, ale powinniśmy wybrać się na nie w Nowym Jorku, gdzie są prawdziwe ubrania. Jedyne, co warto kupować w Bostonie, to szelki i śniegowce. A to by pewnie nie przeszło na następnym szkolnym balu.

Doreen zachichotała.

– Nie, pewnie nie.

– Dobra, więc do miłego. A ty nadal pracuj nad sobą, kochanie. Jestem z ciebie bardzo dumny. Co za wspaniała niespodzianka.

Po policzkach ciekły jej łzy radości. To był dopiero początek.

– Peter! Peter! – zawołała.

– Mmm?

– Peter, wstawaj. Mam okropną ochotę na naleśniki. Dałbyś radę je dla mnie wyczarować? Naleśniki z bekonem i malinami.

Chłopak zamrugał i spojrzał na skąpaną w promieniach Doreen. Na twarzy miał jeszcze odciski od pościeli.

– To ty – wymamrotał, jakby był najszczęśliwszym mężczyzną na świecie. – Chodź tu do mnie.

– Ale, Peter. Naleśniki!

– Cokolwiek sobie wymarzysz, tylko najpierw muszę się upewnić, że nie śnię.

Heidi miała rację. Facet był uroczy.

*

Była zima. Byli w Nowej Anglii. Żadna z tych okoliczności nie wydawała się jednak wystarczającym powodem, by odmówić sobie przejażdżki z otwartym dachem, gdy mknęli czarnym jaguarem Petera. Doreen było ciepło w żołądku po solidnym śniadaniu i prawie zrobiło jej się smutno, gdy trzeba było się pożegnać. Bardzo przyjemnie spędziła czas z tym Peterem. Żadnej hysterii, która tak ją męczyła, gdy spotykała się z Simonem Vale'em, a przy tym był o wiele ciekawszym mężczyzną niż szurkowaty Gordon Lichter czy nudny Coburn Everbock. Podobały jej się jego ciężkie dłonie i ten błysk w oku. Ale przede wszystkim zachwycał ją jego głos – niski, aksamitny, pewny siebie, zdradzający inteligencję i poczucie humoru. Doreen pomyślała sobie, że z Peterem Standishem mogłaby rozmawiać bez końca.

– To doprawdy niedorzeczne. Przecież już jesteśmy w samochodzie! Daj się odwieźć na kampus i tyle. Możemy się zatrzymać gdzieś po drodze. Znam świetną knajpę przy auto-stradzie, mają tam nawet małe szafy grające. Moglibyśmy wejść osobno, udawać, że się nie znamy, a potem kochać się w ubikacji. Co ty na to?

– Kusząca propozycja.

– Albo może jeszcze inaczej... Olejmy to wszystko, wróćmy do mnie i zapakujmy się na cały dzień do łóżka. Albo i na całe życie! To może być nawet rodzaj manifestu. Na pewno znajdzie się jakiś szczytny cel. Może od razu zadzwonię do matki? Jest na bieżąco z tymi wszystkimi charytatywnymi modami. Możemy zbierać na nieletnich żołnierzy w Afryce albo coś w tym stylu.

Niedożywione koty uchodźców na Bałkanach.

– Nie znoszę kotów.

– Nie? W takim razie czemu nie wspomóc drugiej strony? Co powiesz na szczeniaki? Nie potrafiłabyś chyba odmówić szczeniakom.

– Nie, pewnie nie. Ale ty może dałbyś radę. Odnoszę wrażenie, że przegadasz każdego. O, proszę, i już jesteśmy na stacji. Peter! Bo spóźnię się na pociąg!

Pojechał dalej, udając, że ją porywa, ale oboje wiedzieli, że będzie musiał się poddać i pozwolić jej odjechać. Nie mógł jej odwieźć do Chandlera. To by było zbyt ryzykowne. Wiedzieli o tym oboje.

– Od razu powinienem był wybrać ciebie. – Westchnął z żalem, niby sam do siebie, gdy już wysiadła z samochodu.

– Hm? – mruknęła, jakby nie dosłyszała.

Ale usłyszała. I poczuła się wprost bosko.

*

Wcale tego tak nie zaplanowała. Gdy nagle została samiutka w Mandarin Oriental, pierwsze, co zrobiła, to zadzwoniła do Coburna.

– Doreen! Szybko, co masz na sobie?

– Słucham? Nie, Coburn. Nie dzwonię po seks na telefon.

– Nie. Ech. No trudno. I tak musimy się streszczać, bo mama zaraz wsiada do samochodu.

– Twoja matka? Gdzie jesteś?

– San Fran. Nie mówiłem ci? Matka kazała mi przyjechać na przyjęcie dziadka, starszek przechodzi na emeryturę.

– Jesteś w San Francisco?! Cholera. I co ja teraz zrobię? Utknęłam w Bostonie.

– Co?! Jesteś w Bostonie? Jesteś teraz w Bostonie, a ja w San Francisco? Co za... Czemu nic nie powiedziałaś? Kurwa mać. Jak to się mogło stać? Cholera. Szlag by to trafił!

– Uspokój się, Coburnie. Nieważne. Jakoś sobie poradzę.

– Zaczekaj, Doreen! Do-do, tak za tobą tęsknię. Nie tęsk-nisz na mną? Nie tęsknisz za małym Cobeyem? Myślmy o tobie cały...

Rozłączyła się. Rozejrzała się po hotelowym holu i zaczęła się zastanawiać, co robić. W zasadzie mogłaby zostać tu, na tej kanapie. Kto by próbował ją stąd wyrzucić? Nie ulegało wątpliwości, że wygląda, jakby miała prawo tu siedzieć. A może powinna wziąć sobie po prostu pokój na rachunek ojca? Czy tak się da? Nawet gdyby to było możliwe, nie powinna chyba ryzykować. Ich stosunki były świeże i kruche, jeden mały błąd może wszystko zniszczyć.

Wtedy przypomniała sobie o Peterze Standishu. Jaki dżentelmen nie

pomógłby najlepszej przyjaciółce swojej dziewczyny? Zresztą czy Heidi w ogóle była jego dziewczyną? Oczywiście Heidi tak się wydawało, a Doreen była jej przyjaciółką. Ale Peter był już studentem. Z pewnością nie uważał Heidi za tę jedyną, prawda? „Będę za pół godziny”, zapewnił ją. „Dobry z ciebie przyjaciel”, odparła.

– Coburn pewnie był zupełnie załamany, gdy mu powiedziałaś, że tu jesteś, kiedy on akurat wyjechał. Ale jakoś trudno mi się z tego powodu martwić.

– Trudno?

Szli mocno przytuleni, bo noc była zimna. Właśnie zaczął padać śnieg.

– Oho, jesteśmy. To tutaj.

Weszli do kolejnego hotelu. Peter prowadził ją przez hol, minęli windy i zeszli po schodach do ciemnej sali.

– Dobry wieczór, panie Standish.

Siedli przy niewielkim stole. Wzięła do ręki menu.

– Nie zaprzataj sobie tym głowy – powiedział Peter. – Dla pani french 75. A dla mnie macallan. Czysta.

– Tak, proszę pana.

– Dobrze trafiliśmy – powiedział Peter do Doreen. Odchylił się na skórzanej kanapie, rozłożył ramiona na oparciu. – Jest prawie pusto. Nie znoszę tłumu, a ty? Czuję się, jakbym tracił czas, spędzając go z mnóstwem ludzi naraz.

– Mm – odparła Doreen. Heidi dobrze wybrała. Wprawdzie Coburn był przystojniejszy, ale Peter miał w sobie jakiś czar. Był taki silny i pewny siebie. – Przypominasz mi mojego ojca. Czy to nie dziwne?

– Zależy, jaki jest twój ojciec – zauważył z uśmiechem.

– To komplement. Naprawdę. Ma niesamowity charakter. Właśnie dziś się z nim widziałam. Roland Gibbons? Może go znasz, bo znasz Addisona, prawda? Addison Gibbons-Brown, Ad-rock, to mój kuzyn. Nie wiem, czy o tym wiedziałeś.

– Aha.

Znudziła go? Zaczął się rozglądać, jakby jej nie słuchał.

– To dlaczego nie zadzwoniłaś do niego?

Doreen zaczerwieniła się ze wstydu. Oczywiście. Nie najlepiej to wypadło. Ale prawda była taka, że nie widziała Ad-rocka od dobrych dziesięciu lat! Czy w ogóle jeszcze pamiętał, jak ona ma na imię?

– Choć swoją drogą, bez urazy, kompletny z niego palant. Ze mną będziesz się znacznie lepiej bawiła.

– Tak właśnie sobie pomyślałam. Na zdrowie!

– Na zdrowie.

*

Wypili dużo, bardzo dużo. Doreen nie była pewna ile, ale zdawało jej się, że

nieustannie ma w dłoni coś do picia. Gdzieś w międzyczasie przesiadła się z miejsca naprzeciwko na kanapę obok niego, jej udo dotykało jego uda, pieściła palcami brzeg swojego kieliszka z martini.

– Kochasz Heidi? – spytała w pewnej chwili. – Ale wiesz, nie musisz odpowiadać na to pytanie, jeśli nie chcesz.

Jej język stawał się coraz cięższy, a jednak cudownie było tak pić, jakby była dorosła, w barze dla dorosłych, z prawdziwym mężczyzną.

– Czy ją kocham? Nie. Cóż, nie wiem. Jest piękna, inteligentna i w ogóle. – Pochylił się dyskretnie w jej stronę. – Ale trochę wyrachowana, nie sądzisz? Jak pewnie wiesz, to dziewczyna znikąd, z rodziny jakichś irlandzkich katolików. A tymczasem stworzyła sobie ten cały image. Pewnie nie miała wyjścia. Przynajmniej tak jej się zdaje, z tego, co rozumiem. To takie trudne, prawda? Kiedy człowiek pochodzi z bogatej rodziny, nieuchronnie przyciąga ambitnych ludzi. Choć oczywiście mam świadomość, że ty wiesz o tym aż za dobrze.

– O, tak. Doskonale wiem, o co ci chodzi. Trzeba być ostrożnym.

Peter pokiwał głową. Patrzył na nią wygłodniałym wzrokiem. Mocniej przycisnęła swoje udo do jego nogi, odchyliła się na kanapie, wyginając pierś do przodu. Odwróciła głowę w jego stronę i szepnęła mu prosto do ucha:

– Nie miałbyś ochoty mnie pocałować, Peterze? – Zaczęła się bawić guzikiem jego różowej koszuli. – Przecież jesteśmy tu prawie sami. – Bar rzeczywiście był niemal pusty. Zaledwie kilku klientów, barman i dziewczyna skupiona na swoim tablecie. Doreen ujęła jego dłoń i położyła ją sobie na biodrze. – Chcesz mnie, prawda, że chcesz, Peterze?

Chciał. Pragnął jej. Jak nikogo innego.

*

Byli młodzi. Przecież nie był żonaty. To niedorzeczne przejmować się lojalnością wobec innych ludzi. Ludzi takich jak Heidi Whelan. Heidi była nim zainteresowana tylko ze względu na to, co Peter mógł dla niej zrobić. Ale Doreen go nie potrzebowała. Teraz miała już ojca i wszystko, co wynikało z tego, że jest córką Rolanda Gibbonsa.

Spoglądała przez okno pociągu na mijane przedmieścia i zastanawiała się, czy nie powinna wrócić do poprzedniego nazwiska. W końcu tak naprawdę jest przecież Gibbons. A Gray? Fuu! Czy istniało na świecie nudniejsze nazwisko?

Oczywiście gdyby znów postanowiła być Doreen Gibbons, dałaby matce znak, że staje po stronie ojca, a przeciwko niej. To złamałoby jej serce. Ludzie i ich uczucia – matka, Heidi. Jakie to wszystko irytujące! Peter pragnie jej, a nie Heidi. Ojciec chce ją, a nie jej matkę. Czy to jej wina? Ludzie sami dokonują w życiu wyborów. Jeśli wybierają ją, a nie kogoś innego, to przecież ich sprawa.

Nic nie powie Heidi o Peterze. Niech sam z nią zerwie, jeśli tego chce. Albo

i nie. Co Doreen do tego? Wsiadła z pociągu na stacji Hamilton i ruszyła w stronę kampusu. Wszystko zdawało się zupełnie inne, niż było, gdy wyjeżdżała stąd poprzedniego dnia. Jeszcze wczoraj była dla ojca ciężarem, obowiązkiem. Teraz stała się jego ukochaną córką. Peter czuł się szczęściarzem, mogąc być z nią. Jak wszyscy.

25

Jane Vale skręciła w Main Street ledwie minutę po Doreen. Obydwie dziewczyny minęły kawiarnię Bread the News i sklep żelazny Vale'ów. Dzieliło je zaledwie kilka kroków. Doreen spojrzała kontrolnie na swoje odbicie w szybie sklepu odzieżowego, więc Jane przystanęła, kryjąc się w cieniu. Potrafiła być cierpliwa. Zaraz będzie po wszystkim.

Gdy Doreen wyszła z hotelowego baru z Chłopakiem w Różowej Koszuli, Jane znalazła całodobową knajpkę tuż obok i tam doczekała do świtu. Przejrzała notatki, odsłuchiwała nagrania, przeanalizowała zdjęcia. Opracowała plan. Napawało ją to dumą. Dziewczyna była już jej. Jane miała pewność. Naprawdę nie pamiętała, kiedy ostatnio miała takie poczucie zwycięstwa.

To uczucie i niezliczona ilość kubeczków z kwaśną kawą wystarczyły, by miała siłę czuwać do rana. W końcu nadeszła pora odjazdu najwcześniejszego pociągu do Hamilton. Nie znalazła w nim Doreen, choć bardzo na to liczyła, ale to nie miało znaczenia. Może poczekać. W Hamilton cierpliwie siedziała na ławce na stacji, aż wreszcie ujrzała kruczoczarne włosy i czerwony płaszcz.

Teraz zbliżały się do mostu na Peabody Street. „Jeśli spojrzysz w dół – stwierdziła w duchu Jane – jeśli choć przez chwilę pomyśli o Simonie, wszystko skasuję. Odwołam całą akcję”.

Ale Doreen oczywiście nawet nie przystanęła. Najwyraźniej to miejsce nie miało dla niej żadnego znaczenia. Czy Jane ulżyło? Czy poczuła satysfakcję? Czy zniknęły ostatnie wątpliwości? Wyciągnęła telefon. Już wcześniej starannie ułożyła sobie zdjęcia. Była przygotowana. Jej palce drżały, gdy naciskała „Wyślij”.

Dźwięk komórki wyrwał Doreen z przyjemnego zamyślenia. Pewnie Heidi sprawdza, czy dojechała. Będzie musiała jej coś nazmyślać. Powie jej, że ojciec wynajął dla niej pokój w Mandarinie. Oczywiście! Zjedli razem śniadanko, a potem odwiózł ją na pociąg.

Ale wiadomość wysłano z jakiegoś nieznanego numeru. I nie miała tekstu. Tylko zdjęcie. Jej. Z Peterem. Siedzieli obok siebie w barze.

– Co do licha? – mruknęła Doreen.

Rozejrzała się. Czy ktoś ją śledzi? Komórka znów zawibrowała. Kolejne zdjęcie.

Tym razem Doreen i Peter się całują. I następne – jego jedna ręka jest pod jej bluzką, a druga mocno trzyma jej głowę, na stoliku przed nimi piętrzą się puste

szklanki i kieliszki.

Czy ktoś postanowił sobie z niej zażartować?

Odpisała: „Ha, ha. Bardzo śmieszne”.

Ale to nie był koniec zdjęć. Kolejne przedstawiało Doreen w holu Mandarin Oriental, z ojcem uwieszonym na jej szyi. Na następnym Doreen na ulicy rozgląda się wokół, a jej ojciec wymiotuje do śmietnika. Potem ona w restauracji, uśmiechnięta, szczęśliwa, naprzeciwko ojca. Ta fotografia była chyba najbardziej upokarzająca – nawet bardziej niż te ździrowate z baru. Na tym zdjęciu miała taką radosną, spragnioną uwagi minę. Patrzyła tak ufnie. Gołym okiem było widać, jak desperacko pragnie akceptacji ojca. Aż zrobiło się jej słabo. Ten uśmiech. Ten wzrok. Tak żałośnie wpatrzona w ojca.

– Skasuj to! – ryknęła. – Skasuj!

Na ostatnim zdjęciu ujrzała siebie na stacji w Hamilton, całą wystrojoną, czekającą na pociąg do Bostonu.

„Kim jesteś?”, napisała do swojego prześladowcy. Czuła się osaczona. Przerazona. Ktoś ją śledził, ale kto? I od jak dawna? Jakie były jego intencje? Wiatr smagał jej kark.

Zadzwoił telefon.

– Halo? Halo? Kto to? Czego chcesz?

Ale nikt nie odpowiedział. Zamiast tego usłyszała własny głos – jakiś szalony remiks swoich słów z poprzedniego dnia.

– Kochasz Heidi? – mówił jej głos. – Nie miałbyś ochoty mnie pocałować, Peterze? Tatusiu? Tatusiu? Nie miałbyś ochoty mnie pocałować? Co ci się stało, tatusiu? Już nie mam siły na zakupy. Tatusiu? Tatusiu? Nie miałbyś ochoty mnie pocałować? Przecież jesteśmy tu prawie sami.

Doreen wyłączyła komórkę. Rozejrzała się wokół.

– Przestań! Przestań to robić! – wrzasnęła. Zabije tego kogoś. Udusi go gołymi rękami. – Pokaż się, ty tchórze!

– Ha!

Doreen obróciła się natychmiast. Przy moście stała mała hipiska.

– Zabawne, że ty, Doreen Gray, akurat ty śmiesz wyzywać kogoś od tchórzy. Ha, ha, ha.

Doreen ruszyła w jej stronę.

– Kim jesteś? Czego chcesz?

– Osobiście uważam, że tchórzem można nazwać na przykład osobę, która spędza noc z chłopakiem swojej najlepszej przyjaciółki. Ale taka już jestem. Mam, wiesz, zasady.

– Kim ty jesteś, do diabła?! – warknęła Doreen. Chwyciła dziewczynę za ramię, ale ta zdawała się tym w ogóle nie przejmować. Stała spokojnie w swoim swetrze z alpaki i z plecakiem. – Czego ode mnie chcesz?

– Chcę ci zniszczyć życie – odparła dziewczyna z uśmiechem.

– Ale ja cię nawet nie znam! Dlaczego zupełnie nieznaną mi osobą miałaby...?

I wtedy przypomniała sobie to zdjęcie. Rodzinną fotografię z zakończenia szkoły. Simon, jego matka i ta dziewczyna w bircie i todze. To była ta sama dziewczyna. Ta socjopatka, która chciała ją teraz dorwać. Wtedy, w domu na Leaving Place, Doreen przyglądała się tamtej fotografii dłuższą chwilę. W twarzy tej dziewczyny było coś niepokojącego. Simon i jego matka pochylali głowy i uśmiechali się szeroko, ale usta jego siostry były mocno zaciśnięte. Patrzyła prosto przed siebie, jakby chciała rzucić Doreen wyzwanie, by odważyła się spojrzeć głębiej. Doreen przysunęła sobie wtedy zdjęcie do twarzy. *Myślisz, że mnie widzisz?* Dziewczyna w ramce odpowiedziała drwiącym wzrokiem. *Nie, nie widzisz mnie. To ja widzę ciebie!*

– Jane Vale – powiedziała teraz Doreen.

– Niezwykle miło cię poznać – odparowała Jane. – Po prostu sama przyjemność.

Doreen myślała gorączkowo, jaką przewagę może mieć nad tą dziewczyną.

Jak ją powstrzymać, zanim roześle te zdjęcia? Musi dobrze to rozegrać. Na spokojnie. Każdy napastnik tylko marzy o tym, żeby ofierze puściły nerwy. Doreen nie da Jane tej satysfakcji.

– Tak się cieszę, że w końcu się spotykamy – powiedziała więc swoim najśłodszym głosem i chwyciła małą, spierzchniętą dłoń Jane.

Spojrzała jej głęboko w oczy. Musi coś wymyślić. I to szybko.

Jane wyrwała rękę.

– Ha! Przystaniesz się cieszyć, kiedy wszyscy zobaczą te zdjęcia! – Kciukiem przesuwając fotografię na komórce. – Które powinnam wysłać najpierw? Tak na marginesie, mam dostęp do wszystkich adresów mejlowych w szkole. Niech pomyślę... To z chłopakiem twojej najlepszej przyjaciółki? A może to z tym bufonem, twoim ojcem, jak rzyga na Newbury Street.

– Daj mi ten telefon!

– Muszę przyznać, że zachowywałaś się dość żałośnie w tej restauracji. Och, tatusiu, czy uważasz, że jestem ładna? Kochasz mnie, tatusiu? – Jane parsknęła śmiechem. – A tymczasem typek wlewał w siebie whisky za whisky. Było jasne, że ma cię gdzieś.

– Oddawaj ten telefon! Natychmiast!

– Co? Ten? Ten tutaj?

– Tak!

Doreen wyrwała Jane komórkę i cisnęła ją za barierkę mostu. Aparat roztrzaskał się na kamieniach.

– Tak, to dość efektowne. Ale nie obawiaj się, zdjęcia są bezpieczne.

Przygotowane do wysłania w mojej skrzynce mejlowej. Życie w epoce internetu. Cudowne, prawda?

Doreen rzuciła się na Jane. Dziewczyna była niska, ale silna. Kopłała i wyrywała się, ale Doreen w końcu chwyciła jej ręce za plecami. Przycisnęła ją do barierki.

– Skasuj zdjęcia. Natychmiast!

– Bo co? Zabijesz mnie? Czy to nie lekka przesada? Nawet jak na ciebie? – pisnęła Jane.

Doreen przyciskała jej policzek do barierki. Zaciśnęła dłonie wokół jej szyi.

– Dlaczego nie? Kto by po tobie płakał, ty szkodniku? Zresztą czy nie udało mi się już pchnąć z tego mostu jednego Vale’a? – Zaśmiała się. – Czemu nie pozbyć się od razu całej rodziny? – Jej śmiech stał się głośniejszy. – I waszej mamy! I tej paskudnej kanapy!

– Przestań się śmiać! Zamknij się! – Jane zebrała wszystkie siły i udało jej się odepchnąć Doreen, która upadła na ziemię. Oddychała z trudem. – Zabraniam ci naśmiewać się z mojej rodziny. Słyszysz? Nie masz prawa.

– Nie mam? Kiedy to takie śmieszne! Ha, ha, ha! – Doreen wstała i otrzepała piach z czerwonego płaszcza.

– Zamknij się! Powiedziałam: zamknij się! Zaraz wyślę wszystkie te zdjęcia. Mam ze sobą tablet. Mogę to zrobić w tej chwili. Zniszczę cię. To twój koniec, Doreen Gray!

Doreen patrzyła, jak zarumieniona dziewczyna otwiera swój plecak, i nagle uświadomiła sobie, że wie, jak ją powstrzymać. Oczywiście! Dlaczego od razu nie przyszło jej to do głowy?

Jane grzebała w plecaku.

– Poczekaj, aż wszyscy się dowiedzą o twoich sprawkach. Wtedy nie będzie ci już do śmiechu!

– A niby kto im o nich powie? Ty? – spytała Doreen spokojnie.

Jane uniosła wysoko tablet.

– Żebyś wiedziała, że ja. A nie widziałaś jeszcze nawet połowy. Mam cię, Doreen Gray. Będiesz przeklinała dzień, w którym w ogóle usłyszałaś o Simonie Vale’u.

– Nie jesteś przecież głupia, Jane. I chyba nie masz zwyczaju kłamać. Po co bawisz się w takie gierki? Oddaj ten tablet, bo inaczej... Zresztą to właściwie nie ma znaczenia. Obie dobrze wiemy, że nie upublicznisz tych zdjęć.

– I tu się mylisz, idiotko. Nawet się nie łudź, że dasz radę mnie powstrzymać.

– Powstrzymywać cię? – Doreen pokręciła głową i prychnęła. – Nie mam najmniejszego zamiaru. Nie będzie takiej konieczności. Widzisz, jeśli tylko te zdjęcia trafią do innych ludzi, pójdę prosto do sklepu żelaznego w Hamilton. Tak

się składa, że znam tam sprzedawcę. Ostatnio był jakiś nieswój, ale jestem przekonana, że bardzo się ucieszy, gdy do niego wpadnę. Gdy mu powiem, jak bardzo go kocham, jak go potrzebuję. Że nie potrafię bez niego żyć.

– Odczep się od Simona!

– „Och, Simonie”, powiem mu. „Każdy dzień bez ciebie był istną torturą”.

– Nie puszczę go do sklepu! Ukryję go przed tobą, nie myśl sobie, że nie!

– I tak to będę ciągnąć. Dzień za dniem. Potrafię być cierp-liwa. Po jakimś czasie zaczniemy chodzić razem na spacer. Będę słuchać jego wyznań i zapewniać go, że odwzajemniam jego uczucie. Będzie zachwycony, prawda? Jak myślisz, ucieszy się?

Jane zakryła uszy.

– Zostaw go w spokoju! Nie dość już go skrzywdziłaś?

– A potem, pewnego dnia... – Doreen spojrzała znacząco na barierkę mostu. Rozwiewane wiatrem włosy smagały ją po twarzy. – Pewnego dnia powiem mu, jak bardzo go nienawidzę. – Na jej twarzy było widać obrzydzenie. – „Miałabym cię kochać?”, spytam. „Nigdy. Jesteś żaloszny. Jesteś zerem!”

– To by go zabiło! – jęknęła Jane. – To właśnie mówisz, wiesz? Właśnie mi mówisz, że zabijesz mojego brata, chłopca, który cię kochał! On już i tak... – Jane spuściła wzrok. Ręce jej się trzęsły. – Czy nie dość już go skrzywdziłaś?

– Bo ja wiem...? Ty mi powiedz. Możemy to zakończyć tu i teraz. Ty zniszczysz zdjęcia i znikniesz z mojego życia, a ja zniknę z twojego... i z życia Simona.

Jane pokiwała głową, skuliła się.

– Dobrze, dobrze, wygrałaś.

Doreen prawie zrobiło się jej żal. Ale Jane sama to na siebie ściągnęła. „Nikt nie będzie ze mną zadzierał – pomyślała Doreen. – Już nigdy więcej”.

– Oddaj tablet.

Jane posłusznie podała tablet Doreen, a ta cisnęła go w przepaść. Wprawdzie dziewczyna powiedziała, że już przesłała je na swoją skrynkę, ale Doreen czuła się zupełnie bezpiecznie. Przecież Jane nie narazi brata na takie niebezpieczeństwo.

– Jeśli cokolwiek z tego zobaczę... – zaczęła ostrzegawczo.

– Nie zobaczysz – zapewniła ją Jane.

– Wypadałoby powiedzieć, że miło było cię poznać, ale obie wiemy, że to nieprawda.

– Nienawidzę cię, Doreen Gray. Ty... gardzę tobą.

– No cóż, masz do tego prawo.

Doreen zostawiła Jane przy barierce mostu, zapatrzoną w dół. Na co spoglądała? Na swoje potrzaskane sprzęty? Na zniszczoną przyszłość? Doreen było wszystko jedno. „Poszło zadziwiająco łatwo”, myślała z satysfakcją. Nie rozumiała tylko jednej rzeczy. Odwróciła się w stronę dziewczyny.

– Dlaczego w ogóle mi je pokazałaś? Przecież masz adresy, więc czemu od razu nie rozesłałaś tych zdjęć? Ja bym tak zrobiła.

– Nie wiem. Chyba po prostu chciałam... myślałam... Wiesz, skoro Simon cię kochał, a on jest takim dobrym człowiekiem, to chciałam dać ci szansę.

– Na co? Na przeprosiny? Odkupienie swoich win?

Jane żałośnie wzruszyła ramionami.

– Jak słodko – powiedziała Doreen ze śmiechem i lekkim krokiem ruszyła w stronę kampusu.

Jakie wnioski należy z tego wyciągnąć? Wystarczyło namierzyć i wykorzystać główną słabość Jane. Miłość. To był problem tej dziewczyny. To, co Jane zrobiła, żeby pomścić Simona, wymagało cierpliwości i poświęcenia. Doreen do głowy nie przychodził nikt, dla kogo byłaby gotowa aż tyle zrobić. Ani też nikt, kto zrobiłby coś takiego dla niej. Oczywiście z wyjątkiem Simona Vale'a. Co za ironia.

„No cóż – pomyślała – pewnie jest trochę przereklamowana. Ta miłość”.

Była z siebie dumna. Przyzwyczaiła się do pewnego standardu życia, a Jane Vale chciała go jej odebrać. Doreen zdusiła problem w zarodku, i to bez pomocy Heidi. Ten sukces w połączeniu z triumfem, jakim było spotkanie z ojcem, powinien zupełnie ją uszczęśliwić.

Ale nie czuła się szczęśliwa. Gdy zbliżała się do internatu, w jej piersi czaiło się bolesne przerażenie. Rozprawiła się z Jane skutecznie i raz na zawsze, ale ściśle rzecz biorąc, z jej strony był to szantaż. Pewnie uratowała swoją reputację, ale co uczyniła swojej duszy?

Wrr! Tak naprawdę nic by jej to nie obchodziło, gdyby nie to przekłete zdjęcie! Jakby zawsze ją obserwowało. I bez ustanku zastanawiała się, jak wygląda teraz, gdy przespała się z Peterem, zniszczyła Jane Vale i zrobiła wszystkie te okropne rzeczy! Miała na sumieniu dziewictwo Grahama (stracone) i włosy Chastity (spalone). Zmusiła Briana Whitakera, żeby zerwał z Cynthią Stern, bo Cynthia jakoby powiedziała Whitney Owens, że uważa Doreen za snobkę. Namówiła Aleksa Cummingsa, żeby spytał Madison Morrison, czy usiądzie z nim przy kolacji, dobrze wiedząc, że dziewczyna go odrzuci, a wtedy jego jąkanie stanie się już zupełnie karykaturalne. Udało jej się wmanewrować pana Bugialego w postawienie jej oceny celującej z chóru, mimo że nigdy nie pojawiła się nawet na jednych zajęciach, próbie czy koncercie. Szeroko otwierając oczy i trzepocząc rzęsami, zapewniała go, że wszystko przez tę treść.

Wspięła się po schodach na swoje piętro. W głowie jej huczało. Zdjęcie wiedziało o tym wszystkim. Bała się nawet myśleć, jak wygląda teraz, po tych wszystkich grzechach, manipulacjach, wykorzystywaniu innych. Przecież zdjęcie miało dać jej wolność. Ale jakim kosztem? Dlaczego to zwycięstwo miało taki gorzki smak? W pokoju rzuciła się na łóżko i mocno przytuliła Mopeya. Czy nie

ma już dla niej ratunku? Czy jest potępiona? Dlaczego wygrana zupełnie jej nie cieszy?

Gdyby tylko mogła opowiedzieć komuś o tym wszystkim. Wypowiadać się, obnażyć przed kimś duszę! Z pewnością zna kogoś godnego zaufania, kogoś, komu może powierzyć ten sekret, a w zamian otrzymać pocieszenie. Heidi? Biz? Przecież były jej przyjaciółkami, prawda? Okażą jej zrozumienie. Ale wtedy będą wiedziały. Wszystko, co odtąd zrobi, stanie się przedmiotem ich oceny. Jej dusza na pewno wyda im się zepsuta do cna. I taka zacznie się wydawać jej samej. Nie. To zniszczyłoby ten dar. Jedynym sposobem, by dalej żyć tym pięknym życiem, będzie dzielnie znosić samotność. Taka jest cena, którą musi zapłacić. Mopey musi pozostać jej jedynym powiernikiem.

Zepchnęła słonika z łóżka i długo łkała w poduszkę. Mała, niechlujna, żałosna Jane Vale miała więcej niż ona. Więcej, niż będzie miała kiedykolwiek. Miała miłość! I Doreen – mimo że przed chwilą triumfowała nad swoimi wrogami – teraz poczuła, że im zazdrości. W starym życiu zazdrość była jej chlebem powszednim. Teraz to uczucie sprawiło, że znów stała się tamtą Doreen.

Spojrzała w lustro. Nawet z oczami pełnymi łez wyglądała idealnie. Bez względu na to, co się działo w jej wnętrzu, wszystko, przez co przechodziła, tylko potęgowało jej olśniewającą urodę. Zapatrzyła się w odbicie, a widok pięknej twarzy w końcu ją uspokoił. Była samotna, tak, ale co z tego? Każdy wielki człowiek jest w gruncie rzeczy samotny. Tak już się dzieje, gdy jest się kimś wspaniałym. I nawet jeśli pozwoliła sobie na chwilę rozpacz, tak naprawdę nie miała do niej żadnego powodu.

Wyprostowała się i otarła łzy starą kołdrą. Wróciła do rzeczywistości. Na tym polegała cudowność zdjęcia, że wchłaniało każdą ilość brzydoty w życiu Doreen. Wystarczyło tylko się tym cieszyć. Żeby sobie to udowodnić, resztę wieczoru spędziła, obmyślając, jak skłócić Mishę z Miyuki – tylko po to, by się przekonać, czy potrafi tego dokonać.

Okazało się, że owszem.

*

Gdy Jane w końcu zeszła z mostu i ruszyła z powrotem do domu, było jej ciężko na sercu. Porażka w starciu z Doreen odebrała jej ostatni cel w życiu. Odkąd sięgała pamięcią, dzień w dzień patrzyła, jak matka niesie ciężar krzywdy wyrządzonej jej przez ojca – jak nosi ją niczym przemoczone ubrania – i Jane zawsze przysięgała sobie, że nigdy nie dopuści do tego, by ktokolwiek ją tak zniszczył.

Była czujna. Miała niewielu przyjaciół. Kierowała się w życiu jedynie własną ambicją i troską o dobro brata. To jej wystarczyło. Woląca, by on miał życie towarzyskie – sławę, jaką pociągało za sobą życie sportowca, randki. Woląca, by

żył za nich oboje. W ten sposób ona mogła w spokoju skupić się na przyszłości. Ale teraz? Kiedy skoczył z mostu, poświęcił coś więcej niż swoje ciało i potencjał. Poświęcił także Jane. Kim teraz była? Przepadła praca dla Korpusu Pokoju. Niby mogła się starać o miejsce na uniwersytecie, ale z chorym bratem na głowie trzeba by uczyć się gdzieś blisko domu, a tu nie było niczego ciekawego.

Z bólem serca musiała przyznać, że bycie siostrą rozgrywającego wiele dla niej znaczyło. Choć kpiła sobie z niego tyle razy, była dumna z jego talentu, z tego, jak ruszał do akcji taki – zdawałoby się – niezniszczalny. Tymczasem okazał się tak bardzo kruchy. Każdego da się zniszczyć, pokonać. A raczej każdego z wyjątkiem Doreen Gray.

Jane zobaczyła swój dom i przystanęła. Nie miała odwagi wejść do środka, znów oglądać twarzy brata obojętnie wpatrzonej w blask starego telewizora. Przez kuchenne okno widziała matkę podgrzewającą kolację z tym samym rozczarowanym wyrazem twarzy, jaki miała każdego dnia. Jane poczuła, że jej ciało się spina, jakby bała się zrobić choćby krok, jakby bała się tego, co oznacza przynależność do tego miejsca.

– Jeszcze jestem młoda – powiedziała na głos. Wiatr osuszył jej łzy. – Wszystko jeszcze może się zdarzyć. Jestem młoda. Jeszcze jestem młoda!

Ale nie czuła się młoda. Czuła się bardzo, bardzo staro.

Czarne legginsy. Czarna minispódniczka. Czarny golf. Czarne kozaki. Włosy zebrane w niski, roztrzepany kok. Błyszczący na ustach. Zabójcze diamentowe kolczyki.

– Ho, ho, Elizabeth, co za odmiana – powiedział pan Cameron.

W wieczornym świetle fotografie wyglądały inaczej niż w ciągu dnia. Biz zaczęła się zastanawiać, czy w ogóle ktokolwiek je zauważy – a jeśli tak, to co sobie pomyśli. Wernisaż zaczynał się już za niecałą godzinę i Biz była tak zestresowana, że miała wrażenie, jakby poruszała się w jakiejś mgłę. Ulżyło jej trochę na widok pana Camerona. Jedna chwila dłużej sam na sam z własnymi zdjęciami, a chybaby tu oszalała.

– To Doreen mnie tak ubrała – przyznała nauczycielowi. – Sama nie wiem. Ale powiedziała, że powinnam się postarać.

Pan Cameron pokiwał głową z uznaniem.

– Wyglądasz bardzo poważnie, moja droga. Jak prawdziwa artystka.

Biz spuściła wzrok. Lubiła te buty. Czuła się w nich silna.

– Naprawdę? To chyba dobrze.

– Oczywiście, że tak!

Nauczyciel zdjął wełnianą czapkę, wcisnął ją do kieszeni płaszcza i rozejrzał się po sali. Był dużym mężczyzną. Jego wąsy i kucyk były siwe i łysiał już na czubku głowy. Mimo lekkiego manieryzmu głównie charakteryzował się tą typową dla nauczycieli nieprzytomnością, połączeniem nadmiernego entuzjazmu z ograniczonym kontaktem ze światem zewnętrznym. Jego dłoń na ramieniu Biz była znakiem niemal matczynej dumy, nadziei, obaw. Biz ucieszył ten gest, pomógł jej opanować nerwy.

– Nie jestem pewna, czy powinnam była dać się panu na to namówić – przyznała.

Mieli przyjść dosłownie wszyscy. Matka, wuj, Doreen, Heidi, cała szkoła i wszyscy ci wpływowi rodzice uczniów. Seth Greenbaum powiedział jej, że przyprowadzi swoją matkę Eloise Peek, właścicielkę słynnej galerii. Biz poszła nawet do biblioteki zaprosić tamtą dziewczynę w zabawnym swetrze, ale bibliotekarka powiedziała, że już tam nie pracuje. Może to i lepiej. Biz była już wystarczająco zdenerwowana. Bała się, że zaraz zwymiotuje z tego stresu.

– Poradzisz sobie. Po prostu wyluzuj i dobrze się baw. -Będziesz miała to za sobą szybciej, niż myślisz.

*

Człapiąc korytarzem w japonkach i ręczniku, Heidi szła w stronę pryszniców i rozważała, czy wymigać się od wernisażu Biz, czy nie. Problem stanowił

oczywiście Roland Gibbons. Ku radości Doreen (i niedowierzaniu Heidi) pojawił się na Tygodniu dla Rodziców, co oznaczało, że będzie dziś w galerii. Sam wielki Roland Gibbons.

Kiedy widzieli się ostatnim razem, dał jej jasno do zrozumienia, że nie chce jej więcej widzieć, bo inaczej... Czy to możliwe, że to było zaledwie trzy lata temu? Zdawało jej się, że minęły całe wieki, ale podejrzewała, że gdyby stuknęła magicznymi obcasikami, natychmiast wróciłaby do tamtej chwili. Pod prysznicem oparła się o ścianę i zamknęła oczy.

Otrzymasz odpowiednie wykształcenie, moja droga. Dostaniesz szansę. Nie zmarnuj jej. A, i nie kontaktuj się ze mną. Jeśli choć raz do mnie zadzwonisz, napiszesz, to koniec. Zrozumiano? Doskonale. Rozumiem, że wiesz, jak stąd wyjść.

Heidi suszyła włosy i patrzyła na swoje odbicie w lustrze. Dużo by dała, by wiedzieć, czy powiedział córce o ich umowie. Od powrotu Doreen z Bostonu uważnie się jej przyglądała. Choć dziewczyna wydawała się zachowywać bez zmian, Heidi zdawało się, że coś jest jednak inaczej. Wyczuwała jakiś dystans, jakby Doreen coś przed nią ukrywała. Układała włosy, krążąc nerwowo po pokoju. Czy Doreen wie? Czy jej ojciec się wygadał? Obsesyjnie wyglądała jakichś oznak, ale tak naprawdę wciąż nie była pewna. Chwilami Doreen okazywała jej tyle czułości, że Heidi zaczynała wierzyć, że jednak nic się między nimi nie zmieniło, że wszystko sobie wymyśliła.

Lecz nawet jeśli Doreen jeszcze nic nie wie, przebywanie w jednym pomieszczeniu z nią i Rolandem to istne szaleństwo. Czy Roland wyda ją wtedy przed całą rodziną? A co, jeśli Doreen już wie? Czy przemilczy sprawę, gdy zobaczy Heidi i Rolanda w jednym miejscu? Będzie tam cała szkoła. Heidi może stracić wszystko, co wypracowała sobie przez te lata. Miała świadomość, że najrozsądniej byłoby po prostu wymigać się od tej imprezy. Przeczekać i liczyć, że sprawa rozejdzie się po kościach. Rzuciła się na łóżko i wbiła wzrok w sufit. Tak, zdecydowała. Tak trzeba zrobić. Udać, że się pochorowała. Zostać w łóżku.

Ale potem obróciła się i ujrzała puste łóżko Biz. Jak poczuje się przyjaciółka, jeśli Heidi nie stawi się na tak ważnym dla niej wydarzeniu? W tym semestrze Biz dosłownie zamieszkała w pracowni fotograficznej. Jeśli Heidi ją teraz zawiedzie, złamie jej serce. A tamta chwila w Hamilton Inn, gdy wyznała wszystko Peterowi, naprawdę stanowiła przełom w jej życiu. Tak bardzo pragnęła teraz szczerości. Z tego powodu też coraz bardziej ceniła Biz, bo była to dziewczyna, która żyła uczciwie. Heidi nie powinna pozwolić, by jej przeszłość zepsuła ważną chwilę w życiu przyjaciółki.

Odrzuciła kołdrę i popędziła do szafy. Jedno było pewne – czekał ją interesujący wieczór. A Heidi nie potrafiła trzymać się z dala od tego, co interesujące. Poza tym przecież wezwała posiłki. Peter już jest w drodze, a przy nim wszystko musi być dobrze. Choć gdy rozmawiali ostatnio przez telefon, wydał

jej się jakiś poirytowany. Zresztą nie po raz pierwszy. „Pewnie ma po prostu dużo na głowie”, powiedziała sobie. A rzeczywiście trochę wierciła mu dziurę w brzuchu, żeby przyjechał. Nie jego wina, że nie wiedział, jak bardzo to dla niej istotne.

Wspomniał, że chce z nią o czymś pogadać. W cztery oczy. Co było tak ważne, że nie mógł tego powiedzieć przez telefon? To pewnie coś związanego z ich przyszłością. Oczywiście! Powie jej, że ją kocha! Wreszcie! Heidi słyszała to już tyle razy od tylu nic niewartych chłopców. Po raz pierwszy jednak będzie miała okazję wypowiedzieć te magiczne słowa: „Ja ciebie też”.

To dlatego był ostatnio taki spięty. Pewnie szykował się na to wyznanie. Może trochę stresował. Heidi pospiesznie skończyła się ubierać. Spojrzała na zegarek. Zaraz otwierają galerię. Najchętniej od razu by tam poszła, żeby mieć to z głowy, ale wiedziała, że musi poczekać. Najlepiej będzie pojawić się na samym końcu. Usiadła na łóżku i otworzyła magazyn. Kiedy znów spojrzała na zegarek, minęła minuta.

*

Uczniowie i rodzice walili drzwiami i oknami, żeby zobaczyć fotografie zrobione przez Biz. Tłoczyli się w obszernym holu zamienionym dziś na galerię, ściskając w dłoniach plastikowe kubeczki z wodą gazowaną i sokiem jabłkowym, szczęśliwi, że została im oszczędzona rozmowa z bliskimi. Kiedy pojawiła się rodzina Biz, galeria była już pełna.

– Nie dają tu nic mocniejszego? – spytała Mamcia, krytycznie spoglądając na napój podany jej przez jakiegoś ucznia.

– Nie przesadzaj – mruknął Roland. – Wytrzymasz jeden wieczór bez alkoholu.

– Ja tak, ale ty? O, jesteś, Elizabeth. Dobra robota. – Mamcia ucałowała Biz w oba policzki.

– Tak, bardzo ładne zdjęcia. Choć liczyłem na kilka fotografii mojej córy. – Roland objął Doreen ramieniem.

– Och, tatusiu – powiedziała Doreen. Prezentowała się niezwykle schludnie w błękitnej sukience koszulowej i butach na płaskim obcasie. Mocno trzymała się ramienia ojca. – Świetna robota, Bizzy. Są wspaniałe.

– Jakoś tak wyszło, że nie mam żadnych zdjęć Doreen – zaczęła się tłumaczyć Biz. – Z wyjątkiem jednego, ale...

– Hej! – przerwał jej Addison z ustami pełnymi precli. – Hej, to przecież Peter Standish. A ten co tu robi? Pete! Pedro! Tutaj!

Addison zaczął wymachiwać w tłumie jak wariat. Peter odpowiedział mu skinieniem głowy. Zwinnie wymijał ludzi, by dotrzeć do ich grupki.

– Nie wiedziałam, że tu będzie – bąknęła Doreen, poprawiając sukienkę.

– Mamo, pamiętasz Petera Standisha, prawda? Mojego kumpla z Harvardu?
– powiedział Addison.

– Dzień dobry, pani Gibbons-Brown.

– Mów mi „Gloria”, bardzo cię proszę. Miło cię znów widzieć, Peterze.

– I yyy...

– Doreen Gray – powiedziała Doreen i uściśnęła dłoń Petera.

– Przecież poznaliście się na balu – zwróciła uwagę Biz. – Macie aż taką słabą pamięć do twarzy?

– A, racja. Doreen Gray. Doreen, tak. Yyy... Cześć.

– Cześć, Peter – odpowiedziała cicho Doreen.

Przedstawiła go ojcu.

– Co ty tu, u diabła, robisz? – spytał Ad-rock i przyjacielsko trzepnął go pięścią w ramię.

– Hm? No. Cóż. Może ci się to wydać dziwne... – Peter uśmiechnął się z zakłopotaniem. Wypadło to uroczo. – Ale chyba mamy wspólnych znajomych.

– Gdzie Heidi? – spytała go Biz. – Wciąż jej nie ma.

– Umówiliśmy się tutaj. Myślałem, że będzie na miejscu, zanim tu dotrę.

– Chwilunia. Chodzisz z Heidi Whelan?! – ryknął Addison. – Ty stary draniu. Powodzenia z tą laską. Z nią nie jest łatwo.

– Z kim? Z kim? – spytała Gloria.

Pokręciła głową, gdy ktoś podetknął jej pod nos tacę z sushi. Addison natomiast chwycił całą garść i wepchał sobie wszystko naraz do ust.

– Z Heidi, mamo. Heidi Whelan. Moją współlokatorką – syknęła Biz i przewróciła oczami. – Heidi Whelan! Spotkałyście się tak gdzieś z tysiąc razy.

Nagle Roland zaniósł się kaszlem.

– Nie mów do mnie takim tonem, młoda damo. Chyba sobie nie wyobrażasz, że będę pamiętała nazwiska wszystkich twoich znajomych. Rolandzie, nic ci nie jest?

– Nic. Nic. Pójdę po coś do picia – wycharczał. – Może coś wam przynieść?

– Biedactwo – powiedziała z troską Doreen. – Przeziębilesz się, tatusiu?

– Tylko trochę mi zaschło w gardle. Nic takiego. Trzeba było wziąć ze sobą kilka buteleczek z hotelu.

– Mówisz tak, jakbym miała setki znajomych – wymamrotała Biz.

– Ha! A to niby ja nie potrafię wytrzymać wieczoru bez alkoholu, co? – zatriumfowała Gloria.

– Może to pomoże? – zaproponował Peter, wyciągając z wewnętrznej kieszeni płaszczka piersiówkę.

– Złoty chłopak! – Roland się ucieszył i podstawił swój plastikowy kubeczek.

Peter nalał mu alkoholu.

– Elizabeth, tu jesteś! – Do ich grupy zbliżał się właśnie pan Cameron. – Jest tu ktoś, kogo koniecznie musisz poznać. A! To pewnie twój dumny ojciec!

– Nie, to mój zupełnie obojętny wuj. Roland Gibbons. A to moja matka Gloria Gibbons-Brown. Mamo, to... Mamo! A ty dokąd?

– Muszę znaleźć coś z bąbelkami, kochanie. Zaraz wracam.

– Idę z tobą – powiedział Roland. – Co ty tam masz, synek? Benzynę?

– To dewar's. Gdybym wiedział...

– Nie musisz przeproszać – stwierdził Roland.

– Wcale nie przepraszam.

– Mam iść z tobą, tatusiu?

– Jestem nauczycielem Elizabeth – wyjaśnił pan Cameron Addisonowi, bo tylko on mu został.

– Wiem, panie C. Przecież byłem w pana klasie ze trzy lata temu. Addison Gibbons-Brown. Zrobiłem nawet serię zdjęć pod tytułem *Odbyty zwierząt*.

– A, tak, oczywiście. Przepraszam, jak mogłem zapomnieć?!

– Byty zwierząt? – spytała Heidi. Pojawiła się nagle u boku Petera w szmaragdowozielonym kostiumie z dużym dekoltem i w butach na wysokich obcasach. – Cześć, kochanie – przywitała się z Peterem i pocałowała go lekko w usta. – Przepraszam za spóźnienie.

– Odbyty. Odbyty zwierząt.

– Ładnie wyglądasz – powiedział Peter.

– Cześć, cześć. – Heidi uściskała się ze wszystkimi na powitanie.

– Ad-rock właśnie opowiadał nam o swoich artystycznych dokonaniach – wyjaśnił Peter. – Ale nie rozumiem. Co właściwie przedstawiały te zdjęcia?

– Bizzy. – Heidi chwyciła Biz za rękę i spojrzała jej prosto w oczy. – Te zdjęcia są niesamowite. Jestem z ciebie taka dumna.

– Prawda? – Pan Cameron się ucieszył. – A teraz czy mogę cię na chwilę porwać, Elizabeth?

– No, odbyty. Mnóstwo odbytów różnych zwierząt. Wiesz, odbyt psa. I kota. I konia.

– Aha. To dużo wyjaśnia.

– Naprawdę ci się podobają, Heidi? – spytała Biz.

– Są... są zupełnie oszałamiające, Biz. Naprawdę. Nie wiedziałam, że w ogóle mnie słuchasz. Ale te autoportrety są genialne.

– Gratulacje – dodał Peter.

– Dzięki. Dzięki, kochani. To dużo dla mnie znaczy. Dobra, dobra. Muszę już iść, chyba ktoś na mnie czeka.

– W końcu jesteś królową balu. – Doreen się zaśmiała.

– Gdzie, hmm... twój ojciec? – zagadnęła Heidi. – Chętnie bym go poznała.

– A, wyszedł tylko na chwilkę z ciocią Głorią. Zaraz wróci.

– Aha.

Mijający ich kelner potrącił Doreen. Oparła się na ramieniu Petera, żeby nie upaść.

– Sorki – szepnęła. – Znaczący przepraszam.

– Nic nie szkodzi – odparł Peter z uśmiechem.

Addison złapał jeszcze sajgonkę z tacy.

– Czekaj no! Teraz sobie ciebie przypominam! Ty jesteś naszą kuzynką, nie? Czekaj, ale ty byłaś zawsze tłuściochem, nie? No, pamiętam, tłusta i dosyć tępa. Jasne. Doreen. Ta od szurniętej matki. Pamiętam cię.

– Ad-rock, może zjadłbyś coś jeszcze? – syknęła Heidi.

– Już są! – Doreen się ucieszyła. – To mój ojciec, tam. Z ciocią Gloria.

– Przepraszam, że tak długo nam zeszło. Oczywiście Roland zna tu niemal wszystkich. Gloria Gibbons-Brown – przedstawiła się Gloria.

– Tak. Heidi Whelan. My się już znamy.

– A to mój ojciec – powiedziała z dumą Doreen. – Roland Gibbons. Tatusiu, to moja przyjaciółka Heidi.

Odwrócił się w jej stronę i stanęli twarzą w twarz. Minęła dobra chwila, nim jedno z nich zorientowało się, że należy wyciągnąć dłoń na powitanie. „To nic takiego”, pomyślała Heidi.

– Heidi Wello, bardzo mi miło – powiedział.

– Whelan – poprawiła go, odchrząkując. Zatem mają się zachowywać, jakby się nie znali. Nie ma sprawy. Kątem oka spojrzała na Doreen, żeby sprawdzić, czy i ona gra w tę grę, ale Doreen niczego nieświadoma w najlepsze rozmawiała sobie z Peterem. To dobry znak. – Heidi Whelan – powtórzyła.

„Dobra – pomyślała. – Dobra. Doreen nic nie wie. I się nie dowie”.

– Czy my się znamy? – spytał Roland, wciąż trzymając jej dłoń.

Przechylił głowę na bok i wpatrywał się w nią uparcie.

Poczuła niepokój.

– N-nie. Nie wydaje mi się.

– Nie? Jesteś pewna, że się nie znamy?

Heidi pokręciła głową. Wyrwała rękę i chwyciła dłoń Petera. Roland trochę przesadzał z tą zabawą w nieznamym. Dlaczego po prostu nie odpuści?

– Ludziom często się zdaje, że skądś mnie znam. – I wtedy to usłyszała. Ten stary akcent z Yonkers. Co, do cholery? – Yhm. To znaczący wydaje im się, że mnie znają – powtórzyła ze staranniejszą wymową.

Nie dopuści do tego, by zmienił ją w tamtą starą Heidi.

– Doprawdy? – drążył. Powoli pokręcił głową. – Jakoś trudno mi to sobie wyobrazić.

Wziął łyk ze swojego kubeczka.

– Zimno ci, kochanie?... – spytał Peter.

Roland przysunął się lekko. Czuć było od niego whisky i cygara.

– Mógłbym przysiąc, że już cię kiedyś widziałem. Jesteś pewna, że nie? Nic ci się nie kojarzy?

– ... bo cała drżysz.

– Nie. Nie, jestem pewna. Bardzo miło było pana poznać, ale muszem... Znaczący... hm... przepraszam... To znaczący... Zaraz wracam.

– Mniejsza z tym. – Roland wreszcie odpuścił i odsunął się, żeby ją przepuścić.

– Dokąd idziesz? – spytał Peter.

– Muszę spytać o coś Franklina. O pracę domową. Przepraszam, ja... To zajmie tylko chwilę.

Zimne powietrze na twarzy było istnym wybawieniem. Wzięła kilka głębokich, łapczywych oddechów. Oparła się o boczną ścianę Alfred Douglas Hall. Tymczasem goście wciąż tłoczyli się przy wejściu do galerii. Roland próbował ją przestraszyć, wytrącić z roli. I udawało mu się, niech go szlag. Nawet akcent jej wracał! Co się, do diabła, działo? Straciła pewność siebie. W głowie wciąż odtwarzała tę rozmowę niczym scenę z jakiegoś filmu akcji, kiedy jeden typ zwraca się do drugiego z pytaniem: *Jeśli ty jesteś tutaj, to kto pilotuje ten samolot?*

– Chcesz zapalić?

– Aaa! Cholera, Gordon, ale mnie przestraszyłeś! – Heidi przycisnęła dłoń do serca.

– Przepraszam. – Gordon Lichter wyszedł z cienia. Był w budrysówce, na głowie miał kaptur, a w ustach papierosa. Mrużył oczy, przesłonięte papierosowym dymem i włosami. Wyglądał jak typowy nastoletni filozof. – Pomyślałem, że może masz ochotę zapalić.

– Nie, dzięki. Ale gdybyś przypadkiem miał garść pistacji, nie pogardziłabym.

– Że co?

– Nic.

Gordon oparł się o ścianę przy Heidi i mocno zaciągnął papierosem.

– Jak tam życie, Gordon?

– Moje? Do dupy. Ale dzięki za troskę. Doreen jest w środku?

– Tak.

Pokiwał głową.

– Z kimś? Z tym typkiem z Harvardu? Jak mu tam? Z tym gnojem?

– Masz na myśli Petera? Jest w środku, ale jest ze mną. Oczywiście nie w tej chwili, ale generalnie.

Choć, czy jej się tylko zdawało, czy wyczuła w nim dziś jakiś chłód?

Gordon pokręcił głową.

– Nie, nie ten. Mówię o tym drugim draniu.

– A, o Coburnie. Nie sądziłam, że o nim wiesz. Nie. Nie ma go tu.

– Wiem o nich wszystkich.

Zabrzmiało to niemal jak przechwałka.

– Gordonie, słuchaj, wiem, że jest ci trochę przykro...

– Ha!

– Ale nie myślisz, że czas już dojść do siebie? Wiesz, w końcu masz tylko siedemnaście lat.

– Opuść sobie, bardzo cię proszę. Wydaje mi się, że nie musimy się bawić w gadki pod tytułem: „Jest tyle innych”, dobrze? Nie chce mi się już tego słuchać.

– Rozumiem.

Heidi wyciągnęła rękę i Gordon podał jej swojego papierosa. Zaciągnęła się i mu go oddała.

– Mogę cię o coś spytać? Nie musisz odpowiadać, jeśli nie chcesz.

Wzruszył ramionami.

– Wal.

– Co takiego jest w Doreen? Wiem, że jest piękna i w ogóle, ale to, jak działa na chłopaków... Wiesz, nie chcę się tu przechwalać, ale ja też nie wyglądam najgorzej, a mimo to nikt nigdy...

– Nie skoczył dla ciebie z mostu?

Heidi pokiwała głową. Czuła się trochę nielojalnie, jakby łamała jakąś niepisaną zasadę przyjaźni, ale musiała to wiedzieć.

– Tu nie chodzi o urodę. No, jest piękna, ale chodziłem z wieloma pięknymi dziewczynami, rozumiesz? Z Doreen było inaczej. Kiedy z nią byłem, czułem się tak, jakbym stał się częścią czegoś wielkiego, czegoś ważnego. Byłem gotów zrobić dla niej wszystko: kłamać, oszukiwać, dać się wywalić ze szkoły, nic nie miało znaczenia.

– To może lepiej, że się rozstaliście.

– Może tak. – Gordon zgasił papierosa o ścianę i cisnął peta w krzaki. – Tylko że za cholerę nie umiem tak na to spojrzeć. Wiesz, o kim ciągle myślę? O tym chłopaku z balu.

– O Simonie?

– No, o Simonie. Myślę sobie, jak wtedy patrzyłem na tego biedaka i chciałem mu powiedzieć: *Łapy przy sobie, ona jest moja*, wiesz? Bo tak mi się zdawało. – Pokręcił głową. – Myślałem, że jest moja, kumasz? Może to śmieszne. Sam nie wiem.

Wcisnął ręce do kieszeni. Wydawał się jeszcze drobniejszy niż zwykle. Wyglądał trochę jak dziecko, które ubrało się w płaszcz ojca. Heidi położyła mu dłoń na plecach.

– Będzie dobrze, Gordonie. To minie.

– Może – wymamrotał.

I już go nie było.

Heidi wzięła głęboki wdech. Czas wrócić na przyjęcie. Jeśli po prostu z niego zniknie, będzie to wyglądało podejrzanie, a poza tym miała wspierać Biz. Peter jej pomoże. Z nim przy boku da radę być urocza, elokwentna i zachwycająca. I nim się obejrzy, będzie po wszystkim.

– Wracaj tam albo on wygra – mruknęła do siebie.

Nie skończy jako ofiara taka jak Gordon. Nie odda kontroli.

– A, tu jesteś.

Odwróciła się natychmiast. Wyłonił się z cienia, idealnie elegancki w swoim szarym wełnianym garniturze, z pomarańczowawą muszką. Roland Gibbons.

– Wszędzie cię szukałem, Heidi Whelan.

„Dobra – pomyślała – idziemy na całość”.

– Czego chcesz, Rolandzie? – Miała nadzieję, że ton jej głosu nie zdradza zdenerwowania.

– Och, niczego takiego. Tylko ładnie ci podziękować.

– Podziękować?

– Tak. Z tego, co zrozumiałem, to ty jesteś odpowiedzialna, przynajmniej częściowo, za transformację mojej córki. Przeszła całkowitą przemianę pod twoją, hm, nazwijmy to kuratelą. – Położył jej rękę na ramieniu. Nie była to szczególnie duża dłoń, ale jednak bardzo potężna.

– Uczyłam się od najlepszych – syknęła Heidi, wrywając mu się.

– Jaki ten świat mały, prawda? Rozumiem, że zaprzyjaźniłyście się z Doreen. Jak wspaniale! Dla was obydwu.

– Przestań się zgrywać i powiedz, co kombinujesz, draniu – warknęła Heidi.

– Ja? Kombinuję? Skądże znowu.

– Naprawdę przesadzasz, wiesz? Masz teraz Doreen. Nie zasługujesz na nią, ale ją masz. Nasza przyjaźń nie ma nic do tego.

– No cóż. Właśnie o tym chciałem z tobą porozmawiać. Widzisz, wydaje mi się, że Doreen nie byłaby tobą taka zachwycona, gdyby знаła pewne fakty dotyczące twojej, hm, sytuacji.

– Tak? A co by pomyślała o tobie, gdyby wiedziała, że jesteś zbrojcem i gwałcicielem, co?

– Znow ta stara śpiewka? Moja droga, naprawdę powinnaś wymyślić coś nowego.

– Nie jestem żadną „twoją drogą”, pedofilu.

– Dość tego! – Roland chwycił ją za ramię. Mocno. – Słuchaj, mała wiedźmo. Masz się trzymać od niej z daleka, słyszysz? To moja córka i nie będzie się zadawała z takimi jak ty. Doceniam to, co dla niej zrobiłaś, i mówię to serio, ale koniec tej zabawy. Twój sekret jest bezpieczny, możesz w spokoju skończyć tę szkołę i iść w świat. O ile tylko zabierzesz swoje brudne yonkerskie łapska od

mojego dziecka.

Puścił ją, a ona z uśmiechem rozmasowywała sobie ramię. Nie podda się. Nie okaże strachu.

– Jesteś obrzydliwy. Wiesz o tym? Może powinieneś jej o wszystkim powiedzieć, żeby zobaczyła, kim naprawdę jest jej ojciec.

– Kim takim? Kimś, kto zaoferował swoją mądrość zagu-bionej dziewczynie. A ona odpłaciła mu stekiem kłamstw i szantażem. Przykro mi, moja droga, ale trudno mi sobie wyobrazić, jakim cudem miałybyś dobrze wypaść w tej opowieści.

– Przestań mnie nazywać „swoją drogą”!

Roland potarł czoło.

– Mam cię tak serdecznie dość. Nie pojmuję, dlaczego w ogóle zaprzątałem sobie tobą głowę. Dlaczego zachciało mi się podzielić wiedzą z córką śmieciarza?

– Otarł jedną rękę o drugą z takim obrzydzeniem, jakby rozmowa z Heidi była tym samym co bezpośredni kontakt z odpadkami. – Chyba należy mi się jakaś wdzięczność.

– Wdzięczność? Za co? Za to, że zwolniono mnie z pracy?

– Dobrze wiesz, że nie ja to załatwiłem, tylko moja żona.

– Była żona.

– Tak, jakie to miłe z twojej strony, że mi przypominasz. Moja była żona. – Wściekłość, która opanowała go przed chwilą, już minęła i znów miał pełną samozadowolenia minę, taką jak w Hamptons. – Tej biednej idiotce uroiło się, że nasza przyjaźń stanowi jakieś zagrożenie, więc chciała się ciebie pozbyć. Uznałem, że nie ma sensu się kłócić. Szczęście żony przede wszystkim, i takie tam. Zresztą i tak już mi się wtedy znudziłaś. Nieustannie taka we mnie wpatrzona. Taka posłuszna. Myślałem, że masz więcej ikry. Więcej fantazji! Byłaś wtedy taka młoda. I całkiem ładna. Pamiętasz to przyjętko, na które cię zabrałem? Ach, moja siostra nie posiadała się z oburzenia. To było przezabawne.

Zachichotał na to wspomnienie. Heidi poczuła, że się rumieni. To przyjęcie było w jej życiu momentem przełomowym. Dla niego nie znaczyło nic. Ot, udany dowcip.

– Cieszę się, że stanowiłam dla ciebie taką doskonałą rozrywkę.

– Tak. – Machnął ręką. – Ale zanim do akcji wkroczyła Constantina, już miałem cię powyżej uszu. Nasze lekcje stały się takie nużące. I gdzie nie poszedłem, zaraz tam byłaś. Z tą swoją promieniejącą entuzjazmem twarzyczką i kucykiem. Masz może ogień? – Wyciągnął z płaszcza cygaro. Obciął kapturek niewielkim obcinaczem. Obszukał kieszenie. – Mniejsza z tym, już mam.

Zapalił zapalniczkę i odwrócił się tyłem do wiatru, żeby podpalić cygaro.

– Niedobrze mi się robi, jak cię widzę.

– Oszczędź sobie. – Zgasił zapalniczkę i cisnął ją w trawę. – Wydaje ci się, że

możesz przy mnie zgrywać niewiniątko? Nawet gdyby udało mi się powstrzymać Constantinę, w co wątpię, to o czym my tu w ogóle rozmawiamy? Wakacyjna fucha. Dziewięć dolarów za godzinę. Kosztowałaś mnie o wiele więcej, prawda? – Podszedł bliżej. Żar cygara odbijał się w jego ciemnych oczach. – Śmiesz mnie krytykować? Zapomniałaś już, jak pojawiłaś się w moim apartamencie, bo udało ci się wmówić temu przygłupiemu portierowi, że pracujesz dla mojego marszanda? Ale nadal byłem dla ciebie miły. Zaproponowałem coś do picia. Powiedziałem, żebyś usiadła. A ty co? Siadłaś w tym swoim wdzianku i zaczęłaś mi grozić!

Podszedł jeszcze bliżej. Smród cygara stał się nieznośny. Heidi zacisnęła powieki. Znow ujrzała siebie w tym białym apartamentowcu na Piątej Alei. Z olbrzymim tarasem i słynną kolekcją dzieł sztuki. Wszystko dokładnie takie, jak to opisano w „New York Timesie”. Wystarczyło tylko odczekać trzy dni na ławce przed budynkiem, jedząc kanapki, które matka robiła jej do pracy, bo Heidi miała jakoby posadę w jakimś hotelu w mieście. Trzy dni czytania książek z listy, którą jej dał, gapienia się na dzianych mieszkańców wchodzących i wychodzących z budynku, aż wreszcie go zobaczyła, usłyszała, jak rzuca rozkazy portierowi. Wtedy zaczęła działać.

Twarz Rolanda była teraz bardzo blisko. Widziała lekki zarost na jego policzkach. Włoski brwi.

– Gwałt na nieletniej. Tak powiedziałaś. O, tak. Wszystko dokładnie sobie obmyślałaś, prawda? Ja, który nigdy nawet cię palcem nie tknąłem! Nigdy w żaden sposób ci nie uchybiłem! Z jakichś niepojętych względów cię szanowałem. Wyobrażałem sobie, że będziemy miło wspominać te wspólne chwile. Ale nie ty. Ty musiałaś zrobić z tego tani melodramat, czyż nie?

Machnął jej cygarem tuż przed twarzą, a ona odskoczyła z odruchowym krzykiem. Roześmiał się. W tym był dobry. W śmianiu się z niej. Tak wtedy zrobił. Wtedy w apartamencie. Gdy już osiągnęła wszystko, czego chciała, zmusiła go, żeby zgodził się zapłacić za jej edukację w szkole, którą tak dobrze wspominał, w tej mitycznej Chandler Academy. Nim zdążyła poczuć jakąkolwiek satysfakcję ze zwycięstwa, roześmiał się. Głośno. Śmiał się, śmiał i śmiał. Śmiechem tak konwulsyjnym i histerycznym, że nie mógł być udawany. Ocierał łzy z oczu i śmiał się dalej. A potem zmienił zasady gry. Powiedział, że tak, uruchomi swoje znajomości, żeby ją tam przyjęli, opłaci jej chesne, ale tylko dlatego, że podziwia jej śmiałość.

– I co? Może tego nie zrobiłem? Załatwiłem ci tu miejsce, opłaciłem chesne. I postawiłem tylko jeden warunek: że nie chcę cię nigdy więcej widzieć. Czy to aż takie trudne? Zdawałoby się, że to niska cena za przepustkę do naszego zamkniętego świata. Ale nawet tego nie potrafiłaś zrobić. Od razu zaczęłaś się umawiać z moim siostrzeńcem. Potem zamieszkałaś z moją siostrzenicą. Przymknąłem na to oko. „A niech się bawi, co to szkodzi”, myślałem. Było mi to

obojętne. Stwierdziłem, że nie warto palcem ruszać, żeby ukrócić te twoje gierki. Ale teraz mówimy o Doreen. I to oznacza koniec. Dziś wieczorem. Cokolwiek sobie wykombinowałaś w tym swoim zakłamanym mózdzku, ten mały dramat ze mną w roli głównej właśnie się skończył. W tej chwili. Bo jak nie...

– To co?

Z łokciem opartym o biodro i cygarem trzymanym leniwie między dwoma palcami w końcu spojrział na Heidi – spojrział, a właściwie zlustrował ją od stóp do głów. Miał wypisane na twarzy, co o niej myśli. Była mu zupełnie obojętna. Trzy lata męczarni, czekania na jego akceptację, podejmowania decyzji na podstawie jego filozofii życia, i w końcu Heidi zrozumiała, że dla Rolanda Winthropa Gibbonsa IV nie była warta nawet chwili namysłu. Była dla niego warta nie więcej niż wszyscy ci malarze i kompozytorzy, którym w istocie nie poświęcał najmniejszej uwagi. *Nawet nie zaprzętałam sobie nimi głowy*, mówił. I to samo mógłby powiedzieć o niej. Jedynie go irytowała, to wszystko. Plama na chustce do nosa bardziej by go poruszyła.

Jak jedna osoba może mieć taką władzę? Dla Rolanda -Gibbonsa Heidi zawsze będzie tylko zupełnie nic nieznaczącą irlandzką dziewczyną z Yonkers. Heidi zapragnęła znaleźć się gdzie indziej, z dala od tego mężczyzny, który miał ją za takie nic, że po tym wszystkim, co zrobiła, nie chciał jej nawet szczerze znienawidzić. Właściwie mogła to uznać za dobrą radę i też przestać się nim przejmować. Ale nie potrafiła! Dlaczego? Dlaczego?

Roland miał coraz bardziej znudzoną minę. Wziął cygaro do ust.

– Masz zniknąć z mojego życia. I życia mojej córki. Wystarczy jedno moje słowo, a możesz mieć poważne kłopoty.

– Tatusiu? – Kilka kroków od niej w czerwonym płaszczu Biz stała Doreen.
– Co wy tu robicie?

Roland pochylił się w stronę Heidi.

– Nie wystawiaj na próbę mojej cierpliwości, mała – szepnął jej do ucha, a potem natychmiast odwrócił się w stronę córki. – Doreen! Tu jesteś, kochanie. Właśnie dziękowałem twojej przyjaciółce za to, że pomogła ci się zadomowić w mojej starej szkole.

– Aha. – Doreen popatrzyła na niego, potem na przyjaciółkę, znów na niego.
– Dobra, fajnie. Idziemy już. Chcesz się jeszcze pożegnać z Biz?

– Ach tak, zupełnie zapomniałem o naszej młodej artystce! – powiedział Roland.

– Idziesz z nami, Heidi?

– Ja... yyy...

– Heidi trochę źle się czuje. – Roland wszedł jej w słowo. – Naprawdę powinnaś iść do domu, Heidi. Zatrąszyc się o siebie.

Ruszył z Doreen z powrotem w stronę budynku.

– Cholera! – Trzymając się za głowę, Heidi krążyła w kółko, coraz bardziej wściekła. – Nie, nie i jeszcze raz nie!

Mowy nie ma, żeby tak się to skończyło. Roland nie będzie jej mówił, z kim może, a z kim nie może się przyjaźnić. Heidi może i będzie się przyjaźniła z tym, z kim będzie jej się podobało. Nie ma prawa jej kontrolować. Jeśli wydaje mu się, że Heidi po prostu się zamknie i będzie robić, co on jej każe, to nie wie, z kim ma do czynienia.

Ale swoją drogą koniec szkoły był tak blisko. Heidi niemal czuła wolność, jaka czeka na nią po zakończeniu roku. To jak ta chwila, gdy Dorotka w końcu dociera do Szmaragdowego Miasta. Heidi już widziała jego mury. A jedyne, czego potrzebuje, by dostać się do środka, to dyplom Chandlera. Roland może jej to odebrać jednym pstryknięciem swoich wypielęgnowanych palców. Oboje dobrze o tym wiedzieli.

Jak on to powiedział? *To moja córka i nie będzie się zadawała z takimi jak ty.* Czy ktokolwiek inny potrafiłby tak ją upokorzyć jednym zdaniem? Ale ona mu jeszcze pokaże. Nie była już zerem z Yonkers. Roland się przekona, że nie powinien jej lekceważyć.

– Przestań! – syknęła na samą siebie. – Dość tego!

Musiała się opanować. To kwestia przetrwania. Zapomnieć o nim, pójść dalej, przerwać to błędne koło starań i rozczarowań, w jakie zmieniło się jej życie. Musi się z niego wydostać, uwolnić. On nigdy jej nie doceni. „On cię nic nie obchodzi – pomyślała sobie. – Naprawdę nic”. Po co w ogóle jej oni wszyscy? Tylko jest przez nich uwiązana. Najważniejsze to myśleć o swojej przyszłości. Jeśli pozwoli, by Roland wygrał tę małą bitwę, ona wygra coś więcej – wspaniałe życie dla siebie. Dla siebie i dla Petera. Czy to nie najważniejsze? Wystarczy, że zerwie kontakty z Doreen. Odetnie cumy i pożegluje w dal, nie oglądając się za siebie.

Ale jak zareaguje Doreen? Dotąd zawsze jej się wydawało, że komu jak komu, ale jej nie grozi gniew przyjaciółki. Że chroni ją przed nim ten szczególny szacunek, jakim Doreen ją darzy. Teraz jednak nie była tego taka pewna. Prawdę powiedziawszy, im więcej o tym myślała, tym bardziej bała się konsekwencji. Doreen nie pogodzi się tak łatwo z odrzuceniem. A gdy Heidi traciła czas na zakochiwanie się i marzenia o studiach, jej przyjaciółka doskonaliła się przecież w sztuce bezlitosnych kar.

Zresztą nie tylko o to chodziło. Odkąd w jej życiu pojawiła się Doreen, wszystko zmieniło się na lepsze. Gdy myślała o sobie z czasu, zanim poznała Doreen, widziała jakąś obcą dziewczynę, samotną i cyniczną. Przedtem wszystko stanowiło tylko środek do jednego jedyne go celu: piąć się wyżej. To było takie męczące. Wszystko to zmieniło się z chwilą poznania Doreen. Czy to mógł być przypadek, że na jesiennym balu, gdy Doreen potraktowała Simona z takim okrucieństwem i jak szalona zaczęła się wspinać po szczeblach szkolnej hierarchii,

Heidi przeżyła przełom?

To od tamtej chwili zaczęła być bardziej szczerą z Peterem. Stała się lepszą przyjaciółką dla Biz. Zupełnie tak, jakby Doreen ucieleśniała najgorszą część jej natury, a Heidi mogła teraz rozwijać tę jasną stronę. Co by się stało, gdyby wróciła do siebie samej z czasów przed poznaniem Doreen? Nie. To wykluczone. Doreen Gray to jej nadzieja na lepszą duszę.

Musi być jakieś inne wyjście. Jakoś musi się dać wszystko uratować.

Kiedy przyszedł Peter, stała, drżąc i marszcząc czoło w zamyśleniu. Przyniósł jej płaszcz.

– Tu jesteś. Wszyscy już wychodzą. Zaprosili nas na kolację. Idziemy?

Potrzebuje więcej czasu. Na pewno zaraz coś wymyśli, rozwiązanie jest na wyciągnięcie ręki, musi tylko po nie sięgnąć.

– Chyba nie dam rady. Nie czuję się najlepiej. Myślisz, że wybaczą mi nieobecność?

– Hm. Jesteś trochę blada. Pewnie się przeziębiałaś. Chodź tu.

Zapiął jej płaszcz, roztarł ramiona. Przytulił ją mocno i w tym uścisku Heidi poczuła się silna. Chciał ją. Ten wspaniały człowiek ją chciał, mimo że wiedział o niej tak wiele. Oczywiście! Dlaczego wcześniej o tym nie pomyślała?

– Zaczekaj. Peter, kiedy powiedziałam ci te wszystkie rzeczy, no wiesz, o tym, skąd pochodzę i w ogóle, nigdy ci to nie przeszkadzało?

– Heidi, ile razy ci mówiłem? Jeżeli to w ogóle cokolwiek zmieniło, to tylko sprawiło, że tym bardziej cię polubiłem.

– Polubiłem? Czy pokochałem?

Ale nie dosłyszał. Oglądał się przez ramię na wejście na wystawę, gdzie stali wszyscy Gibbonsowie-Brownowie.

– Powiedziałem Glorii, że zaraz będziemy. Doreen... To znaczy... Wszyscy czekają. – Odwrócił twarz w stronę Heidi. – Przepraszam, o coś pytałaś?

– Chcę z tobą porozmawiać, Peterze – powiedziała, a jej oczy lśniły. – Jest jeszcze coś, coś ważnego. Muszę ci coś powiedzieć. Tobie i Doreen.

Jeśli wszystko im opowie, Roland nie będzie mógł nic jej zrobić. Wreszcie będzie mogła normalnie żyć, być sobą. To rozwiązanie doskonałe. Zachwyciła ją jego prostota i elegancja.

– Może potem, dobrze? Bo, wiesz, oni już się zbierają. To może poczekać? Jeśli źle się czujesz, powinnaś się położyć. Przepraszę ich w twoim imieniu.

– Co? To ty idziesz na tę kolację?

– Nie masz nic przeciwko temu? – Peter już się wycofywał w stronę budynku wystawy. – Jestem taki głodny. Poza tym obiecałem im, że pójde, więc... Szybkiego powrotu do zdrowia! – Posłał jej buziaka.

– O czym chciałaś ze mną pogadać?! – krzyknęła za nim.

Nagle poczuła się samotna. To może poczekać. Może mu powiedzieć jutro.

Była teraz taka zmęczona. Wieczór w pojedynkę dobrze jej zrobi. Będzie mogła uporządkować myśli, zastanowić się, jak im to wszystko opowiedzieć. Najważniejsze, że ma plan. Dotrze do Oz. A oni rozumieją, że Roland to tylko czarnoksiężnik – żaloszny, słaby staruszek schowany za zasłoną.

Biz nie miała w zwyczaju podskakiwać z radości, teraz jednak to właśnie robiła. Tańczyła, wirowała i biegła przez dziedziniec. Było późno. Za chwilę zamykali internaty. Galerię już zamknięto, a rodzice poszli do swoich hoteli. Właściwie powinna pędzić do pokoju, ale po prostu nie mogła. Chciała jeszcze zobaczyć się z Doreen. Sama nie wiedziała dlaczego, ale czuła, że nie uwierzy w to wszystko, póki nie opowie o tym kuzynce.

Eloise Peek miała rude włosy. Albo raczej czerwone – niczym znak stop. Od razu było widać, że ten kolor to nie wynik genetycznej loterii, ale jej świadoma decyzja. Nosila ciężką artystyczną bizuterię i małe zielone okulary.

– Moja droga – powiedziała do Biz – zacznijmy od tego, że wszystkiego mogłam się spodziewać po tej wystawie, ale na pewno nie tego, że odkryję tu prawdziwy talent. Muszę przyznać, że jestem pod wrażeniem. To, jak wykorzystujesz ostrość i nasycenie kolorów, jest naprawdę doskonałe. O, na przykład to zdjęcie. – Machnęła swoimi bransoletkami w stronę fotografii Heidi siedzącej na kanapie w ich pokoju. – Rozmyłaś tę dziewczynę do tego stopnia, że w zasadzie nic z niej nie zostało poza plamą blond włosów, nóg, smug. Zdaje się, że coś mówi, coś opowiada, ale ponieważ zamazałaś wszystko poza jej oczami, widzimy tylko ten mocny błękit w samym środku. To naprawdę piękne, choć trochę smutne.

– Chciałam oddać jej samotność – wybąkała Biz.

– Tak. Jest w tym coś naprawdę przejmującego. – Kobieta pokiwała głową. – A te autoportrety...

Podeszła do serii zdjęć Biz zrobionych aparatem trzymanym w wyciągniętych rękach. Biz patrzyła w obiektyw bez okularów, nie było też widać żadnych ubrań. Zamazała tło, ale jej skóra rysowała się z wyjątkową ostrością. Zdjęcia były niemal identyczne, poza drobnymi różnicami w wyrazie twarzy i kierunku spojrzenia modelki.

Eloise Peek oglądała serię z uwagą. Biz zamarła. Autoportrety były wynikiem tamtego olśnienia w pracowni fotograficznej. Dużo zaryzykowała. Nigdy przedtem nie odsłoniła się do tego stopnia – a już na pewno nie przed zupełnie obcymi ludźmi. Właścicielka galerii stała w milczeniu przed fotografiami, w skupieniu zaciskając usta. Nagle załała ją potokiem słów.

– Każdy pryszcz, zmarszczka, znamię niemal unoszą się nad powierzchnią ciała. Moim zdaniem uchwyciłaś tu tajemnicę dojrzewania, tej granicy między byciem dziewczynką a byciem kobietą. Są naprawdę wyjątkowe. I odważne.

Biz odetchnęła.

– Dziękuję. To był dla mnie przełom. Pod wieloma względami. Nigdy przedtem nie stawałam sama przed obiektywem, ale czułam, że tym razem to

konieczne. Dla mnie. Jako artystki i prawdę powiedziawszy, jako człowieka.

– Znasz mojego syna, Seta Greenbauma? – Eloise przesunęła okulary na czubek głowy. – Jest w trzeciej klasie. Powiedział, żebym przyszła na twoją wystawę. Jest fanem twoich fotografii, jak pewnie wiesz. Widzisz, mam małą galerię w Chelsea...

– Oczywiście! Peek Gallery. Znaczący... Tego... Pani oczywiście wie, jak ona się nazywa. – Biz poczuła, że robi się czerwona jak burak.

– Tak, wiem. I ty też. To dobrze. Cieszę się, że o nas słyszałaś. W każdym razie jestem bardzo tobą zainteresowana. Jesteś oczywiście jeszcze młoda, ale to w zasadzie nie ma znaczenia. Agnes Chase...

– Ta fotografka?

– Tak, oczywiście, o niej mówię. Jest moją klientką i bliską przyjaciółką. I właśnie niedawno wspominała, że potrzebuje asystenta. Wydaje mi się, że szuka kogoś na dłużej, nie chodzi tylko o wakacyjną pracę.

– Będę jej asystentką!

– Podoba mi się twój entuzjazm, kochanie! Ale powinnyśmy działać krok po kroku. Prześlij mi portfolio, a ja porozmawiam z Agnes. To moja wizytówka. Czeka na mejla.

Biz sprawdziła, czy wizytówka dalej jest tam, gdzie ją schowała, w płaszczu w kieszeni na piersi. Była. Eloise Peek, dyrektorka galerii. Och, co za uczucie mieć wreszcie coś własnego, coś, co osiągnęła sama, nie dzięki rodzinie, nie dzięki nazwisku – a właściwie nawet wbrew nim i ich materializmowi, anty-intelektualizmowi. To było aż zbyt piękne. Sama myśl o tym, że wakacje spędzi jako asystentka Agnes Chase! A potem Yale, najlepsza szkoła fotografii na świecie. Oczywiście jeszcze do niej nie napisali, ale napiszą. Była jedną z najlepszych uczennic jednej z najlepszych szkół w kraju. Jeśli jej mieliby nie przyjąć, to kogo?

Była tak pogrążona w marzeniach o swoim szczęściu, że wpadła prosto na człowieka wychodzącego akurat z West Hall.

– Au!

– O Boże, strasznie przepraszam... Peter? – Pomogła mu wstać. – Co tu robisz? Myślałam, że pojechałeś do domu całe godziny temu.

– Yyy... Tak. – Peter obejrzał się na West Hall. – Zostałem jeszcze trochę... żeby się zaopiekować Heidi. I przysnąłem.

– Ale nasz internat jest w zupełnie innej części kampusu. Tu mieszka Doreen.

– Naprawdę? – zdziwił się. – Co za zbieg okoliczności. W każdym razie świetnie cię było znowu zobaczyć i jeszcze raz gratuluję.

Zabzyczała mu komórka.

– Esemes? Od kogo?

– He? A, nie wiem. – Wyciągnął telefon i przysunął sobie blisko twarzy. – To twój brat. *Fajnie było cię zobaczyć, stary.* Miło z jego strony, że napisał.

Biz wyrwała mu komórkę. Wiadomość na ekranie była od Doreen: *Już tęsknię, Misiaczku.*

– Nie rozumiem. Ty i Doreen? Przecież jesteś z Heidi!

– Słuchaj, Biz, wiem, że przyjaźnisz się z Heidi. I ona jest świetna, tak? Ale Doreen i ja... To, co jest między nami... to coś zupełnie innego. Wyjątkowego. Tego się nie da wyjaśnić.

– Ale Heidi cię naprawdę lubi. Ona cię kocha. A nie kocha nikogo. Tylko ciebie.

– No cóż, to jej problem. Powiesz jej? W sumie wyświadczyłabyś mi przysługę, gdybyś jej powiedziała.

– A twój przyjaciel? Coburn? On też się nie liczy?

Peter pokręcił głową.

– Nie dla mnie. Nie teraz. Teraz liczy się tylko ona. Nigdy nie czułem się tak jak przy niej.

– Jesteś żaloszny. Przecież studiujesz, jesteś dorosły.

Ale Peter jej nie słuchał. Wpatrywał się w okna budynku, wyraźnie próbując się doliczyć, które należy do Doreen. Kiedy wreszcie odwrócił głowę, wyglądał na zaskoczonego tym, że Biz jeszcze tam stoi.

– To na razie – mruknął i sobie poszedł.

Oczywiście to nie była jej sprawa, a jednak gdy pięła się po schodach, dopadło ją poczucie zagubienia i rozczarowania. Zawsze podziwiała Doreen, przymykała oczy na jej drobne manipulacje, tym razem jednak kuzynka posunęła się za daleko. Biedna Heidi. Biz krajało się serce na myśl o przyjaciółce.

– Wiedziałaś, że wrócisz! – krzyknęła Doreen, otwierając drzwi. Miała na sobie tylko biały koronkowy gorset i także szorty. – A, to ty.

– A co? Spodziewałaś się kogoś innego? – spytała Biz.

– Kto wie? Co tam? Przyszłaś podzielić się wieściami? Mów wszystko. Mogę nawet udawać zdziwioną, choć Addison już wszystko mi powiedział. – Zdjęła z haczyka na drzwiach satynowy szlafrok w odcieniu lila i zarzuciła go sobie na ramiona.

– A co? Z nim też chodzisz do łóżka? Pamiętaj, że to twój kuzyn w pierwszej linii.

– He? Oczywiście, że nie! Po prostu wpadłam na niego w hotelu po tym, jak pożegnałam się z ojcem. Co cię napadło?

– To zabawne, że pytasz.

Doreen wskazała jej miejsce na łóżku.

– Bizzy. Siądź tu przy mnie.

– Dziękuję, postoję. Gdzie zdjęcie?

– Słucham? Jakie zdjęcie?

– Wiesz jakie. To, na którym jesteś w czerwonej sukience.

– Ty znowu o tym? Przecież ci mówiłam, że go nie mam. Zresztą po co ci ono? Fotografie na wystawie są o wiele lepsze. To moje to tylko kopia z „Vogue’a”. Na wernisażu pokazałaś o wiele ciekawsze rzeczy. Podobał mi się ten portret twojej matki. Diamenty wyglądały, jakby miały zeżreć jej twarz!

– Mm-hmm. Dobra. Więc rozegramy to inaczej, jeśli tego sobie życzysz.

Biz szarpnęła za górną szufladę biurka Doreen. Wyrzuciła zeszyty i zaczęła przerzucać kartki w poszukiwaniu zdjęcia. Niczego nie znalazła, więc wyciągnęła kolejną szufladę i całą zawartość wysypała na dywan.

– Biz! Co ty wyprawiasz?

– Gdzie ono jest? Gdzie jest zdjęcie, Doreen?

– Mówiłam ci. – Doreen nie wyglądała na przejętą tymi poszukiwaniami. Stała przy łóżku z rękami na biodrach, gdy tymczasem kuzynka przewracała jej pokój do góry nogami. – Mam nadzieję, że przynajmniej po sobie posprzątasz.

– Nie uwierzysz, na kogo tu wpadłam chwilę temu. Na Petera Standisha. Wiesz, chłopaka Heidi?

– Chłopaka? Dobrze sobie – mruknęła Doreen pod nosem.

– Co? Co powiedziałaś?

– Nic, nic, mów dalej. Wal to kazanie, jeśli musisz, bo widzę, że bez tego się nie obejdzie.

– Tak, tak. Taka właśnie jestem nudna. Wiem. Ale w życiu bym nie pomyślała... Jej by przez myśl nie przeszło...

– Oczywiście! Nasza droga Heidi, uosobienie moralności. Przypomnę ci, że Heidi uważa mężczyzn za obrzydliwe prymitywy i pasożyty, które należy wykorzystać, a potem jak najszybciej się ich pozbyć.

– Tu nie chodzi o to, co sądzi o mężczyznach! Tu chodzi o to, co sądzi o przyjaźni!

Biz położyła się na brzuchu i zaczęła wyciągać rzeczy spod łóżka, puste torby, stare swetry.

– Oszczędź mi tej pogadanki, bardzo cię proszę. Zachowujesz się tak, jakby nie wykorzystywała cię na każdym kroku, twojego nazwiska, twojej pozycji, nawet ciuchów z twojej szafy, twoich toreb i butów. Jak myślisz, dlaczego zgodziła się być twoją współlokatorką? Ze względu na twoją uroczą osobowość? Wiem o niej rzeczy, których w życiu byś nie podejrzewała. Wiedziałaś, że jest od ciebie o rok starsza? Tak. Jej poprzednia szkoła była tak słaba, że Crotchet kazał jej powtarzać rok. Cały ten czas okłamywała nas co do swojego wieku. Jak to się ma do tych twoich idei przyjaźni? Jest tu tylko dzięki jakiemś tajemniczemu stypendium, którego nie dostał nikt ani przed nią, ani po niej. Wcale bym się nie dziwiła, gdyby się okazało, że przespała się z jakąś grubą rybą z zarządu Chandlera, żeby je

dostać.

– Po prostu próbujesz się teraz usprawiedliwić. – Biz wysypywała zawartość pudełek po butach i odrzucała je na stertę. Gdzie podziało się to zdjęcie? – Ale to nie zadziała. Nie na mnie. Znam Heidi. Wiem, jaka jest naprawdę.

Rzuciła się w stronę regału z książkami.

– Widzisz to, co chcesz widzieć, Elizabeth. Heidi Whelan manipuluje ludźmi. Kradnie. Wykorzystuje innych, żeby osiągnąć to, czego chce. Wykorzystuje ciebie. Wykorzystywała mnie. Więc wybacz, jeśli nie czuję się w obowiązku traktować ją jak świętą. A co to wszystko ma do tego głupiego zdjęcia, to już naprawdę pojęcia nie mam. Ale proszę bardzo, jeśli to cię podniesie na duchu, nie krępuj się. Tylko daj znać, jak skończysz. – Doreen rozłożyła się na poduszkach. Ziewnęła leniwie. – Jestem wykończona. Co za dzień. O której jest jutro śniadanie?

Biz stała wśród stert z ubraniami, butami, płaszczami, książkami i gazetami. Dyszała ciężko.

– Zmieniłaś się, Doreen.

– Tak, Biz. Zmieniłam się. – Wycisnęła sobie trochę kremu na dłoń i zaczęła wmasowywać go w jeden łokieć, potem w drugi. – Wiem, że lubisz wspominać z łezką w oku nasze lato na plaży, gdy byliśmy małe, ale to się wydarzyło całe wieki temu. Tak, zmieniłam się. Dorosłam, rozumiesz? Sama mogłabyś to zrobić, nim ruszysz zdobywać świat.

– Nie o tej zmianie mówię. Mówię o tamtym poranku po tym, jak zrobiłam ci zdjęcie. Mówię o tej nieznośnie pokracznej dziewczynie, która wyszła z mojego pokoju wieczorem, a rano wróciła piękna jak modelka.

Doreen zamarła.

– Nie bądź śmieszna.

Teraz kremowała nogi, udając, że zupełnie jej to nie obchodzi, ale Biz dostrzegła, jak zaciska zęby. Przechyliła głowę i wbiła wzrok w kuzynkę.

– Jestem śmieszna, tak? W takim razie pokaż zdjęcie. I tyle. Pokaż mi zdjęcie i będzie po sprawie. Bo to rzeczywiście brzmi śmiesznie. Że zrobiłam zdjęcie, wyretuszowałam je, a ono zmieniło cię w osobę, która jest gotowa poświęcić każdego, kto stanie jej na drodze. To brzmi jak szaleństwo! A jednak jestem prawie pewna, że właśnie to się stało. Muszę wiedzieć, Doreen. Teraz. Muszę wiedzieć, czy ponoszę odpowiedzialność za to, kim się stałaś. Za tego pięknego potwora.

Doreen usiadła. Jej pierś unosiła się i opadała, oczy pałały. Czas jakby zamarł, gdy kuzynki wpatrywały się w siebie. Nagle Doreen uśmiechnęła się szeroko.

– Co za genialny pomysł! – Wskoczyła z łóżka i aż klasnęła w dłonie. – Tak!

Przedarła się przez bałagan na podłodze i dotarła do szafy. Na gołe nogi wciągnęła kalosze i wygrzebała z jakiegoś zakamarka ciężką metalową latarkę. Włączyła ją i wyłączyła.

– Co ty wyprawiasz? – spytała Biz.

– Upewniam się, że działa. Chodźmy!

– Dokąd? – Biz ścisnęło w żołądku.

– Dam ci to, czego chcesz, Biz! Bosko, prawda? – Położyła jej rękę na ramieniu. – Powinniśmy były to zrobić całe wieki temu!

Roześmiała się.

– Co cię tak śmieszy? Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz.

Doreen mocniej ściągnęła pasek szlafroka i z głośnym śmiechem ruszyła w stronę drzwi. Popędziła korytarzem, a Biz za nią.

– Ach, poczekaj tylko, aż zobaczysz, co dla ciebie mam, moja mała Bizzy! – Niemal śpiewała, biegnąc w dół po schodach.

Czy wychodziły na dwór? Czy Doreen gdzieś zakopała to zdjęcie? Ale nie, nie zatrzymała się na parterze, biegła dalej w dół, do piwnicy, a pędząca za nią kuzynka o mało nie zderzyła się z drzwiami przeciwpożarowymi. Oczy Biz od razu zaczęły łzawić od smrodu zgnilizny, ale Doreen szybko minęła przepełnione śmietniki i niebieskie pojemniki na makulaturę. Biz ledwo za nią nadążała. Mignęła jej przed oczami fioletowa smuga. To Doreen wpadła do małego pomieszczenia za śmietnikami.

– Doreen? Gdzie jesteś?

Przycisk na ścianie ożywił słabą jarzeniówkę, która oświetliła kłęby drutów, plastikowych rurek, przegniłych materacy i starych, połamanych mebli. Śmierdziało rozkładem i terpentyną.

– Doreen! Doreen, jesteś tu?

Usłyszała skrzypienie gdzieś na tyłach pomieszczenia. Ostrożnie, starając się niczego nie dotknąć i nie wyobrazać sobie, jakie okropieństwa mogą się czaić w tym smrodzie, mijała połamane ramy łóżek, popękane poduszki, różową gąbkę izolacyjną. Wreszcie na samym końcu pomieszczenia znalazła zardzewiałą metalową drabinę zwisającą z sufitu. Prowadziła do małego schowka oświetlonego od środka latarką Doreen. Płyta, która zasłaniała wejście, była teraz odsunięta na bok i Biz słyszała szuranie przesuwanych rzeczy.

– Doreen! Zejdź. Nic z tego nie rozumiem.

Doreen wystawiła głowę przez dziurę.

– Cierpliwości! Zaraz wszystko się wyjaśni.

Biz patrzyła, jak kuzynka schodzi po drabinie z jakimś bezkształtnym pakunkiem pod pachą.

– Gdzie to zrobimy? Tu jest za ciemno. Chodź. Znam idealne miejsce.

Doreen podśpiewywała sobie pod nosem, gdy wychodziła z graciarni.

Biz ruszyła za nią. Weszły do kolejnego pomieszczenia. Domyśliła się, że to pokój dozorczy, bo było tu pełno narzędzi, ale także biurko i mały telewizor. Doreen zapaliła lampkę na biurku.

– Siadaj – powiedziała.

Biz posłusznie siadła. Doreen rozdarła paczkę. W środku była koperta, a w niej skoroszyt. Biz nagle poczuła, że to, co kryje się w środku, zmieni jej życie raz na zawsze. Ale nie potrafiła się powstrzymać. Musiała wiedzieć.

– Aha! – ucieszyła się Doreen. Odłożyła skoroszyt na stertę zdjętych opakowań. – Oto i ono. – Uśmiechnęła się na widok zdjęcia i położyła je do góry nogami na biurku, a potem podsunęła je Biz. – Proszę. Sama zobacz. Proszę, proszę. – Głos miała spokojny, ale oczy szeroko otwarte.

Biz spojrzała na leżący przed nią kawałek papieru.

– No nie wiem.

– No już! – ryknęła na nią Doreen. Walnęła pięścią w metalowy blat. – Patrz. Patrz na tego swojego pięknego potwora. – Odwróciła zdjęcie.

Biz spojrzała w dół i jęknęła.

– Co się z nim stało? Ty to zrobiłaś? Dlaczego?

– Przyjrzyj się uważnie. – Poświeciła lampą na fotografię. – Patrz, Elizabeth. Nie przeocz niczego.

– Nie, nie. Ja nie...

Kompozycja zdjęcia pozostała taka sama – zielona trawa, ciemne niebo, nawet ta czerwona sukienka bez ramiączek. Ale w miejscu tamtej uroczej dziewczyny Biz zobaczyła na krześle potworną bestię – o oczach diabła i rozdziawionej, zakrwawionej, obślinionej gębie, z której wyłaniał się paskudny jęzor. Było to uosobienie pożądania, głodu, nienasycenia. Pokryte czyrakami łapy wyciągały się do przodu, jakby w każdej chwili gotowe chwycić, grabić i zagarniać dla siebie. Było to ciało, które zawsze chciało więcej, zawsze polowało, nigdy nie miało dość.

Biz zakręciło się w głowie, ale Doreen znów walnęła dłonią w blat.

– Patrz, patrz! – rozkazała.

Jej idealne porcelanowe czoło zmarszczyło się, a urocze usteczka wygięły sarkastycznie. Pachniała skórą pomarańczową i lawendą. Co ona – tak niewinna, tak nieskalana – mogła mieć wspólnego z tym obleśnym monstrem?

– Jak to się stało? Powiedz mi. Proszę, muszę to wiedzieć.

Doreen obróciła latarkę w dłoń.

– Pamiętasz tamten letni dzień, Biz? Dzień, w którym zrobiłaś to zdjęcie? Na swoim komputerze zmieniłaś tamtą grubą, brzydką świnię w eteryczną, pełną wdzięku piękność, pamiętasz? Okropnie się przejęłam, gdy mi je pokazałaś. Coś ci świta?

– Myślałaś, że sobie z ciebie żartujemy. – Znow stanęła jej przed oczami Doreen, która pojawiła się tamtego dnia w Chandlerze. Słodka, przestraszona, załamana.

– Tak. Czasem rzeczywiście tak mi się wydaje. Ale zapewniłaś mnie, że nie, prawda? Że zrobiłaś tylko to, co zawsze robią z modelkami w magazynach. A potem Heidi mnie skarciła. Powiedziała, że zniszczy to zdjęcie. Nie pozwoliłam jej. Uczepiłam się go. Chciałam je sobie zachować na zawsze. Wypowiedziałam nawet życzenie. Pamiętasz, co powiedziałam? To nie było aż tak dawno, prawda? Ledwie kilka miesięcy temu.

– Powiedziałaś, powiedziałaś... – wydukała z trudem Biz. – Chciałaś być tą dziewczyną, dziewczyną ze zdjęcia. – Zamrugnęła, próbując powstrzymać łzy.

– Otóż to. I nie zgadniesz! Moje życzenie się spełniło! Tadam! Niewiarygodne? Sama nie mogłam w to uwierzyć. Wiesz, najpierw w ogóle się nie połapałam. Jeśli wygląda się tak, jak ja wyglądałam, to raczej nie spędza się zbyt wiele czasu przed lustrem. Prawda jest taka, że zanim spojrzałam w lustro, rzuciłam się oglądać zdjęcie. Ale ono nie było takie, jak je zapamiętałam. Ta dziewczyna, ta piękność, którą stworzyłaś, Biz, przepadła. Na fotce zobaczyłam zwykłą, brzydką Doreen Gray. Z pryszczami, żalostną czupryną i całą resztą. Czy coś mi się zwidziało poprzedniego dnia? Coś źle zapamiętałam? Nie miałam pojęcia, ale tak mi było żal, że utraciłam tę piękną dziewczynę. Jednak zaraz znowu ją ujrzałam. Spojrzała mi prosto w twarz, gdy tylko znalazłam się przed lustrem. Myślałam, że to jakiś rodzaj załamania nerwowego. Przecież ludzie nie zmieniają się z dnia na dzień. Ale potem przyszłam do was i zobaczyłam waszą reakcję. A jeszcze później w stołówce ludzie traktowali mnie zupełnie inaczej niż zwykle. Wtedy już wiedziałam, że to, co widzę w lustrze, widzi też reszta świata. Życzenie naprawdę się spełniło! Odtąd moje życie stało się cudowne. Żalostna mała Doreen Gray należała do przeszłości, a zastąpiła ją ta dziewczyna!

Zakręciła się w miejscu.

– Mówisz, że dziewczyna na zdjęciu wyglądała jak ty... tak jak ty wyglądałaś. – Biz odwróciła fotografię. – Ale to jest twarz diabła!

– Tak. To stało się już potem. Zauważyłam to, gdy zerwałam z Simonem po tym okropnym meczu. Coś kazało mi spojrzeć na zdjęcie, gdy wróciłam do pokoju. Wtedy zobaczyłam zmianę. Nie jakąś dużą. Tylko bardziej zacięty wyraz ust, lekko rozszerzone oczy. – Doreen chodziła teraz po pomieszczeniu, to wchodząc w krąg światła, to z niego wychodząc. Szlafrok zwisał luźno, pasek ciągnął się po podłodze. Biz siedziała na krześle, kolana podciągnęła pod brodę. – Dopiero następnego ranka po jesiennym balu zaczęłam naprawdę widzieć zmiany. Twarz stała się diaboliczna. To mnie przestraszyło. Oczywiście wiedziałam, że zachowałam się brzydko wobec Simona, i uświadomiłam sobie, że zdjęcie odzwierciedla moje czyny. Ten wieczór z Gordonem... – Uśmiechnęła się. –

Postanowiłam sobie, że będę lepsza. Będę się uczyć. Pójdę do Simona i będę go błagać o przebaczenie. Będę ucieleśnieniem niewinności, łagodności i ciężkiej pracy. Będę jak ty, Biz. Ale wtedy przyszła Heidi i powiedziała, co się stało z Simonem, że jest w szpitalu. Pokazała mi artykuł w gazecie.

– O Boże. – Biz chciała zakryć uszy, żeby nie słyszeć już więcej, ale nie mogła. Musiała tam siedzieć i wysłuchać całej historii.

– Wtedy dotarło do mnie, że nic się nie da zrobić. Więcej: zrozumiałam, że nie chcę nic robić. Zrozumiałam, że to dar. Moja przepustka do szczęścia, rozumiesz? Mogę robić, co chcę. Mogę korzystać z życia i nie muszę za nic płacić. Nie spotkają mnie żadne konsekwencje. Bo zdjęcie poniesie je za mnie! Co za wolność! Niech sobie gnije, gdy ja cieszę się pełnią życia! – Jej uśmiech zniknął, zacisnęła gniewnie usta. – Wtedy pojawiłaś się ty, wścibska, męcząca Elizabeth Gibbons-Brown. Zaczęłaś węszyć, wypytywać o zdjęcie. Trzymałam je w szufladzie, ale wiedziałam, że nie jest tam bezpieczne. Zapakowałam je więc, zesłałam tu i znalazłam odpowiednią kryjówkę. Odtąd leżało tutaj. – Podniosła je z biurka i przyjrzała mu się uważnie. – Muszę przyznać, że stało się imponująco obrzydliwe. Tymczasem ja nieźle się bawiłam.

– Przestań! – Biz wyrwała zdjęcie z ręki kuzynki i cisnęła je na biurko. Chwyliła ją za ramiona i spojrzała jej prosto w oczy. Czy dawna Doreen gdzieś tam jeszcze była? Przecież nie mogła tak zniknąć bez śladu. – Musisz przestać. Natychmiast.

Wyciągnęła ją na siłę na środek pomieszczenia i kazała jej klęknąć na beton. Padła przy niej na kolana, chwyciła jej dłonie w swoje i pochyliła głowę.

– Co ty wyprawiasz? Puść mnie!

– Yyy... Cześć? Boże? Tu mówi... – Biz nigdy się nie modliła. Była racjonalistką. Wierzyła w naukę i logikę. Ale w tym, co przydarzyło się Doreen, nie było ani krztyny logiki. A musiały zwrócić się do kogoś o pomoc. To była ich jedyna nadzieja. – Mówi Elizabeth Gibbons-Brown. A to moja kuzynka Doreen Gray. Chciała cię przeprosić, Boże. Żałuje, ona bardzo żałuje...

– Puszczaj, mówię! – Doreen odepchnęła ją z całej siły, aż Biz przewróciła się na podłogę. Wstała. Otrzepała nagie kolana. – Też coś. Nie powinnam była w ogóle ci mówić. Mój błąd. Jak mogłam być taka głupia?! Puszczaj!

Biz rzuciła się w stronę Doreen i chwyciła ją za kostki. Doreen kopnęła ją kaloszem.

– Dorie! – Biz skuliła się na podłodze i zaczęła łkać. – Błagam cię! Błagam! Musimy cię uratować! Musimy to zakończyć. – Złożyła ręce i spojrzała w górę. – To dobra osoba. Tylko miała ciężkie życie. Proszę, wybacz jej! Doreen, prosz. Proś o wybaczenie.

– Nie!

– Proś! Proście, a będzie wam dane, tak?

– Co dane? Moje stare życie? Nie, dziękuję. Nic nie miałam. Nic! Tylko ból. Upokorzenia, biedę. Nie masz pojęcia, przez co przesłam. Indiana? To było dobre dla przegranych! To tego życia pragnę! Pragnę tego wspaniałego, idealnego, rozkosznego życia. Życia zarezerwowanego dla pięknych ludzi. I nic mnie nie obchodzi, co się stanie z tym przeklętym zdjęciem.

– Ale to nie zdjęcie jest przeklęte, Doreen. To ty!

Biz modliła się szybko, rozpaczliwie, kurczowo zaciskając dłonie. Oczy miała zamknięte, tusz spływał jej po twarzy.

– A teraz wszystkim rozgadasz. Nie powinnam była cię tu przyprowadzać. Trzeba było po prostu cię zignorować. Och, byłoby zupełnie inaczej! Niech to diabli!

– Ona nie chciała, rozumiesz, Boże? Nie jest potworem. Jest dobra. Miła. Uwielbia muzykę klasyczną. I taniec. I zabawę w ogródek.

– Och, zamknij się z łaski swojej! Próbuję się skupić.

– I mozaiki z potłuczonych talerzy.

– Zamknij się! Zamknij!

– Jest dobra. W głębi duszy. Tylko się trochę pogubiła.

– Cisza! – Doreen chwyciła ciężką latarkę i cisnęła nią w Biz. Trafiała w głowę.

Biz osunęła się na ziemię. Cisza.

– Biz? – Doreen oddychała ciężko. Ciało na podłodze ani drgnęło. – Bizzy?

Podeszła do kuzynki. Odwróciła ją na plecy. Przyłożyła jej do szyi dwa palce, żeby wyczuć puls. Potem wstała, już spokojna. Jej umysł pracował. Miała pomysł. Wszystko będzie dobrze! Wszystko się ułoży.

No cóż, może już nie dla Biz.

– I dobrze ci tak!

Doreen zostawiła Biz na podłodze i popędziła na schody. Potem jednak zawróciła po zdjęcie. Zabrała je z biurka i biegła, biegła, biegła, aż dotarła do pokoju. Zrzuciła kalosze. Poszperała w bałaganie na ziemi i znalazła brzydką starą koszulę nocną w kwiatki. Dostała ją od babci. Zdjęła atlasowy szlafroczek i seksowną bieliznę, założyła koszulę. Telefon leżał na stoliku przy łóżku. Nim zadzwoniła, zmusiła się do łez.

Patrzyła na siebie w lustrze. Niewinna, przerażona Doreen Gray. Mała, biedna dziewczynka. Odegra tę rolę idealnie.

– Tatusiu? Nie śpisz? Tatusiu! Stało się coś strasznego. Możesz przyjechać? Proszę cię. Jestem w swoim pokoju. Będziesz musiał zadzwonić do pana dyrektora. Tatusiu, tak bardzo się boję.

Zdjęcie leżało przy niej na łóżku. Schowała je do szuflady nocnego stolika i spokojnie czekała, aż mężczyźni przybędą jej na ratunek.

Heidi obudziła się raptownie. Dziś wreszcie zdradzi swój sekret! Doreen i Peter, i Biz (ona też, czemu nie?), wszyscy poznają historię jej życia. Nie będzie musiała się ukrywać za kłamstwami i półprawdami. Wskoczyła z łóżka. Usłyszała ptaki. Ptaki! Czy to już wiosna? Kiedy to się stało? Podbiegła do okna i ujrzała niebo promieniejące możliwościami.

– Bizzy! Spójrz tylko na dziedziniec! Jest cudownie.

Ale jej współlokatorki nie było w łóżku. A więc musi być o wiele później, niż się Heidi zdawało. Która to godzina? Zresztą co to ma za znaczenie? Wszystko było takie nowe! Już za chwilę stanie się wolna!

Skoro Biz nie ma, pierwszy będzie Peter. Nawet lepiej – przecież to dzięki niemu wkroczyła na drogę prawdy. Pokazała mu swoją prawdziwą twarz, a on ją pokochał. Jak piękne jest życie, kiedy żyje się uczciwie! Roland wykreował jej fałszywy wizerunek i kazał czcić ten twór niczym jakiegoś bożka. A potem przyszedł Peter i roztrzaskał tę maskę kijem bejsbolowym na milion kawałeczków. Peter będzie ją kochał bez względu na wszystko. Rozmowa z Doreen to trudniejsza sprawa, ale o tym pomyśli potem. Wzięła do ręki telefon.

– Halo?

– Peter! Cześć! Obudziłam cię?

– A, to ty... Heidi, nic ci nie będzie, prawda?

– Oczywiście, że nie! Nigdy nie czułam się lepiej.

Po schodach do biblioteki skakał drozd.

– Chcę z tobą porozmawiać. Ja... Widzisz... jest jeszcze coś, jeśli chodzi o moją przeszłość... brzydka sprawa, która mnie męczy. Kurczę, to trudniejsze, niż myślałam. Hm. Możemy porozmawiać w cztery oczy? Wiem, że dopiero tu byłeś, ale może przyjechałbyś znowu? To naprawdę ważne. I obiecuję, że będzie warto.

– Czekaj. Chwila. Biz ci nie powiedziała?

– Biz? Co miała mi powiedzieć? Ja... Nie ma jej tu. Jeszcze się z nią dziś nie widziałam.

Coś w jego tonie sprawiło, że serce jej zamarło.

– Cholera. No dobra. W takim razie miejmy to już z głowy. Słuchaj, Heidi, koniec z nami. Okej? Koniec.

– Co takiego?

– Ty i ja. Już nie jesteśmy razem. Jestem teraz z Doreen.

– Jesteś z... Doreen Gray? Ale to niemożliwe.

– Tak. To się zaczęło jakiś czas temu, kiedy była tu, w Bostonie. Zaopiekowałem się nią, właściwie to ze względu na ciebie. Ale potem, sam nie wiem, łączy nas coś niesamowitego. Wiem, że ty sobie ubzdurałaś... Zresztą nieważne. To koniec. Nie ma o czym gadać.

- Nie, nie. To niemożliwe. Doreen w życiu by nie...
- Żegnaj, Heidi. Wykasuj mój numer, dobrze?
- Nie! Ja... Halo? Halo? Peter?

Cisza w pokoju brzmiała w jej uszach jak krzyk. Czyli to o to chodziło. Wydawało jej się, że to ona ukrywa coś przed Doreen, ale było dokładnie na odwrót. I tak naprawdę od początku o tym wiedziała. Czy nie wyczuła tego od razu po powrocie przyjaciółki z Bostonu? Była pewna, że to Roland coś jej nagadał, ale to było poczucie winy z powodu Petera. Dlatego tak się przed nią zamknęła. Oboje ją okłamali. Okłamali ją! A Heidi myślała, że są jej przyjaciółmi i że pomogą jej zacząć nowe, uczciwe życie.

A teraz została sama. Bez Petera. Bez Doreen. Straciła swoją pozycję w Chandlerze. Już nie stoi na szczycie szkolnego łańcucha pokarmowego. Doreen odebrała jej i to. Odebrała jej Chandlera, Rolanda, Petera i zostawiła ją na pastwę losu. Jak Heidi mogła do tego dopuścić? Dlaczego kompletnie straciła czujność? Myślała, że ma to wszystko na wyciągnięcie ręki. Co za naiwność! Ubzduriała sobie, że jest kimś, ale tak naprawdę pozostała nikim, nikim, nikim.

Zaczęła łkać. Płakała nad wszystkim, co utraciła. Jeszcze nigdy nie czuła się tak pusta. Na całym świecie była tylko jedna osoba, której mogła zaufać. Biz. Miała nadzieję, że przyjaciółka szybko wróci. Wszystko jej opowie. Opowie wszystko Biz, która jest taka dobra, szlachetna i wyrozumiała.

Usłyszała klucz w drzwiach.

- Biz? Bogu dzięki!

Otworzyła drzwi na oścież, ale to nie była Biz. W progu stała Mamcia, Gloria Gibbons-Brown. Idealnie umalowana, z nienaganną fryzurą, a jednak wyglądała przerażająco. Jakby całą noc nie spała.

– Nie. To nie ona. Obawiam się, że to nie Elizabeth. Nie. Ja... Przyszłam po jej rzeczy.

- Jej rzeczy?

Mamcia przemaszerowała przez pokój i weszła do sypialni. Heidi otarła sobie oczy rąbkiem bluzki i ruszyła za nią.

- Co się dzieje?

– Walizki? Pod łóżkiem, tak? – Na obcasach, w spódnicy Gloria klęknęła przy łóżku, by wyciągnąć płócienną torbę i walizkę na kółkach. Wstała, mocno przytrzymując się łóżka, i ruszyła do szafy. – Chyba zacznę od ubrań.

Przesunęła palcami po sukienkach, bluzkach i spódnicach.

– Piękna, prawda? – Wyjęła krwistoczerwoną jedwabną apaszkę. Zarzuciła ją sobie na szyję. – Kupiliśmy ją w Paryżu. Chyba to nawet Roland ją kupił. – Spojrzała w lustro, potem zdjęła ją i przycisnęła jedwab do policzka. – Biz oczywiście nic to nie obchodziło. Interesowały ją tylko książki i cała ta sztuka. Aparaty, bloki do rysowania. Cóż, nieważne. Chcesz to? Masz. Bierz, co chcesz.

Pozwoliła apaszce opaść na podłogę.

– Nie rozumiem. Gdzie jest Bi... Elizabeth? Nic jej nie jest? Czy coś się stało?

– W szpitalu. Wstrząśnienie mózgu.

– O Boże.

– Ach, nic jej nie będzie. Zresztą już się ocknęła. Jest coraz lepiej. Tak jej się w każdym razie zdaje. Nie mam serca powiedzieć jej prawdy. – Mamcia siadła na łóżku Biz. Pogłaskała dłonią jedną z poduszek. Potem położyła rękę na kolanach i przez ułamek sekundy Heidi zobaczyła w niej podobieństwo do córki. – Mniejsza z tym. Została wyrzucona ze szkoły. Dlatego tu jestem.

– Wyrzucona? – Heidi ruszyła za nią do pokoju. – Słucham? Nie. To jakaś pomyłka. Biz? Wyrzucona? To niemożliwe. Biz Gibbons-Brown to jedna z najlepszych uczennic!

– To również niedoszła gwałcicielka. Przynajmniej według Doreen Gray. Co mam z tym zrobić? – Stała przed biurkiem Biz. – Muszę kogoś po to przysłać. A może to zostawić? Masz jakieś pudło czy coś?

– Nie, nie! Przepraszam, ale niedobrze mi. – Heidi skuliła się, objęła kolana ramionami, próbując złapać oddech.

Mamcia poszła do sypialni, po czym wróciła, ciągnąc walizkę na kółkach. Powoli zaczęła pakować do niej książki.

– Wczoraj wieczorem moja bratanica zadzwoniła do swojego ojca. Płakała. Powiedziała, że Biz ją zaatakowała. Że użyła przemocy. Podobno moja córka siłą zaciągnęła ją do piwnicy. Tam Doreen uderzyła ją w głowę latarką. W samoobronie.

– To jakaś wierutna bzdura! Przecież Doreen jest kuzynką Biz.

– Tak, cóż. To tylko czyni ten występki poważniejszym. Przynajmniej w oczach mojego brata. I dyrektora waszej szkoły.

– Doreen kłamie!

Mamcia podniosła aparat Biz. Bezradnie obracała go w dłoniach.

– Czy jest tu gdzieś etui? A, tutaj. Nie ma się co spierać. Mój brat stoi oczywiście po stronie Doreen. Wygląda na to, że po tych kilku minutach, które spędził z córką po latach rozłąki, stał się gorącym obrońcą jej nieposzlakowanego charakteru. A Crotchet to jego stary kumpel, wiesz, sentyment ze szkolnych lat i takie tam. Musiałam wysłuchać kazania na temat zerowej tolerancji dla przemocy seksualnej w tej szkole. Powiedział, że nie dopuści do tego, by ktoś próbował oskarżać ofiarę. I oczywiście jestem podłą matką, bo wychowałam takiego potwora.

– Nie. Nie. Tak nie może być. Musi pani działać! Po tym wszystkim, co pani rodzina zrobiła dla szkoły...

Mamcia odwróciła się w jej stronę. Wyglądała na wykończoną,

spanikowaną, ale po raz pierwszy, odkąd Heidi ją znała, wyglądała po prostu jak matka.

– Była tak blisko. Już, już miała osiągnąć wszystko, o czym marzyła. Moja biedna córka. – Głos jej zadrżał.

Zgarbiła się, jej szyja jakby zgięła się pod ciężarem głowy.

– Nie możemy nic zrobić?

– Nie. – Mamcia wyprostowała plecy i machnęła ciężką od biżuterii dłonią. Odetchnęła przez zaciśnięte zęby i wróciła do pakowania. – Nic jej nie będzie. Mamy swoje sposoby. Crotchett zgodził się wyciszyć sprawę. Zresztą i tak lepiej dla szkoły, jeśli nikt się o niczym nie dowie. Dla uczniów. Ale dla Elizabeth? Trudno powiedzieć. Może przynajmniej w końcu do niej dotrze, jak działa społeczeństwo. – Wzięła z półki kostkę Rubika. – Byłam z niej taka dumna. Wiem, że to może dziwnie brzmieć, bo tak często się spierałyśmy. Ale podziwiałam ją za ten upór, z którym walczyła o swoje marzenia. Niczego się nie bała, prawda? – Upuściła zabawkę, która wpadła do walizki. Nagle odwróciła się w stronę Heidi. – Wiem, kim jesteś, wiesz?

– Tak. Widziałyśmy się wiele razy – mruknęła Heidi.

Krażyła po pokoju, usiłując wymyślić jakiś sposób, żeby uratować przyjaciółkę.

– Ale po raz pierwszy wtedy na plaży, prawda? Pojawiłaś się tam z moim bratem. Na tym przyjęciu w Bridgehampton. Pożyczyłam ci sukienkę.

A więc Gloria wiedziała przez cały ten czas.

– Do niczego między nami nie doszło. Mam nadzieję, że pani to wie.

– O ile nie liczyć szantażu. I wykorzystania. Mam rację? Wiem, że Roland naśmiewa się ze mnie za moimi plecami, ale mimo to zawsze wtajemnicza mnie w te swoje małe intrygi. Udało ci się dorwać do konta mojego brata. Ale tego ci było mało, więc dobrałaś się jeszcze do portek mojego syna, a potem zamieszkałaś z moją córką, niszcząc wszystko bez litości. Tak. Nasze życie było naprawdę cudowne, nim się w nim pojawiłaś. Ty i twoja obsesja na punkcie naszej rodziny. – Twarz Glorii wykrzywiła się w pogardzie.

– Ale to nie tak... Choć rozumiem, dlaczego pani tak myśli.

– Czego ty się po nim spodziewałaś, co? Że się z tobą ożeni? Albo cię adoptuje? – Gloria patrzyła jej teraz prosto w twarz, mocno zaciskała szczęki. – Interesował się tobą przez kilka tygodni, a potem mu się znudziłaś. Wielkie mi halo. Moim zdaniem wykształcenie, które dzięki niemu otrzymałaś, powinno zawiązką wynagrodzić ci wszelkie te wydumane straty moralne. Zresztą od razu mu powiedziałam, że jest głupi, że to robi. Niech sobie dziewczyna mówi, komu chce. Ale dla niego nie liczyły się pieniądze. A poza tym myślę, że był zwyczajnie ciekaw, co z ciebie wyrośnie. Łudził się przy tym, że po prostu grzecznie znikniesz. Wiedziałam, że nie ma na to żadnych szans. I oczywiście miałam rację.

Gloria uderzyła dłonią w biurko. Zabrzmiało to jak policzek.

– To nie moja wina.

– Nie? Doprawdy? To czemu tu jesteś? Dlaczego zawsze jesteś gdzieś obok?

– Nie wiem.

Heidi osunęła się na dywan, podkuliła nogi i zasłoniła twarz. Gloria miała rację. Roland nie był jej nic winien. Czy to jego wina, że nie mogła się zmusić, by zadzwonić do domu? Czy to naprawdę jego można winić za to, jak bardzo zaczęła się wstydzić swojej rodziny, a z tego powodu także samej siebie? Łatwiej było nienawidzić jego niż siebie, lecz prawda była taka, że jedyną osobą odpowiedzialną za to, kim się stała, była ona, Heidi Whelan.

– Nie wiem, jak do tego doszło – wyszeptwała. – To się jakoś wymknęło spod kontroli.

– Tak. Wybacz, ale nic mnie to nie obchodzi. – Gloria z powrotem odwróciła się w stronę biurka Biz.

– Ale z Biz jest inaczej – powiedziała Heidi. – Na niej naprawdę mi zależy.

– Ma dziewczyna szczęście.

– Nie. Proszę mnie wysłuchać. To Doreen. Rozumie pani? To jej manipulacje. I nie pozwolę, by uszło jej to na sucho. Naprawię to. Uratuję Biz. Też potrafię być dobra. Musi mi pani zaufać. Zmieniłam się.

Heidi szybko przebrała się w spodenki do biegania i sportowy stanik. Zasznurowała tenisówki.

– A ty dokąd? Pobiegać?

– Popęłniłam wiele błędów. Ale nie pozwolę skrzywdzić Biz. Nie zasłużyła na to. Zrobię coś. Cokolwiek, byle ją uratować.

– Żal mi ciebie. Jeszcze nie zrozumiałaś, że Roland zawsze wygrywa?

– Nie tym razem – powiedziała Heidi i wybiegła z pokoju.

Heidi co sił w nogach pędziła przez pogrążony w ciszy kampus. Minęła bibliotekę i budynek nauk ścisłych, potknęła się na schodach za teatrem, obiegła łukiem halę sportową. Sekretariat znajdował się tuż przy stawie. Heidi weszła do budynku i trzasnęła drzwiami. Popędziła w górę po schodach, przemknęła przez korytarz pod nosem pani Jenkins. Wparowała do gabinetu dyrektora.

– Ona kłamie! – wysapała.

Krew napłynęła jej do twarzy.

– O, Heidi! – powiedział dyrektor. – Pozwolę sobie zauważyć, że wyglądasz, hmm... dość nieoficjalnie.

– Doreen Gray kłamie. Biz nigdy jej nawet nie dotknęła, rozumie pan? Jestem jej współlokatorką, tak? Więc wiem. Doreen to zakłamana manipulantka. Musi mi pan uwierzyć. Ja...

„Ja ją stworzyłam”, pomyślała.

– Doreen... ona nie... ona...

Dyrektor patrzył na nią z kamiennym spokojem i drwiącym uśmiechem na twarzy.

– Zniszczy pan życie Biz. Proszę mnie wysłuchać, nie może pan, to... – Dlaczego nie może się jasno wysłowić? Ma tyle dowodów. Przecież to wszystko jest oczywiste.

Ale dyrektor po prostu siedział z tymi swoimi tłustymi policzkami i zmrużonymi oczami. Siedział w pretensjonalnej dwurzędowej marynarce i w krawacie i czekał, aż Heidi skończy, jakby miała napad jakiejś wstydlivej choroby, który trzeba przeczekać.

– Ona kłamie! Rozumie pan? Dlaczego pan nic nie mówi?

– A co powinienem powiedzieć, moja droga? Wyraziłaś swoje zdanie. Masz do tego prawo. A ja mam obowiązek wysłuchać wszystkich stron.

– No właśnie. O to właśnie chodzi. – To do niej przemówiło. Wyobraziła sobie salę sądową. Siebie w kostiumiku, z aktówką. Oczywiście Doreen pojawiłaby się w swojej najgrzeczniejszej opasce na włosach i machałaby rękami jak szalona, żeby się z tego wywinąć. Ale Heidi by do tego nie dopuściła. Przecież miała dowody przeciwko Doreen Gray. – Świetny pomysł. Powołajmy ławę przysięgłych złożoną z uczniów. Tak. Wszystko im wyjaśnię. – Może jednak wcale nie potrzebuje Petera, by zacząć żyć uczciwie. Może sama sobie poradzi. – Przesłuchanie. Tego nam trzeba. – Poczwała w sercu nadzieję. Wszystko im powie. Zrobi to dla Biz. – Przesłuchanie.

– Tak. Ha, ha – zaśmiał się dyrektor. – A, ty mówisz poważnie. Moja droga, tak mi się tylko powiedziało. To szkoła średnia, a nie *Prawo i porządek*. A jako dyrektor mam ostatnie słowo w tej sprawie. Jestem i sędzią, i ławą przysięgłych.

Jak to się mówi? Przycinam ten węzeł gordoński.

– Gordyjski.

– Słucham?

– Jeśli już, to węzeł gordyjski... Nieważne.

Jak miała dotrzeć do tego tępego grubasa? Trzeba zmienić taktykę.

– To poważna niesprawiedliwość. Naprawdę poważna. W głowie się nie mieści, czego Elizabeth Gibbons-Brown mogłaby dokonać... dla szkoły. Chandler mógłby być z niej taki dumny! Ale po tym z pewnością już nigdy nie dojdzie do siebie.

Z gęby dyrektora nie zniknął uśmiezek samozadowolenia. Heidi miała ochotę skręcić mu ten tłusty kark.

– Pan przekreśla jej szanse na wszystko, a ona ma dopiero siedemnaście lat! To niesprawiedliwe!

– Masz rację, to niesprawiedliwe, ale nie dlatego, że zostanie wyrzucona ze szkoły. Zarzuty postawione Elizabeth są dość poważne, a my, jako poważna instytucja, nie możemy dopuścić, by naszą reputację plamiły opętane seksem lesbijskie gwałcicielki.

– To jakieś szaleństwo. Opętana seksem? Biz Gibbons-Brown? To dopiero zabawne. Ha, ha, ha.

Dyrektor uniósł palec wskazujący.

– Nie skończyłem. Otóż ta sytuacja rzeczywiście może jest niesprawiedliwa... poważnie niesprawiedliwa, czy tak to ujęłaś? A więc choćby nie wiem, jak poważna wydawała ci się ta sytuacja, Heidi Whelan, uczennico na stypendium, córko dumnego członka Związku Zawodowego Śmieciarzy w Yonkers...

– Słucham?

– ... najbardziej niesprawiedliwe jest w niej to, moje dziecko, jak małe będzie to miało znaczenie. Rodzina Elizabeth należy do najstarszych i najznakomitszych rodów na Wschodnim Wybrzeżu. Niejeden ich koń jest wart więcej, niż twój ojciec zarobi przez całe życie. Takie są fakty. Mają przyjaciół i krewnych wśród osób na tyle potężnych, że wszyscy przymkną oko na jakieś tam szkolne wybryki. To nie będzie nawet plamka na jej prześwietnym życiu. Najwyżej pyłek. Nie wszyscy mają takie szczęście. Nie wszyscy mają takie łatwe życie jak Elizabeth, prawda? Właśnie dlatego wymyślono stypendia, praktyki i tym podobne.

– Co pan chce przez to powiedzieć? Pan mi grozi?

– Nie mówię niczego, czego byś nie wiedziała. Sama twoja obecność w tej szkole świadczy o tym, że świetnie rozumiesz mechanizmy funkcjonowania tego świata.

Spojrzał na nią znad okularów w rogowych oprawkach. Patrzyła, jak przesuwa rzeczy na blacie swojego biurka. Czy on wie? Roland z pewnością

rozmawiał z nim o przyjęciu jej do szkoły, o stworzeniu Miejskiego Funduszu Stypendialnego, na który zupełnie przypadkiem wpłacił dokładnie tyle pieniędzy, ile było trzeba, by pokryć trzy lata czesnego. Ale czy powiedział mu, że zmusiła go do tego szantażem?

– Nie wiem, o czym pan mówi – powiedziała najtwardszym głosem, na jaki było ją stać.

– Oczywiście, że nie. – Dyrektor wstał i spojrzał przez okno na staw. – Jastrzębie powinny niedługo wrócić. Wciąż sprawdzam. Uwielbiam, kiedy przylatują ptaki, a ty? – Przyłożył do oczu niewielką lornetkę. – To doprawdy fascynujące. Choć Virgil, mój spaniel, nie podziela tej pasji do skrzydlatych stworzonek. Zeszłego lata... – Spojrzał na Heidi tak, jakby zamierzał opowiedzieć jej jakąś anegdotkę o swoim pupilu, ale na widok jej miny zmienił zdanie. – Mniejsza z tym. Czy jest jeszcze coś, o czym chciałaś porozmawiać?

Odwrócił swoją głupią głębę w stronę okna.

Żyć uczciwie. Żyć etycznie. Da radę. Zacznie od teraz. Zrobi to dla Biz. Podeszła do okna.

– Mogę? – Wyciągnęła rękę po lornetkę.

– Oczywiście? Też lubisz obserwować ptaki?

Heidi spojrzała na żalony sztuczny stawik. Niestety nie było wątpliwości – do wiosny jeszcze daleko.

– Wie pan, panie dyrektorze, hmm... Wiesz, Timothy... – Oddała mu lornetkę i siadła na krawędzi biurka, zakładając nogę na nogę w swoich króciutkich spodenkach do biegania. – Też mam swoją historię życia. Oczywiście nie tak prześwietną jak Biz, ale i ona miała epizody, które, jak myślę, zafascynowałyby wiele osób. Nie ma w niej diamentów, pięknych muzeów, jachtów ani psów z kokardkami i drzew genealogicznych. Tylko władza i pieniądze. Wiesz, takie tam. Milionerzy playboye, którzy mają w kieszeni poważne, zdawałoby się, instytucje. Tajemnice ukryte pod bibliotecznym dywanem. Administratorzy gotowi zrobić wszystko dla swoich dzianych kumpli ze szkoły. To dobra historia. Chętnie ją opowiem.

– Tak? – Dyrektor zmarszczył brwi.

Miała go!

– Heidi Whelan, powinnaś o czymś wiedzieć.

– Tak?

– Biurko, na którym właśnie się rozsiadłaś, należało do Franklina Pierce’a, czternastego prezydenta Stanów Zjednoczonych i absolwenta Chandlera. Będiesz więc łaskawa okazać odrobinę szacunku i zabrać swój tyłek z tego wiekowego mebla?! Jeśli chcesz usiąść, proszę użyć krzesła.

– Wezmę to pod uwagę.

Heidi zmieniła nogi.

– Dziękuję. Natomiast jeśli chodzi o twoje małe przedstawienie, rozumiem, że próbowałaś mnie zastraszyć, tak? Cieszę się, że się dobrze bawisz, ale obawiam się, że to koniec zabawy. Czas wrócić do codzienności, w której natychmiast wyjdiesz z mojego biura, szczęśliwa, że masz okazję zakończyć w spokoju swoją darowaną edukację w Chandlerze, a potem rozpoczniesz ciekawe, choć pewnie niewyrafinowane życie.

– Myślisz, że tego nie zrobię? Zrobię. Zniszczę cię, Crotchett.

– Po co? Dla kogo? Dla Elizabeth Gibbons-Brown? Ona cię nie potrzebuje, moja droga. Wyrzucenie ze szkoły, które dla niej nic nie znaczy, dla ciebie będzie równoznaczne z końcem. Naprawdę warto aż tak się dla niej poświęcać? Zaryzykować wszystko, co dla siebie zrobiłaś, całą tę ciężką pracę, tak zaryzykować? Przecież prawie dotarłaś do celu! A ci ludzie... oni są poza twoim zasięgiem. Nic nie możesz im zrobić. Ja też nie. Są niezniszczalni.

Heidi czuła, że kuli się pod dźwiękiem jego słów.

– Wyrzucenie ze szkoły? Ale z jakiego powodu? Przecież nie zrobiłam nic złego.

– To okrutny świat dla ludzi bez odpowiednich środków. Lepiej dla ciebie, jeśli będziesz grała zgodnie z zasadami gry. Wierz mi. Staraj się nikogo do siebie nie zrazić, a jakoś to przetrwasz. – Dyrektor znów obserwował staw. – A teraz wyjdź, proszę. Mam nadzieję, że zobaczę cię jeszcze raz na rozdaniu dyplomów, ale naprawdę liczę na to, że potem już nigdy nie będę musiał się męczyć w twoim towarzystwie. Miłego dnia, moja droga.

*

Dokąd teraz iść? Co robić? Na pewno nie może wrócić do pokoju. Nie zniesie Glorii i jej nienawiści, tego koszmarnie powolnego pakowania rzeczy. Nie przyzna jej racji. Nie powie, że rzeczywiście nic się nie da zrobić. Roland i Doreen wygrają. Heidi jest zerem. A Biz, która tak ciężko pracowała, nie złamała żadnych reguł, Biz, która chciała tylko coś osiągnąć bez podpierania się wpływami rodziny – teraz będzie musiała się na nie zdać. Ale Biz miała przynajmniej na co się zdać.

Będzie jej ciężko, myślała Heidi, ale to nie tragedia. Natomiast powrót do Yonkers to dla niej samej los, którego nie zniesie. Yonkers byłoby dla niej jak śmierć. Tego nie może zaryzykować. Ani dla Biz, ani dla nikogo innego. Mieli ją w szachu. Dranie. Nienawidziła ich za to. A siebie jeszcze bardziej – za to, że dała się tak łatwo podejść. Jedyne wyjście to pogodzić się z przegraną, zapomnieć o tym wszystkim, skupić się na skończeniu szkoły. Uniwersytet Northwestern zaproponował jej miejsce, i to za samą dobrą średnią, nic więcej. Do końca semestru zostało tylko kilka tygodni, wystarczy, że położy uszy po sobie i jakoś to przetrwa. Potem już nic jej nie będą obchodzić Roland Gibbons, Chandler, Crotchett i reszta. Zacznie nowe, uczciwe życie. Będzie miała nową siebie. Będzie

mówić: „Wszystko zawdzięczam samej sobie. Jestem, jaka jestem, dzięki swoim kochającym rodzicom, talentowi, intelektowi i sprytowi”. Już nigdy nie będzie kłamać na temat swojego pochodzenia. Przynajmniej tyle dostanie na pocieszenie.

Wciąż trwał Tydzień dla Rodziców. Dzieciaki szwendały się z rodzicami po kampusie, ściskając w rękach mapy i programy atrakcji. Zateśniła za rodziną. Wyobraziła sobie matkę tu, na kampusie – w jakiejś okropnej sukience, ale promieniejącą dumą. Na pewno bardzo by się starała pamiętać o wszystkich „słucham” i „proszę”, a ojciec zagadywałby każdego, kto by ich mijał. „Póki moja córka nadal kibicuje New York Yankees, wszystko mi jedno, kto ją czego uczy”, zapewniałby ich. Powinna była ich zaprosić. Teraz już za późno. Dali jej wszystko, a ona nie potrafiła dać im nawet tyle.

Ale będzie przecież rozdanie dyplomów. Mogliby wtedy przyjechać! Matka, ojciec, Katie z Donaldem, ciocia Rosemary, jeśli akurat nie będzie jej doskwierać podagra. Wtedy naprawdę będzie wiosna, a Heidi będzie mogła wszystko im pokazać: „Tu byłam, to robiłam. Bądźcie ze mnie dumni”. Będzie mogła wszystkim pokazać, kim jest, i zupełnie się nie przejmować, co o tym sądzą. Powietrze pachniało świeżością, czystością. Nie spiesząc się, szła przez dziedziniec.

Chandler zawsze wydawał jej się budowlą pełną zamkniętych drzwi, które dało się otworzyć tylko za pomocą skomplikowanych manewrów towarzyskich. Mistrzowsko posługując się ciałem i umysłem, Heidi otwierała jedne drzwi za drugimi. Ale one donikąd nie prowadziły. Dopiero teraz to zrozumiała. Jedyne do kolejnych zamkniętych drzwi. Do takich drzwi, przed jakimi właśnie stała – drzwi do budynku internatu. Ale do tych akurat miała klucz. Więc weszła do środka.

W końcu była Heidi Whelan, do cholery. Tak łatwo się nie podda.

– Heidi?

Drzwi otworzyła jej Doreen. Uściskała ją mocno.

– Bogu dzięki, że jesteś. Zupełnie nie mogę sobie poradzić. W co mam się ubrać? Wejdz. Byłaś rano biegać? Mam nadzieję, że już ci lepiej. Wiem, że źle się wczoraj czułaś. – Siadła przed lustrem.

– Wiesz? Od kogo? Od Petera?

– Tak. – Doreen udało się na chwilę oderwać wzrok od swojego boskiego odbicia i spojrzeć w lustrze na Heidi. Najwyraźniej próbowała wybadać, w jakim nastroju jest przyjaciółka.

Miała na sobie fioletową sukienkę na ramiączkach i biały kaszmirowy sweterek, których Heidi jeszcze nigdy nie widziała. Pewnie były to prezenty od ojca. Albo od Petera Standisha. Wróciła wzrokiem do własnego odbicia i zaczęła upinać włosy.

– Słuchaj, przykro mi, że ci coś tam o nas nagadał. Naprawdę. Właśnie mi o tym powiedział i na niego nawrzeszczałam. Chyba w ogóle zerwę z nim kontakty. To był tylko przelotny seks.

– Przelotny seks? Przecież ci mówiłam, że zależy mi na tym chłopaku.

– Zatem wyświadczyłam ci przysługę. Facet, którego tak łatwo skusić, nie jest wart twojego zainteresowania.

Heidi nie wiedziała, co powiedzieć. Czy to ona nauczyła Doreen takiej bezwzględności? Dziewczyna wpięła we włosy ostatnią szpilkę i zadowolona z rezultatu odwróciła się do przyjaciółki.

– Złóścisz się na mnie. Oczywiście. Nie chcę tego bagatelizować. Naprawdę nie. Przykro mi, że nie układa ci się z Peterem, ale przynajmniej dobrze się bawiłaś, póki z nim byłaś. A teraz musisz mi koniecznie powiedzieć, co o tym myślisz. – Zakręciła się, dół sukienki zawirował.

– Znów fiolet? Nie znudził ci się jeszcze?

Doreen z powrotem podbiegła do lustra.

– To mój kolor! Nie podoba ci się?

– Bo ja wiem. Jest w porządku. Tylko trochę dziecinny.

– Dziecinny? Myślałam, że jest kobiecy. Z klasą.

– Z klasą? Ludzie z klasą tak nie mówią, Doreen. Moja matka tak mówi. A jej się wydaje, że koktajl z krewetek w kieliszkach od martini to szczyt elegancji.

– Aha. Jesteś na mnie wściekła. Rozumiem. Dobra. – Doreen spryskała sprejem upięte włosy. – Nie mogłybyśmy zamknąć tego tematu? Bo wiesz, to się robi nudne.

– Nudzę cię? Tak mi przykro.

– Owszem, nudzisz. A zresztą naprawdę nie mam teraz czasu na takie

rzeczy. Ojciec zaraz tu będzie. Idziemy na lunch z dyrektorem.

– A, racja. Stary Crotchett. Kumple ze szkolnych lat, co? Twój ojciec i dyrektor.

– Z Chandlera i Harvardu.

– Ho, ho. I Gibbonsowie-Brownowie też będą na lunchu? Będziecie oblewać wczorajszy wernisaż Biz? Nie?

Doreen zacisnęła usta. W milczeniu wrywała pincetą pojedyncze włoski psujące linię brwi.

– Dlaczego nie? Twoja kuzynka musi być zachwycona tym, jak świetnie to wszystko wypadło wczoraj wieczorem. Choć skąd mam wiedzieć? Nie widziałam się z nią dzisiaj. Za to widziałam się z jej matką.

– Z ciocią Glorią? A to ciekawe.

– Przyszła do nas dziś rano. Żeby spakować rzeczy Elizabeth. – Patrzyła, jak Doreen chwytą i wrywa włoski za włoskiem.

– Naprawdę nie chcę teraz o tym rozmawiać, Heidi. Może powinnaś już iść.

– Jak na kogoś, kogo właśnie zaatakowała szalona lesbijka, zachowujesz się nad wyraz spokojnie.

– Dziękuję, staram się o tym nie myśleć.

– Nie wciskaj mi tu kitu, Doreen. – Heidi wrywała jej z dłoni pincetę i cisnęła ją o podłogę.

Doreen podniosła pincetę z lekką irytacją i odłożyła ją do szklanki na półce. Heidi jeszcze nigdy nie była tak bliska odwołania się do przemocy. Kamienna twarz Doreen doprowadzała ją do szału.

– Co takiego na ciebie znalazła? Co takiego ci zrobiła, że aż musiałaś przywalić jej latarką w głowę? Masz szczęście, że jej nie zabiłaś. Powinnaś skończyć w więzieniu. Za napad. Napad i składanie fałszywych zeznań.

– Nie wiem, o czym mówisz, Heidi. Zrobiłam, co mogłam, żeby się obronić. Musisz przyznać, że intensywność przywiązania Elizabeth do mnie była nienaturalna. – Doreen stała przed rządkiem buteleczek z perfumami. Otwierała każdą po kolei, aż w końcu wybrała zapach. – Moja kuzynka chodziła za mną krok w krok. Zakochała się we mnie. Teraz to jasne. Nie ulega wątpliwości, że ta dziewczyna ma poważne zaburzenia. Mam tylko nadzieję, że otrzyma pomoc, której potrzebuje.

Psiknęła w powietrze i przeszła przez mgiełkę perfum, żeby uniknąć nadmiernego wyperfumowania. Tego triku nauczyła ją Heidi.

– Takie teksty zachowaj sobie dla tłumu wielbicieli, Do-do. Tu Heidi. To ja cię tego wszystkiego nauczyłam.

– Doprawdy? Jak to miło z twojej strony. Chyba jednak musiałam podłapać parę rzeczy z innych źródeł. Na przykład jak utrzymać faceta. – Prychnęła pod nosem. Wzięła gąbeczkę i zaczęła nakładać podkład.

Była córką swego ojca, to nie ulegało wątpliwości. Heidi najchętniej powyrywałaby jej włosy ze łba. Ale co by to pomogło? Musiała ją zniszczyć w inny sposób.

– Wiesz co? Masz rację. To rzeczywiście nudne przejmować się takimi drobiazgami. Klóćmy się jak jakieś głupie małolaty. Chyba po prostu za bardzo przejęłam się Biz. Nie powinno było mnie to zaskoczyć. Faktycznie miała kompletną obsesję na twoim punkcie. Ale powinnaś była mi powiedzieć.

– Serio? – Doreen uniosła brew. – Tak, pewnie powinnam była. Chyba całe to zamieszanie z Peterem jakoś tak mnie zablokowało.

– Och, zamknijmy już ten temat. A teraz daj, to ci pomogę. Wiesz, że zawsze przesadzasz z tym podkładem. – Heidi wyrwała jej gąbeczkę i podjęła pracę. Muskała nos, brodę, czoło.

Doreen miała idealną twarz, twarz anioła.

– Dziękuję, Heidi. Tak. Tak lepiej. Wiem, mam za ciężką rękę. Co ja pocznę bez ciebie w przyszłym roku?

– Dasz radę. A co robimy latem? Może pojedziemy do Hamptons? Czy już ci opowiadałam o tamtym lecie, kiedy pracowałam na recepcji Montauk Inn? To naprawdę niezła opowieść.

I tak, robiąc Doreen makijaż, opowiedziała jej historię o mężczyźnie w idealnym białym garniturze, którego zameldowała w Domku Kapitańskim w Montauk Inn. Był to samotny mężczyzna, z dala od rodziny. Zainteresował się Heidi. Rozmawiał z nią. Najpierw na recepcji. Potem, już dłużej, przy zacisznym stoliku, gdzie uczył ją, jak się wkraść do jego pilnie strzeżonego świata. Zdradzał jej kolejne sekrety i wyjaśniał, jak wtopić się w tłum bogatych i potężnych. Uczyła się od niego, jak mówić, jak chodzić, jak się ubierać. Dał jej książki do przeczytania i filmy do obejrzenia. Pokazał jej wszystko.

Potem pewnego popołudnia zadzwonił do niej na recepcję. Chciał, by natychmiast przysłała do jego pokoju. Gdy się tam pojawiła, na łóżku leżała sukienka przygotowana specjalnie dla niej. Za chwilę miała przyjść stylistka, by ją uczesać i umalować. Chciał, żeby towarzyszyła mu na balu charytatywnym.

– Ale zanim zdążyłam się ubrać – mówiła Heidi – powiedział, że jest coś, co musi najpierw zrobić. I wtedy rzucił się na mnie. Zdarł ze mnie hotelowy uniform i pchnął mnie na łóżko. Byłam zachwycona. Wiedział, co robić, bez dwóch zdań. Nie mogliśmy się od siebie oderwać. Wrzeszczałam tak głośno, że byłam pewna, że zaraz ktoś wezwie policję. – Wszystko to było prawdą. Wszystko poza seksem, do którego nigdy nie doszło. Prawda plus seks, mnóstwo seksu w każdej możliwej pozycji. Heidi opowiadała pornograficzną wersję swojej historii. – Byłam wtedy taka zielona, Doreen. Nie poznałabyś mnie!

Doreen poddawała się kosmetycznym zabiegom Heidi i łąpczywie słuchała każdego bezwstydnego szczegółu. Dziewczyna chciała dać jej obraz w pełnym

kolorze. Nie oszczędzała jej. Seks na plaży. Na przyjęciu. W hotelowym magazynie. Pod biurkiem na recepcji. Potem pojawiła się żona i Heidi zwolniono. Wsiadła do pociągu do Yonkers, ale nie zamierzała tam zostać.

Namierzyła jego apartament na Piątej Alei, udało jej się wdrzeć do środka. Zagroziła, że powie o wszystkim jego żonie, powie światu. Potem znów kochali się na podłodze w pokoju z widokiem na park, aż w końcu zgodził się opłacić szkołę.

– Powiedział do mnie: „Za kogo ty się właściwie uważasz?”. Wtedy już byłam ubrana. – Heidi obrysowała usta Doreen konturówką i rozmazała linie palcem. – „Jestem po prostu piękną dziewczyną, która nie ma nic do stracenia”. Gotowe.

Nałożyła jej jeszcze jasnorożowy błyszczak na usta i odwróciła przyjaciółkę w stronę lustra. Doreen patrzyła na siebie z zachwytem.

– Idealnie, dzięki! Więc to tak dostałaś się do Chandlera. Od dawna się nad tym zastanawiałam. – Włożyła w uszy kolczyki, diamenty *grand-mère* Kiki. Musiała rąbnąć je biednej Biz. – No to miałaś fuksa. Czas na mnie...

– Zaczekaj! Nie chcesz wiedzieć, kto to był? Kim był mój kochanek, mój darczyńca, przewodnik po świecie cielesnych przyjemności? Nie jesteś ciekawa, kim był ten elegancki łajdak?

– Co?

– Czekaj. – Heidi zdjęła ze ściany perłowy naszyjnik Biz i powoli zaczęła go owijać wokół szyi Doreen. Poprawiła jej diamenty w uszach.

Spojrzały na siebie w lustrze. Rozległ się dźwięk domofonu. Doreen podskoczyła.

– A, o wilku mowa. Zresztą może sam ci wszystko opowie. – Heidi podała Doreen jej białą kopertówkę.

– Co? Co ty...?

– Czym przyjechał? Swoim turkusowym porsche? Uwielbiałam ten samochód. Chociaż był trochę mały, trudno było zaspokajać w nim żądze twojego ojca.

– Kłamiesz.

– A co tam słyhać u jego marszanda? Benedict, dobrze pamiętam? Wciąż nieustannie wydzwania? Roland zawsze próbuje sprzedać jakiś obraz. I tak okropnie się wścieka, kiedy aukcja pójdzie nie po jego myśli! Ale miałam swoje sposoby, żeby go uspokoić. Głównie ustami.

– Zamknij się, Heidi!

Znów rozległ się dźwięk domofonu.

– Lepiej odbierz. Nie znosi czekać. Na nic – powiedziała i puściła do niej oko.

Doreen zaczęła drzeć dolną wargę. Zaciśnęła pięści.

– Zamknij się! Zamknij! Ty dziwko! Ty kurwo! – Pchnęła Heidi na łóżko

i mocno uderzyła w twarz.

Heidi wyciągnęła jej wsuwki i potargała włosy.

– Też za ciebie zamawia? Zawsze ryba i sałatka. Wydaje mu się, że tylko to powinny jeść kobiety. „Ryba i sałatka dla pani, a dla mnie stek i whisky”.

– Zamknij się! Zamknij! Zamknij tę głupią gębę! – Podrapała Heidi po twarzy, ale Heidi odepchnęła ją mocno, tak że dziewczyna wylądowała na podłodze.

– Uważaj na fryzurę, Doreen. Wiesz, że on nie znosi niedbałych fryzur. – Rozrzuciła wokół wsuwki, które wyciągnęła jej z włosów.

– Mogłabym cię zabić. Niedobrze mi się robi, jak na ciebie patrzę. – Doreen rozpaczliwie próbowała pozbierać wsuwki i poprawić fryzurę, ale teraz wyglądała jeszcze gorzej.

– Jasne, jasne, ale póki co, baw się dobrze ze swoim kochankiem, tfu, chciałam powiedzieć: ojcem.

– Wynoś się stąd! – wrzasnęła Doreen.

Jej fryzura i makijaż były już do niczego. Znow usłyszały domofon. Potem telefon.

– Jak sobie życzysz. A – przypomniała sobie już z ręką na klamce – jeszcze jedno. Wiesz, bez końca musiałam wysłuchiwać opowieści o jego dzieciach. Mówię ci. Piękna Bianca to, piękna Bianca tamto. I Heinrich, który jest gwiazdą piłki nożnej. A chcesz wiedzieć, co mówił o tobie? Nic. Ani słowa. Kiedy go spytałam, ile ma dzieci, powiedział, że dwoje. Dla niego po prostu nie istniałaś.

– Teraz to się zmieniło – syknęła Doreen.

Próbowała zetrzeć spod oka rozmazaną maskarę.

– Czyżby? Lepiej, żeby tak było. I lepiej, żebyś została taka ładna. Bo inaczej koniec. Wierz mi. Ten facet wolałby splunąć na własną córkę, niż zaakceptować cokolwiek, co nie jest idealne. No nic. Baw się dobrze na lunchu. Powiem mu, że zaraz schodzisz.

I Heidi zatrzaskała za sobą drzwi.

*

Włosów i makijażu Doreen nie dało się już uratować. Będzie musiała je rozczesać i zacząć wszystko od nowa, ale na to nie było czasu, a poza tym nie potrafiła zmusić dłoni do pracy. Cała drżała z wściekłości. Jak ona śmie? Jak śmie się wtrącać i wciskać jej takie podłe kłamstwa?!

– Stek kłamstw! – powiedziała Doreen do swojego odbicia, ale jakoś jej to nie przekonało.

Telefon i domofon wciąż co chwila dzwoniły, aż w końcu wszystko ucichło. Spokój. Widocznie się poddał, poszedł bez niej. Była sama. Dopiero teraz pozwoliła sobie na szloch.

Wyczuła to od pierwszej chwili, choć oczywiście powiedziała sobie wtedy, że coś jej się zwidziało. Ale tak naprawdę od momentu, gdy przedstawiła Heidi ojcu, miała to dziwne wrażenie, że się znają. A kiedy zastała ich razem przed galerią, zdawało jej się, że coś im przerwała, jakąś bardzo poważną rozmowę. Tak więc wiedziała. A raczej podejrzewała, a teraz już wie. Ale co z tego? Jej ojciec i Heidi uprawiali seks. Och, to zbyt obrzydliwe!

– Nie!

Doreen przejechała dłonią po półce. Wszystkie pędzle, buteleczki i puzderka poleciały na podłogę. Krążyła po pokoju. Musiała pomyśleć. Zebrać myśli! Ale w głowie wciąż miała wszystkie pikantne szczegóły opowieści Heidi – teraz z jej ojcem w roli głównej. Dlaczego ta myśl była tak nieznośna? Czy chodziło o seks? Przecież prawie nie zna ojca. Dlaczego miałoby ją obchodzić, z kim sypia? Czy była zazdrosna? Wrr! Okropność! Przecież nie jest zboczona! Doreen uderzyła się w czoło, jakby w ten sposób chciała się pozbyć złych myśli.

Jeśli go o to spyta, przedstawi jej własną wersję historii. Pewnie jej powie, że to Heidi go uwiodła. W końcu by potrafiła. Tylko że te kilka lat temu Heidi była młoda. Zagubiona, z dala od domu. Doreen rzuciła się na łóżko i zaczęła szlochać w poduszkę. Płakała nad tamtą dziewczyną, którą była wtedy Heidi. Ale przede wszystkim płakała nad sobą.

Ona także była przecież samotna, niewinna, w nowym miejscu, z dala od domu. Ona także potrzebowała pomocy w zrozumieniu niepisanych reguł i oczekiwań społeczności, o której nic nie wiedziała. Heidi nauczyła ją wszystkiego, tak jak wcześniej jej ojciec nauczył tego Heidi. To żałosne! Tylko pomyśleć, że wykorzystwała tę wiedzę, by sprawić, żeby ojciec ją pokochał. Nie sprzedała w tym celu swojego ciała, ale co za różnica? Czy to naprawdę daje jej wyższość moralną? Szczególnie po tym, co zrobiła z Peterem? Co zrobiła z Biz? Niszczyła wszystkich, którzy stanęli jej na drodze. Stała się jedną z tych, których wcześniej nienawidziła najbardziej na świecie – podłą tyranką znącającą się nad słabszymi. Gdyby nigdy nie poznała Heidi Whelan! Ale nie w tym tkwił problem. Heidi mogła zrobić tylko tyle dla tamtej brzydkiej niezdary, którą Doreen była, gdy pojawiła się na kampusie.

Spojrzała na szufladę, w której schowała zdjęcie. Odkąd ostatni raz miała je w rękach, zafundowała kuzynce wstrząśnienie mózgu i usunięcie z Chandlera. Przekreśliła jej szanse na Yale, na wszystko, czego Biz pragnęła. Na co zasłużyła. Biz zapracowała na swoje osiągnięcia. A ona?

Wszystko, co udało jej się zdobyć, osiągnęła za pomocą kłamstw, manipulacji i wykorzystywania ludzi wokół. Zniszczyła swoją przyjaźń z Biz i Heidi – choć były to jedyne przyjaciółki, jakie kiedykolwiek miała. Został jej tylko ojciec, który kochał ją dlatego, że była piękna. Heidi tak powiedziała i Doreen wiedziała, że ma rację. Gdyby Doreen wciąż wyglądała tak jak kiedyś,

Roland w życiu nie pojawiłby się na Tygodniu dla Rodziców, nie kupowałby jej ubrań, butów i torebek. Córnka? Dla niego była tylko śliczną broszką, dodatkiem, który ładnie się prezentował na jego ramieniu. Tak jak przedtem Heidi, jak jej biedna, starzejąca się matka, jej biedna, tak zapracowana, kochająca, opuszczona matka, która została sama w Indianie. Co za życie Doreen sobie zgotowała?! Jakie decyzje podjęła?! Już lepiej byłoby pozostać brzydką. Przynajmniej ocaliłaby duszę!

Trzymała w dłoni zdjęcie odwrócone białą stroną do góry. Mimo dzikiego strachu, który czuła głęboko w środku, jej ciało było spokojne, oddech się wyrównał i zwolnił. Ale w głębi jej serca szalał ogień. Musiała zobaczyć na własne oczy, co zrobiła.

Jeden dzień! Minął tylko jeden dzień! A jednak było o wiele gorzej, niż mogła sobie wyobrazić. Osunęła się na kolana. Otworzyła usta zdumiona tym, co zobaczyła. Jej dusza zmieniła się w coś koszmarnego – wstrętne, pokraczne, obrzydliwe monstrum. To było okropne! Nie do zniesienia! Oczy miała wybaluszone i żółte, ciało wygięte w ekstazie, a jęzor, ten przerażający jęzor, ociekał śliną i niemal wyłaził ze zdjęcia, jakby czyhając na kolejną ofiarę. Jej dusza nie była po prostu chora – sama była jak choroba, diabelska plaga, która niszczyła każdego, kto się do niej zbliżył. A za to wszystko odpowiadała Doreen. Nie dało się rzucić winy na nikogo. Nikogo. Tylko ona jest temu winna. Próbowwała oddychać, próbowała się uspokoić, mówić do siebie, ale nie potrafiła opanować strachu ani odwrócić wzroku. Oto jej los wydrukowany w pełnym kolorze. Była skazana na życie w tym pięknym ciele, na życie z tą odrażającą duszą.

– Nie! Nie! Nie zgadzam się! Nie będę taka. Obiecuję poprawę. Proszę! Będę o wiele lepsza! – Walała pięściami w zdjęcie. – Nie! Nie! Nie!

Zaczęła szarpać zdjęcie paznokciami. Potem je rozrywać. Najpierw na duże kawałki, potem na tysiące małych skrawków. Rwała je i rwała, aż w końcu zdjęcie jej duszy było rozsypane wokół niczym confetti.

Gdy ból staje się dźwiękiem, rozdziera powietrze i niczym fale radiowe mknie, pokonując kilometry, by dotrzeć do uszu, dla których jest przeznaczony. Kiedy dyrektor usłyszał ten krzyk rozpaczony ze swojego stanowiska przy oknie, pomyślał, że to wracają jastrzębie. Na próżno wpatrywał się w niebo. Roland także go usłyszał. Właśnie szedł do Crotchetta, zirytowany na córnkę, która wystawiła go do wiatru, ale krzyk był tak głośny, że na chwilę zapomniał o swoim wzburzeniu. Jane Vale wrzasnęła na brata, żeby ściszył telewizor, bo hałas nie pozwalał jej pracować nad opowiadaniem, które zatytułowała *Słoń jedzie do miasta*. A tuż obok, w szpitalu Hamilton, w prywatnej sali ten sam dźwięk zagrzmiał w obolałej głowie Biz, gdy tuliła się do piersi matki. Pomyślała, że to jej wyrwał się ten okrzyk rozpaczony nad zmarnowanym życiem, więc wtuliła się jeszcze mocniej, rozpaczliwie szukając pocieszenia w jej chudych ramionach.

Kiedy Heidi Whelan usłyszała ten koszmarny skowyt, natychmiast domyśliła się jego źródła. Nie przystanęła jednak ani się nie odwróciła. Biegła i biegła. Biegła, żeby zapomnieć, żeby zacząć od nowa. Wyzwolona od przeszłości, zachwycona możliwościami, jakie niesie przyszłość, biegła jak najdalej od swojego ostatniego kłamstwa.

W budynku West Hall krzyk i głośny łomot, który nastąpił po nim, przeraził kilka dziewcząt na piętrze. Zawołały ochroniarza, który pojawił się z kluczem.

Na podłodze znalazły fotografię Doreen, eleganckiej, pięknej, w czerwonej sukience bez ramiączek. Na łóżku, zwinięta z bólu, leżała napuchnięta, rozczochrana dziewczyna, której nikt nigdy przedtem nie widział. Naga, na strzępach podartego fioletowego materiału, najwyraźniej cierpiała na jakąś poważną chorobę, bo jej skórę pokrywały czyraki, a włosy wypadały garściami, zostawiając na głowie łyse placki. Podniosła na nich przerażone fioletowe oczy.

– Wynocha! Wynocha! – krzyknęła na niewielki tłumek stojący w drzwiach.
– Wynoście się stąd! Zostawcie mnie w spokoju!

Od tej pory nikt w Chandlerze już nigdy nie widział Doreen Gray.

EPILOG

Biz dostała się do Yale. Skruszony dyrektor szkoły przeprosił rodzinę Gibbonsów-Brownów. Tłumaczył się, że tamta dziewczyna nie była tym, za kogo ją mieli. Kłamała, oszukiwała, dlatego musieli usunąć ją ze szkoły. Błagał Elizabeth, żeby zajęła swoje prawowite miejsce na podium dla celujących uczniów. Ale Biz machnęła na to wszystko ręką. Dostała się na praktyki u znanej fotografki, przeniosła się do Nowego Jorku i nigdy nie wracała myślami do przeszłości. Niczego nie żałowała. Biza Brown. Może o niej słyszeliście.

Zaistniała pewnego roku na targach sztuki Art Basel i nagle wszyscy zapragnęli kupować jej zdjęcia. Znane osobistości błagały, by pozwoliła im powiesić swoje prace na ścianach ich domów. Standishowie kupili jedną fotografię do swojego szklanego pałacu na Hawajach. Marszand Rolanda Benedict Ruehl dzwonił i dzwonił, ale Biza konsekwentnie mu odmawiała. Każdemu, ale nie jemu, powiedziała Eloise. Wykluczone, żeby jeszcze choć jedno zdjęcie wpadło w ręce tej rodziny. Bała się, że mogłoby się to źle skończyć.

*

Heidi Whelan poszła na Uniwersytet Northwestern. Zaprzyjaźniła się tam z nowymi, miłymi ludźmi, którzy nigdy o niej nie słyszeli i nie mieli pojęcia, czym się różni Yonkers od Yorkville. Studiowała sztukę i literaturę i zaczęła pisać recenzje dla gazety – najpierw krótkie, z czasem coraz dłuższe. Jej opiekun naukowy uważał, że powinna pójść dalej w tym kierunku, i zasugerował studiowanie dziennikarstwa. Powiedział jej, że na tym świecie zawsze znajdzie się miejsce dla ludzi o wyrafinowanym guście i bystrym umyśle. „Kto by miał teraz czas na chłopaków – myślała – skoro na świecie jest tyle pięknych rzeczy do zobaczenia?” Chodziła na -czarno-białe filmy, oglądała balet, czytała słowa, które sprawiały, że odzyskiwała wiarę.

*

Artyści i krytycy. Ich ścieżki zawsze się przecinają. I tym razem tak było. Biza miała akurat kolejną wystawę w Peek Gallery, na którą przyjechała prosto z Wenecji. Większość prac wiszących na ścianach już się sprzedała, ale to nie zniechęcało tłumów. Galerię szczelnie wypełniali członkowie śmietanki towarzyskiej. Wystrojeni z należytą ekstrawagancją, przepychali się w salach, wymachując kieliszkami z szampanem nad głowami innych oglądających.

Heidi przyszła w czerni. Biza od razu ją rozpoznała. Długo się nie widziały, obie zdążyły wydorosnąć. Heidi była pod wrażeniem elegancji przyjaciółki (sukienka Marni i rajstopy, niesamowite), pewności, z jaką się poruszała. Biza wyczuła w Heidi powagę, której nie miała jej nastoletnia przyjaciółka. Ale była też

bardziej otwarta, gotowa dzielić się ze światem tym, co ma, jakby otworzyła dłoń i puściła to coś, czego tak kurczowo się kiedyś trzymała. To wszystko sprawiało, że wydała jej się piękniejsza niż kiedykolwiek.

Biza przedstawiła jej żylastą, wytatuowaną kobietę. Była to Agnes Chase, jej narzeczona. Oczywiście Heidi znała jej prace. Pochwaliła jej ostatnią wystawę w Berlinie, a Agnes przyjęła komplement, ale podkreśliła, że ten wieczór należy do Bizy. Przesłodka para.

Agnes nie była piękną. Miała duże zęby, niekształtną górną wargę i mogła być dobre dwadzieścia lat starsza od Biz – jej wiek zdradzały zmarszczki w kącikach oczu i przebarwienia skóry. Ale chętnie się śmiała i było widać, że jest bardzo dumna ze swojej przyszłej żony. Heidi rozumiała, co może pociągać w Agnes, i widziała, że Biz jest szczęśliwa.

Ich spotkanie było uprzejme i serdeczne. Heidi pogratulowała artystce prac i odniesionego sukcesu, a Biz zachwyciała się bystrym okiem Heidi i rzetelnością jej recenzji. W pewnym momencie rozmowa zeszała na rodzinę. Ojciec Heidi przeszedł w końcu na emeryturę. Matka usiłowała go namówić na przeprowadzkę na Florydę, ale on chciał jeszcze podróżować, zobaczyć świat.

– Mam wrażenie, że nigdy nie byli tak szczęśliwi i zakochani – przyznała Heidi. – To naprawdę niesamowite. A co słychać u Ad-rocka? Ożenił się? Ma dzieci?

Biz pokiwała głową. Troje dzieci, mieszkają w Connecticut. Wszystkie mają jakieś szalone imiona. Wyrecytowała je ze śmiechem, ale było widać, że uwielbia swoje siostrzenice i siostrzeńca. Mamcia spędzała większość czasu w Paryżu.

– Roland nie żyje – dodała Biz. – Nie wiem, czy słyszałaś.

Heidi skinęła głową. Widziała nekrolog w „Timesie”. Choroba wątroby, tak przynajmniej napisali. Czyli że za dużo pił, dopowiedziała sobie. Mężczyzna, który kiedyś tyle dla niej znaczył, zapił się na śmierć. Zaskoczył ją własny smutek.

Żadna z nich nawet nie wspomniała o dziewczynie, którą znały przez chwilę wiele lat temu. Imię pozostało niewypowiedziane. Ale jej obecność w rozmowie zdawała się coraz bardziej namacalna, aż w końcu nie dało się tego znieść. Pożegnały się pustymi obietnicami, że się dzwonią, napiszą, spotkają, po czym jedna wróciła do gości, a druga opuściła galerię.

Heidi mieszkała w nijakiej kawalerce w nijakiej okolicy East Side. Miała dużo pracy, lecz noc była tak chłodna i przyjemna, że postanowiła wrócić do domu na piechotę. Dzięki temu będzie miała czas, by pomyśleć o Biz – Bizie – o upływie czasu, o sztuce i o tym, jak powinna opisać ten wernisaż. Pracowała nad nowym zleceniem i chciała, żeby wyszło naprawdę dobrze.

– Przepraszam – powiedział ktoś, przepychając się obok Heidi. Nieznajoma szła w stronę galerii.

Heidi zadrżała, słysząc ten głos. Natychmiast się obróciła. Mignął jej

czerwony płaszcz. Czy to możliwe? Co widziała? Poznałaby ten głos wszędzie, od lat nawiedzał ją w snach. Przepchała się przez tłum, bez skutku szukając wzrokiem dziewczyny w czerwonym płaszczu. Popędziła z powrotem do galerii, ale tam też jej nie było.

– Heidi? Nic ci nie jest? – To była Agnes. – Jesteś jakaś blada. Biza. Biza!

Biz usłyszała swoje imię i podeszła do nich. Heidi rzeczywiście była blada jak ściana.

– Myślałam, że już poszłaś. Co się stało? Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha!

Heidi chwyciła Biz za rękę. Spojrzała jej głęboko w oczy.

– Widziałam... Mogłabym przysiąc, że widziałam... – Nie musiała mówić nic więcej. Biz od razu zrozumiała. – Ale potem... Obejrzałam się i już jej nie było!

– Mnie to się często zdarza. – Biz poklepała Heidi po dłoni. – Nieustannie. Ale potem zawsze się okazuje, że to nie ona.

– Więc nie widziałaś jej już później? Myślałam, że może jakoś przez rodzinę...

Biz pokręciła głową.

– Nikt nie wie, gdzie zniknęła. Z nikim nigdy się nie skontaktowała.

Heidi zaczęła odzyskiwać spokój. Przecież Doreen nie byłaby już dziewczyną, tylko dorosłą kobietą. Roześmiała się cicho, próbując rozładować napięcie.

– Przepraszam, chyba jestem trochę przepracowana. Za mało śpię.

– Nic ci nie jest?

– Nic, nic. Przepraszam. Baw się dobrze, tylko... Słuchaj, Biz... – Heidi czuła, że coś męczy ją w głębi duszy. Stary wyrzut sumienia, jeden z wielu, które się tam kryły. – Chciałam cię wtedy odwiedzić – powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. – W szpitalu i potem, ale pomyślałam, że po tym wszystkim może lepiej ci będzie beze mnie. Uznałam, że już dość krzywdy wyrządziłam, rozumiesz?

– Nie winiłam cię za nic. Naprawdę. – Biz westchnęła. – Trzeba było zacząć od nowa. Tak było lepiej.

Uśmiech Heidi był pełen ciepła i wdzięczności.

– Jeszcze raz ci gratuluję. Jestem z ciebie dumna. – Uścisnęła jej rękę i wymknęła się na dwór.

– O co chodziło? – spytała Agnes.

Lekko pocałowała Biz w usta.

– Hm? A, to długa historia. – Biz położyła Agnes głowę na ramieniu. Tu zawsze odnajdywała spokój.

– Opowiesz mi ją kiedyś?

– Co? A, jasne. Kiedyś ci ją opowiem – szepnęła Biz. – Obiecuję.

Wybacz jej, Agnes. Każdy czasem kłamie.

PODZIĘKOWANIA

Przyjaźnimy się z Rebeccą Sherman, odkąd w połowie lat dziewięćdziesiątych poznałyśmy się na żydowskim obozie letnim w Wisconsin. Nie mam pojęcia, dlaczego powierzyła mi pomysł napisania młodzieżowej wersji *Portretu Doriana Graya*, a także wspierała mnie radą, byстрыm redaktorskim okiem i bezpodstawną wiarą w moje możliwości, ale jestem jej za to bardzo wdzięczna. Jeśli dotarliście aż do tej strony i dobrze Wam się czytało tę książkę, wiedzcie, że podziękowania za lekturę należą się Rebecce, bo bez niej moja powieść w ogóle by nie powstała.

Podziękowania niech zechcą przyjąć również Andrea Morrison, Lisa Cheng, Marlo Scrimizzi oraz Leslie Yazel. Robin Wasserman i Wistar Murray nigdy nie pozwolili mi stoczyć się w kuszącą otchłań rozpacz. I jest jeszcze Gregory Edwards, który musiał przetrwać to wszystko – dzięki, że wytrzymałeś ze mną przez cały ten czas, i za każdą godzinę, którą dzięki Tobie mogłam poświęcić na pracę nad tą książką.

Tytuł oryginału: *Doreen*

Copyright © 2016 by Ilana Manaster.

All rights reserved under the Pan-American and International Copyright Conventions

Copyright © for the translation by Maria Smulewska-Dziadosz

Opieka redakcyjna: Agnieszka Urbanowska

Korekta: Alicja Listwan / d2d.pl,
Katarzyna Gniewko / d2d.pl

Projekt okładki: Anna Maria Jamróz

Fotografia na okładce: © iStockphoto.com / CoffeeAndMilk

ISBN 978-83-7515-693-5

www.moondrive.pl

Plik opracował i przygotował Woblink

The logo for Woblink features the word "woblink" in a bold, lowercase, sans-serif font. Above the letters 'o', 'b', 'l', and 'i' are four small, colored circles: light blue, purple, pink, and orange respectively.

woblink.com

